



Agnieszka Janiszewska

AŻ PO HORYZONT

TOM I

Czasem rodzinne więzy bardziej dzielą,
niż łączą.



NOVAE RES

Agnieszka Janiszewska

AŻ PO HORYZONT

Tom I



NOVAE RES

Rozdział 1

1973 rok

Najtrudniej jest wieczorami. W ciągu dnia zawsze znajdzie się coś do zrobienia, jakieś pilne, niecierpiące zwłoki sprawy do załatwienia. W ciągu dnia nie brakuje ludzi, są wszędzie, gdziekolwiek się obróć. Dzięki temu nie mam czasu na moje smutki i rozterki. Na poddawanie się melancholii. To wszystko czeka na swoją porę. Na wieczór, gdy słońce chowa się za horyzontem, gdy świat zaczyna wypełniać cisza. Gdy milkną głosy... Przynajmniej te, które dobiegają z zewnątrz. Zamiast nich odzywają się inne. Te jednak słyszę jedynie w mojej głowie, w moim sercu. Rozpoznaję, do kogo należą. Zadziwiająco, bo dotąd zawsze uważałam, że głos człowieka najszybciej ulega zapomnieniu. Myliłam się, zresztą nie po raz pierwszy w życiu. Nie uciekam już przed wspomnieniami, nawet jeśli towarzyszy im świadomość, że ci, którzy odeszli na tamtą stronę, już nie wrócą. Nigdy. Na tym przecież polega ostateczność. Tyle że z tą oczywistą prawdą najtrudniej mi się uporać właśnie wieczorami. Gdy zapada zmrok. Gdy jestem sama. Ja i moje wspomnienia.

Od najmłodszych lat nie lubiłam tej pory. Matka mi kiedyś opowiadała, że jako mała dziewczynka panicznie wręcz bałam się ciemności i za każdym razem protestowałam, gdy próbowano ułożyć mnie do snu. Nie pozwalałam,

by gaszono lampę przy moim łóżku, tak jak nie zgadzałam się, aby zostawiono mnie samą w pokoju. Niania musiała przy mnie siedzieć, dopóki nie zasnęłam. W dodatku bynajmniej nie należałam do śpiochów – zasypiałam późno i z trudem, budziłam się skoro świt, sen miałam płytki, byle hałas podrywał mnie na równe nogi. I choć od tamtych czasów zmieniłam wiele przyzwyczajeń, pod tym względem pozostałam taka sama. Wieczory i noce nadal są dla mnie trudne, choć już nie z powodu obawy przed ciemnością. Mrok już mnie nie przeraża, raczej zasmuca i przygnębia. Może zresztą wcześniej też tak było? Także w dzieciństwie, gdy dorośli po swoim tłumaczyli sobie moje lęki, ja zaś nie potrafiłam wyjaśnić im istoty problemu?

Tak działo się zawsze, gdy zostawałam sama, gdy odchodzili bliscy mi ludzie. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że takie jest życie. Nic nie trwa wiecznie, ludzie umierają. Czym innym jest jednak teoretyczna wiedza, a czym innym jej bezpośrednie doświadczenie. Poddanie się tym prawom nigdy nie przychodziło mi z łatwością. Nie wtedy, gdy żegnałam ich wszystkich po kolei.

W jaki sposób moja rodzina przyjmie moje odejście?

Nie potrafię o tym nie myśleć. Zwłaszcza że sama wciąż nie mogę się z tym pogodzić. Jeszcze o niczym nie wiedzą, najpierw sama muszę się z tym uporać. Lecz w końcu będę musiała ich uprzedzić, przygotować. Oczywiście na tyle, na ile będzie to możliwe. Nie dotyczy to jednak tylko mojej rodziny – tej... tutaj. Coraz częściej bowiem myślę o tych, którzy zostali – tam. Przed laty postanowiłam, że nie chcę ich więcej widzieć, ale perspektywa zbliżającego się nieubłagania końca sprawia, że potrafię już spojrzeć na tamte sprawy jakby z boku, z punktu widzenia zwykłego obserwatora. To zaś pozwala mi wreszcie zobaczyć wszystko w innym świetle; być może właśnie na tym polega obiektywizm, na który nigdy wcześniej nie umiałam, nie

chciałam się zdobyć. A wraz z obiektywizmem przychodzi zrozumienie dla motywów, jakimi kierowali się oni – moi bliscy... tam. W kraju, który opuściłam. I którego już nie zobaczę. Ich także nie zobaczę, nie porozmawiam z nimi, nie powiem, że mój gniew wreszcie przeminął. Tak naprawdę minął dawno temu, i gdybym przed laty chciała się do tego przyznać, być może teraz miałabym ich wszystkich przy sobie. Albo przynajmniej mojego brata, przyjaciela z czasów dzieciństwa i młodości. Jestem pewna, że byłby tu teraz ze mną. Znalazłby sposób, aby do mnie przyjechać. Gdyby nie ta skamielina, jaka przez lata milczenia powstała między nami. Prawdziwa góra lodowa, którą zbudowało to, co wydarzyło się w przeszłości, i której żadne z nas nie starało się potem roztopić. Nie pozwalał na to jego i mój upór, gniew, a przede wszystkim zraniona duma. Lecz teraz to już bez znaczenia. A w dodatku mam coraz mniej czasu. Czemu nie miałabym wreszcie odezwać się do brata? Zrobię to, póki mam jeszcze dość sił. Nie mogę tylko pozwolić, by przy tej okazji obudziły się dawne, niedobre emocje. Muszę spokojnie zebrać myśli.

Rozdział 2

1975 rok

Słońce chyliło się ku zachodowi, kończył się długi, czerwcowy dzień. Weronika, która od trzech godzin wypisywała szkolne świadectwa, przetarła zmęczone oczy i wyprostowała plecy. Zapatrzyła się w okno, przy którym w rytm delikatnych, a niekiedy silniejszych powiewów wiatru tańczyła biała, muślinowa firanka. Zbliżały się wakacje.

Weronika wiedziała, że zarówno uczniowie, jak i jej koledzy nauczyciele czekali z radością i wytęsknieniem na dzień zakończenia roku szkolnego. Także i ona za każdym razem, gdy zaczynała się letnia przerwa w szkole, nie posiadała się wręcz z radości. W przeszłości, jeszcze jako uczennica, snuła tysiące planów na wakacje, i choć na ogół udawało się zrealizować co najwyżej jedną czwartą z nich, to i tak cieszyła się każdym dniem wolnym od mniej lub bardziej stresujących lekcji, a co za tym szło – od godzin ślęczenia nad podręcznikami. Nawet jeśli całe lato spędziła w domu, to i tak była szczęśliwa. Nigdy się nie nudziła, nawet jednej minuty.

Teraz, gdy znalazła się po drugiej stronie szkolnej barykady, jako nauczycielka języka francuskiego, także powinna była skakać z radości, że całoroczna harówka dobiegła końca. Nareszcie będzie miała możliwość, by

robić to wszystko, na co od miesięcy z trudem znajdowała czas. Na spacery po lesie, pracę w ogrodzie, może jakiś spływ kajakowy. I oczywiście czytanie. Czytanie do bladego świtu, z tą rozkoszną świadomością, że może sobie na to pozwolić, bo następnego dnia nie będzie musiała zrywać się z samego rana na zajęcia. A przede wszystkim znajdzie się znowu w rodzinnym domu, w Jaktorowie, wśród ludzi, których kochała i z którymi czuła się najlepiej. Przecież do tej pory zawsze z radością tam wracała. Tym razem też tak było. A jednak...

Od kilku tygodni czuła w sercu jakąś rzewną tęsknotę, której w żaden sposób nie potrafiła sobie wytłumaczyć. Oczywiście znała to uczucie, nieraz go doświadczała, tyle że przeważnie pojawiała się pod koniec sierpnia. Gdy rżyska na polach, coraz krótsze dni i chłodniejsze poranki przypominały o zbliżającej się jesieni. A także we wrześniu, gdy ponownie trzeba się było przyzwyczajać do codziennej rutyny. Tylko w okresie, gdy studiowała, było z tym trochę inaczej, ale wyłącznie dlatego, że rok akademicki zaczynał się w październiku. Niemniej nawet wtedy bywało, że wrzesień oznaczał konieczność przystąpienia do jesiennej sesji poprawkowej.

Wiosną podobne smętki trzymały się od niej z daleka. Pierwsze powiewy cieplejszego wiatru, stopniowo zieleniejące trawniki, pola, krzewy, pierwsze kwiaty na owocowych drzewkach i ten oszałamiający zapach ziemi – to wszystko wyzwalало w niej chęć do życia i entuzjazm. Nawet jeśli musiała zakuwać do kolejnych klasówek czy egzaminów. Czy też – w późniejszych latach – uporać się z pracami klasowymi swoich uczniów i wieloma innymi obowiązkami. Radość z przyjścia wiosny była zadośćuczynieniem za każdą przykrość czy trud.

Tym razem sprawy wyglądały jednak inaczej. Patrząc na poruszaną wiatrem firankę i na białe obłoczki przesuwające się po błękitnym niebie,

doznawała uczucia przykrej pustki w sercu. A także smutku. Wbrew przepięknej pogodzie, ptasim trelom dobiegającym z pobliskiego parku i – jakby na przekór – pokrzykiwaniami rozdokazywanych dzieci z placu zabaw za rogiem. Jak również gwarom rozmów na osiedlowych alejkach i na balkonach sąsiadów.

Gdzieś w oddali rozległa się głośna kanonada klaksonów samochodowych.

Weronika skrzywiła się. Mieszkała blisko ruchliwej ulicy, na osiedlu, na którym życie tętniło od wczesnych godzin porannych do ciemnej nocy. Gdy rok szkolny formalnie dobiegnie końca, okoliczna młodzież będzie ten fakt świętować do bladego światu. I bynajmniej nie skończy się na jednej imprezie. Ten gwar, ruch, pokrzykiwania zawsze Weronikę irytowały, męczyły. Wychowana na spokojnej wsi, w dodatku w domu, który znajdował się daleko od ludzkich siedzib, za to blisko natury, nauczyła się kochać spokój i ciszę i w nich znajdowała ukojenie. Zupełnie inaczej niż jej brat, Oskar, który – jak twierdził – niejednokrotnie był bliski dostania zajoba na tym odludziu. I gdy tylko czmychnął na studia, niemal natychmiast zasmakował życia w wielkim mieście, a do rodziców zaglądał tylko wtedy, gdy naprawdę już nie wypadało postąpić inaczej. A kiedy siostra wyraziła któregoś dnia swoją dezaprobatę i zdumienie wobec jego zwyczajów, w odpowiedzi jedynie wzruszył ramionami i oświadczył, że to raczej on nadziwić się nie może jej przywiązaniu do takiego zadupia. Choć zaraz sprostował, że właściwie z drugiej strony już dawno przyjął to do wiadomości. Przecież zawsze byłaś taką grzeczną córeczką mamusi i tatusia, skwitował. Zabrzmiało to prowokacyjnie, Weronika nie dała się jednak wciągnąć do dyskusji na ten temat. Zamiast tego obruszyła się i przez pewien czas nie odzywała się do niego. Nie potrzebowała żądać od niego wyjaśnień, co właściwie miał na myśli. Doskonale to wiedziała.

Kiedyś zresztą jej to powiedział i Weronika nie miała cienia wątpliwości, że wciąż trzymał się tamtej opinii.

Wesołe okrzyki bawiących się za oknem dzieci przywróciły ją do rzeczywistości. Z westchnieniem podniosła się od biurka. Wskazówki zegara wskazywały godzinę dwudziestą pierwszą. Co, u licha, ta dzieciarnia robiła jeszcze na osiedlowym podwórzu?! Zaraz jednak przypomniała sobie, że także ona jako dziecko korzystała ile wlezie z ładnej pogody i nierzadko, nawet po zmroku, hasała jeszcze w ogrodzie lub na podwórku. I miała ku temu znacznie lepsze warunki niż dzieciaki z wielkomiejskiego zabetonowanego blokowiska.

Tak, w przeciwieństwie do młodszego brata, zawsze doceniała zalety mieszkania w oddaleniu od innych ludzkich siedzib. Duży, wygodny dom rodziców został wybudowany w bardzo bliskim sąsiedztwie lasu, który o każdej porze roku ukazywał inne, zawsze jednak fascynujące oblicze. Zimą zdawał się zastygać w nieruchomej pozie, tym samym wprowadzając nastrój panującej wokół uroczystej ciszy, a pokryte białą czapą śniegu drzewa sprawiały wrażenie wręcz bajkowej iluzji. Pierwszy powiew wiosennego wiatru odczarowywał to wrażenie; kraina lodu i śniegu stawała się krainą życia. Las budził się z zadumy i rozbrzmiewał ptasimi trelami, w porównaniu z którymi śpiewy „miejskich” ptaków wydawały się bardzo smutne, wręcz żałosne. Wszystko się zieleniło, każdego dnia wzbogacając się o nowe odcienie i kolory, których prawdziwa kanonada następowała jesienią. Frontowa część domu wychodziła na łąkę i pola, wzdłuż których przebiegała piaszczysta droga prowadząca do wsi, dwa kilometry do najbliższych zabudowań. Mieszkańcy Jaktorowa, poza nielicznymi wyjątkami, nadziwić się nie mogli, że Reczyńscy zdecydowali się żyć na takim odludziu.

– Ja bym jednej nocy nie dała rady przespać w tym miejscu – perorowała kiedyś jedna z gospodyń, a reszta kobiet skwapliwie jej potakiwała. – Oka bym nie zmrużyła. Ani to normalne, ani po prawdzie bezpieczne. Mało to bandytów i złodziei po tym świecie chodzi? Z każdym rokiem coraz gorzej.

A kiedy matka Weroniki zapewniała, że nigdzie nie czuje się tak dobrze i bezpiecznie jak w swoim domu „na odludziu”, a w dodatku wcale nie ma wrażeń osamotnienia – na ogół spotykała się z niedowierzaniem.

Zarówno pani Reczyńska, jak i jej mąż, a także Weronika dość szybko zdali sobie sprawę, że nie ma sensu nikogo przekonywać, że nie odczuwają samotności i wyobcowania, bo o każdej porze roku, nawet zimą, słyszą, a niejednokrotnie widują zwierzęta, a przyroda potrafi przemawiać bardzo głośno, sugestywnie i zrozumiale. Podali za to inny argument – szeroką drogę, która łączy ich ze wsią. Choć i on był łatwy do obalenia. I w dodatku wywoływał kolejną falę utyskiwań i narzekań.

Droga? – sarkano w odpowiedzi. – Ta uklepana breja piachu i trawy? Pół biedy, gdy jest sucho. Ale zimą albo gdy nastają roztopy czy też, nie przymierzając, po zwykłym deszczu, owa „droga” zamieniała się w coś, co nie nadawało się do przejechania ani wozem, ani samochodem. A piesza wędrówka oznaczała karkołomny trud. Owa „droga” od ponad czterdziestu lat, to jest odkąd powstała, wciąż wyglądała tak samo, jakby czas stanął w miejscu. Czy to sanacja, czy okupacja, czy komuna, ów wydeptany lub wyjeżdżony trakt skutecznie opierał się upływowi czasu i zakrętom historii. I nic nie zapowiadało, aby kiedykolwiek miał zostać zmodernizowany.

Jeden tylko pan Lenarkiewicz przytakiwał Reczyńskim i podzielał ich punkt widzenia. Najpewniej dlatego, że jako gajowy mieszkał w środku lasu, a więc w jeszcze większej samotni. I uchodził za jeszcze większego dziwaka niż Reczyńscy. Zarazem jednak, podobnie jak to było w przypadku

Lenarkiewiczów, Reczyńscy byli szanowani i lubiani zarówno w Jaktorowie, jak i w okolicznych miejscowościach, a fakt ten w dużej mierze zawdzięczali swojej profesji. Oboje byli weterynarzami, a ci, jak wiadomo, na prowincji mieli duże znaczenie. W dodatku zawsze, o każdej porze dnia i nocy, byli gotowi do pracy. I nie zadzierali nosa, co miało nie mniejsze znaczenie. A do tego uchodzili za porządnych, godnych zaufania ludzi, którym wobec tego można wybaczyć drobne dziwactwa, jak na przykład zamiłowanie do życia na odludziu.

I tylko Oskar Reczyński, jako jeden jedyny, wyrodził się z tego stadła. Nie tylko podzielał zdanie mieszkańców Jaktorowa w kwestii mieszkania na odludziu, ale też w ogóle żywił wzrastającą z każdym rokiem niechęć do życia na wsi. Nie było to dla nikogo tajemnicą; już jako uczeń miejscowej podstawówki wymądrzał się, co o tym myśli. Kiedy zaś zaczął dojeżdżać do szkoły średniej do Radomia, tym bardziej utwierdził się w przekonaniu, że tak szybko, jak tylko będzie to możliwe, wyprowadzi się z Jaktorowa. Co też uczynił, gdy dostał się na studia.

– Nie bądź głupia, zrób to, co ja mam zamiar zrobić – przekonywał starszą siostrę, gdy jeszcze oboje, jako uczniowie szkoły średniej, dzień w dzień wyruszali pekaesem do liceum w Radomiu. Pokonanie trzydziestu kilometrów zajmowało niekiedy (wliczając w to przesiadki i oczekiwanie na autobus) około dwóch godzin. Weronika nie chciała jednak słyszeć, by miała z tego powodu kiedykolwiek opuścić rodzinne strony. Nawet codzienne trudy nie wydawały jej się tak straszne jak perspektywa opuszczenia domu, lasu, ogrodu. Przeciwnie – dojazdy do szkoły miały w jej oczach swój urok. Towarzyszyła jej cała gromada kolegów i koleżanek z ich dawnej kochanej, swojskiej „budy”, czyli jaktorowskiej podstawówki, w której wychowały się i kształciły całe pokolenia mieszkańców. I która w pewnym sensie była ich domem, a wobec tego i oni

czuli się rodziną. Ileż mieli uciechy, gdy wędrowali razem na przystanek, a potem ścigali autobus do Radomia, który nigdy nie zjawiał się na przystanku zgodnie z rozkładem jazdy. Pół biedy, jeśli się spóźnił; gorzej, gdy odjechał za wcześnie. Albo nie zatrzymał się w Jaktorowie, bo miał już „pełne obłożenie” pasażerami, którzy wsiedli w sąsiednich, pierwszych na trasie jego przejazdu, miejscowościach. Choć mógł się nie zatrzymać także z wielu innych powodów, nie zawsze dających się racjonalnie wytłumaczyć. Okoliczności te wystarczały, by wyprowadzić z równowagi Oskara. Weroniki jednak nie zniechęcały, nawet zimą, gdy dojazdy stawały się jeszcze trudniejsze.

A jednak i ona w końcu wyprowadziła się z Jaktorowa. Choć z zupełnie innych powodów niż brat.

– Mamo, jestem głodny.

Głos ośmioletniego Michałka przywrócił ją do rzeczywistości. Wybudził ze wspomnień, odsunął obraz pól, lasów i ogrodu wokół domu w rodzinnej wsi. Zmusił do powrotu do realiów, czyli niewielkiego mieszkania na warszawskim Żoliborzu. Na szóstym piętrze bloku, z którego rozciągał się widok na identyczne budowle z wielkiej płyty i wyasfaltowane place, gdzieniegdzie tylko urozmaicone zaniedbaną piaskownicą, zjeżdżalnią i huśtawką dla najmłodszych, względnie kilkoma ławkami z odłóżką farbą dla tych nieco starszych czy wręcz najstarszych mieszkańców.

To teraz jest twoje miejsce, kiedy wreszcie to pojmiesz?

Słowa Jarka, byłego męża, zabrzmiały w jej głowie niczym głos z odległej galaktyki, a przynajmniej z innej epoki. Cóż, w pewnym sensie tak było. Były przecież związane z inną epoką, przynajmniej w jej życiu.

– Mamo, będzie jakaś kolacja? – Starszemu bratu zawtórował młodszy o rok Piotruś.

– Oczywiście, kochanie – Wyciągnęła ręce, a obaj chłopcy znaleźli się w jej ramionach. Michaś, jak zwykle, z pewnym ociąganiem. Piotruś za to ochoczo i z radością. – Boże, przecież już po dziewiątej, od sześciu godzin nic nie jedliście. Wszystko przez tę robotę, taka byłam zajęta – tłumaczyła się, choć przecież dzieci wcale tego od niej nie wymagały. To raczej sama przed sobą próbowała usprawiedliwić własną nieporadność. Nie radziła sobie z codziennymi obowiązkami i wiedziała, dlaczego tak było. Jarek wskazał jej kiedyś przyczynę takiego stanu rzeczy, a ona bardzo się wtedy na niego obraziła. To była jedna z szeregu kłótni, gdy oskarżając się niemal o wszystko, wygarniali sobie nawzajem wszelakie wady, winy i najróżniejszego rodzaju niedociągnięcia. Z perspektywy czasu Weronika już tego tak szczegółowo nie rozpamiętywała, bo jakie to teraz miałyby znaczenie? Z wyjątkiem tego jednego zarzutu – gdy wytknął jej, dlaczego tak marnie radziła sobie z codziennymi obowiązkami. Przy czym nie chodziło mu nawet o jej nieporadność, ta według niego nie była problemem, którego nie dałoby się przewyciężyć, lecz o jej brak chęci i woli, by stawić czoła realiom i wyzwaniom, jakie przyniosło życie. Nie mogła o tym zapomnieć choćby dlatego, że jej własny brat, niezależnie od jej męża, powtórzył niemal słowo w słowo to samo. Co wprawdzie dźgnęło ją do żywego, lecz, szczerze mówiąc, nie zaskoczyło. Jarek i Oskar zawsze bardzo dobrze się rozumieli i lubili. Tak naprawdę jednak w głębi duszy wiedziała, że obaj mieli rację. Wtedy, przed laty, nie była rzecz jasna zdolna do takiej refleksji. Wtedy była przede wszystkim wściekła, a rodzice, zwłaszcza ojciec, tylko ją w tym utwierdzali. Potem jednak czas i zmienione warunki życia, w jakich przyszło jej funkcjonować, sprawiły, że musiała stanąć twarzą w twarz z prawdą o sobie samej. I zweryfikować wcześniejsze, zdecydowanie zbyt wyidealizowane, wyobrażenie co do własnej osoby.

– Co byście zjedli? Może kanapki z mieloną i pomidorem? – zagadnęła, podążając do kuchni.

W lodówce miała zapas puszek z mieloną, przywieziony jeszcze przez rodziców dwa tygodnie temu. Regularnie zajmowali się zaopatrzeniem jej lodówki. Tobie samej, w mieście, ciężko ze wszystkim podołać, tłumaczył tata. Nie masz kiedy stać w tych wszystkich kolejkach, a my na wsi mamy więcej możliwości.

Przy czym rzecz jasna nie chodziło o fakt, że sklep w Jaktorowie był lepiej zaopatrzony niż supersam na jej osiedlu. Kolejki na wsi bywały niejednokrotnie nawet dłuższe, kwitł jednak pokątny handel. Zwłaszcza zaś „pan doktor od zwierzaków” mógł liczyć na hojne dowody wdzięczności ze strony okolicznych gospodarzy. A poza tym od kilkunastu lat prowadził kilka szklarni, co okazało się nie tylko dobrym interesem, ale i zapewniało Weronice darmowe warzywa.

– Bierz, sami tego przecież nie zjemy – przekonywał córkę Reczyński, choć ona, po prawdzie, nieszczególnie się wzbraniała przed taką pomocą.

Matka przeważnie się nie wtrącała, rzadko kiedy zresztą mąż dopuszczał ją do głosu. Weronika jednak, za każdym razem, gdy na nią patrzyła, nie mogła powstrzymać się przed refleksją, że w przeciwieństwie do niej mama zawsze dobrze sobie ze wszystkim radziła. Choć przyszło jej pracować, prowadzić dom i wychowywać dzieci w znacznie trudniejszych warunkach i okolicznościach. A do tego chyba nigdy mąż nie rozplýwał się nad nią tak jak nad kochaną córeczką. Ani razu bodaj nie pochwalił, choć jak najbardziej na to zasługiwała. Tak jakby to, co robiła, było czymś najbardziej oczywistym pod słońcem.

– Szkoda, że skończyło się już to ciasto od babci – poskarżył się Michał, gdy mocowała się z otwarciem puszek. Próbowwała zrobić to nożem, bo jak na złość zginął gdzieś otwieracz do konserw.

Muszę w końcu posprzątać ten cholerny pieprznik, jęknęła w duchu Weronika, rozglądając się z niechęcią po kuchni, w której mało co miało swoje stałe miejsce i w rezultacie ciągle czegoś szukała.

Usłyszawszy uwagę syna, zmusiła się jednak do pogodnego (w miarę) uśmiechu.

– Przecież babcia przywiozła szarlotkę dwa tygodnie temu. Jakim cudem ciasto miałoby dotrzeć do dzisiejszego dnia?

– Ale ja mówię o cieście od babci Eweliny – sprostował cicho chłopiec i oboje natychmiast uciekli od siebie spojrzeniami.

No tak, dwa dni temu chłopcy byli z wizytą u rodziców Jarka. Wrócili obdarowani różnymi smakołykami, z których większość już skonsumowali. W tym słynne drożdżowe ciasto babci Eweliny. Weronika krzywiła się w duchu na te łakocie. Podzielała zdanie swojego ojca, że dziadkowie Piontkowscy częstowali chłopców niezdrowymi słodyczami, ale gdy kiedyś zwróciła na to uwagę Jarkowi, ten odparł, aby przypatrzyła się lepiej zwyczajom własnych rodziców, bo na przykład jemu niektóre z wychowawczych metod, zwłaszcza byłego teścia, nieszczególnie przypadły do gustu. Niewiele brakowało, a podjęłaby rękawicę i rozpoczęła regularną kłótnię, ale po pierwsze Piotruś się rozplakał, a po drugie akurat jak na złość całe zajście miało miejsce w obecności Oskara, ten zaś jak zwykle dał jej do zrozumienia, aby lepiej ugryzła się w język. Potem, gdy Jarek już wyszedł, brat wprost zarzucił jej pospolitą (tak, pospolitą!) małostkowość. W rezultacie zareagowała jak zwykle w podobnych okolicznościach, czyli nie odzywała się do niego przez kilka tygodni, niemniej od tej pory pilnowała się, aby znowu nie powiedzieć jakiejś uszczypliwej uwagi pod adresem Piontkowskich.

– Przecież oni cię zawsze bardzo lubili, mamusiu – przypomniał jej kiedyś w przyпыływie szczerości Michaś. – Cały czas cię lubią. Zawsze

proszą, aby cię pozdrowić.

W duchu musiała przyznać mu rację, co było dodatkowym argumentem, by na przyszłość trzymać w tej kwestii język za zębami. Tym bardziej że i Jarek, o ile nie został sprowokowany, powstrzymywał się przed komentarzami na temat jej rodziców.

– No, nie mamy żadnego ciasta – odparła pogodnie, odnosząc się do wcześniejszej uwagi synka. – Niestety nie miałam czasu upiec. – Zresztą i do tego mam dwie lewe ręce, upomniała się w duchu. – Ale już za tydzień pojedziemy do Jaktorowa, a tam z pewnością ciastek wam nie zabraknie.

– Fajnie – przytaknęli chłopcy, obserwując, jak kroić pomidora i cebulę, oczywiście z dziadkowej szklarni.

Kochali Jaktorowo, podobnie jak ona. Maleńki, pracowniczy ogród działkowy dziadków Piontkowskich, położony na przedmieściach Warszawy, nie wytrzymywał konkurencji z rozległą posesją Reczyńskich.

– Ale potem pojedziemy w góry z tatą – dodał Michaś. Zabrzmiało to trochę jak wyzwanie, a także jak przypomnienie. Tak na wszelki wypadek.

Weronika wyczuwała napięcie syna i dlatego rozciągnęła wargi w uśmiechu. Niestety dość wymuszonym, z czego doskonale zdawała sobie sprawę. Nie chcąc, aby dzieci to spostrzegły, na wszelki wypadek mrugnęła do nich.

– Pewnie, że pojedziecie – rzekła na tyle swobodnie i radośnie, na ile zdołała. W każdym razie obaj chłopcy odetchnęli z widoczną ulgą.

Rozdział 3

– Jeśli mam być szczery, to nie podoba mi się ten pomysł z wyjazdem w góry – oświadczył z nieskrywaną niechęcią w głosie Jan Reczyński.

Zarówno jego żona, jak i córka przyjęły te słowa z milczącą rezygnacją, zdecydowanie bardziej niepokoiła je reakcja Oskara. I choć wpatrywały się w niego z niemą prośbą, by nie podejmował tematu, ten oczywiście zupełnie je zignorował.

– Przecież tobie nikt nie każe jechać w żadne góry – oświadczył, uśmiechając się ironicznie do ojca.

Reczyński, co było jasne do przewidzenia, poczerwieniał.

– Chodzi mi o chłopców – warknął. – Są zdecydowanie za mali na takie wyprawy. W dodatku w towarzystwie człowieka, który nie jest przykładem wzorowej odpowiedzialności.

– Dajcie już temu spokój – odezwała się pojednawczym tonem Izabella Reczyńska. – Popatrzcie lepiej, jak pięknie w tym roku zakwitły forsycje.

– Chłopcy jadą tam ze swoim ojcem. – Oskar nawet nie rzucił okiem na krzewy. – I na przyszłość postaraj się powściągać swoje uwagi. Przynajmniej w obecności dzieci.

– Przecież nie ma ich tutaj – ponownie łagodnie odezwała się Izabella. – Bawią się w ogrodzie.

– Przecież widzę, że akurat w tym momencie nie ma ich w pokoju – odparł jeszcze bardziej poirytowany syn. – Ale nie mam cienia wątpliwości, że dla szanownego taty to akurat bez znaczenia. Nieraz pozwalał sobie na podobne komentarze w ich obecności.

– Oskar, daj już spokój. – Weronika nie wytrzymała. W tym momencie była jeszcze bardziej purpurowa na twarzy niż Reczyński, tyle że, w przeciwieństwie do ojca, bardziej z powodu wstydu niż oburzenia.

Brat wzruszył ramionami, rzuciwszy jej jednocześnie pełne politowania spojrzenie.

– O co chodzi? Przecież nie zabroniłem ojcu wygłaszać tych wszystkich mądrości w twoim towarzystwie, jeśli ci one nie przeszkadzają. Jednak chłopcy to co innego. Sama powinnaś to wiedzieć i reagować, a przynajmniej nie protestować, gdy inni to robią zamiast ciebie.

– Inni?! – uniósł się ojciec. – Jacy znowu inni?! Oprócz ciebie nikt nie ma najmniejszych wątpliwości, że tamten niezguła i nieudacznik...

– Nikt? – przerwał mu syn. – W takim razie czuję się w obowiązku oświecić cię, że cała wasza trójka jest raczej osamotniona w swojej opinii na temat Jarka. – Wskazał na zmieszane kobiety. – Nasza dalsza rodzina i niemal wszyscy znajomi raczej nie wieszali na nim psów, choć oczywiście w twojej obecności nie szafują pochwałami. Nie mają ochoty na dyskusje z tobą, tato – dokończył, wydymając wargi.

Na dłuższą chwilę zapadła ciężka cisza. Od wczesnego popołudnia, to znaczy odkąd Oskar nawiedził rodzinne progi, atmosfera w Jaktorowie gęstniała z godziny na godzinę i każdy instynktownie czekał na wyładowanie. Weronika, która pomimo różnych zgrzytów, do jakich niekiedy między nimi dochodziło, kochała brata i tęskniła do spotkań z nim, tym razem z całego serca sobie życzyła, aby nie przedłużał wizyty u rodziców. Przyjechała tu z dziećmi tydzień temu, niemal zaraz po

uroczystości zakończenia roku szkolnego, choć gwoli ścisłości należałoby dodać, że przywiózł ich tu Jan Reczyński. Ona sama nie potrafiła prowadzić, ale nawet gdyby posiadała tę umiejętność, i tak nie byłoby jej stać na własne auto. Bez materialnej pomocy rodziców raczej w ogóle nie utrzymałaby się na powierzchni.

Po rozwodzie Jarek pozostał w wynajmowanej niegdyś przez nich kłitce na Saskiej Kępie. Weronika z dziećmi przeprowadziła się do załatwionego jej przez ojca mieszkania na Żoliborzu. Rodzice je umeblowali i co miesiąc dokładali do czynszu, jak również do pozostałych opłat. Wprawdzie Jarek nie zalegał z alimentami, ale zdaniem Reczyńskiego było tego tyle, co kot napłakał, i on, jako ojciec i dziadek, nie zdzierżyłby, aby jego córka i wnuki miały żyć w nędzy tylko dlatego, że dziewczyna kilka lat temu straciła głowę dla jakiegoś przemądrzałego gołodupca, który nie potrafił zapewnić jej godziwych warunków.

– Naprawdę musisz ciągle go drażnić? – westchnęła Weronika, gdy po obiedzie wyszła razem z bratem i chłopcami na małą przechadzkę. – Nie widzisz, że to i tak do niczego nie prowadzi?

W pierwszej chwili, gdy Oskar zaproponował jej spacer, zachnęła się, będąc pewna, że usłyszy te same pouczenia, co zazwyczaj. A dotyczyły one niezmiennie jej postępowania, zarówno wobec rodziców, jak i Jarka. Nie miała ochoty słuchać tego po raz enty, a z drugiej strony doskonale zdawała sobie sprawę, że wszelkie protesty i żądania, aby brat nie wtrącał się do jej spraw, zostaną przez niego jak zwykle zignorowane. Toteż, aby uniknąć kolejnej tego typu wymiany zdań, odparła, że pomoże matce pozmywać naczynia. Jednak na nic się to nie zdało.

– Przejdźcie się, pogadajcie. – Iza natychmiast poparła syna. – Poradzę sobie ze zmywaniem, a wy tak rzadko macie okazję do rozmowy.

Weronice nie pozostawało zatem nic innego, jak spełnić prośbę matki i brata. Początkowo zresztą Oskar zdawał się bardziej zainteresowany towarzystwem siostrzeńców niż siostry. Zagadywał do nich, przekomarzał się, żartował, a nawet na pobliskiej leśnej polanie przez kilkanaście minut kopał z nimi piłkę. Weronika obserwowała go w milczeniu, rozkoszując się jednocześnie łagodnym powietrzem, ciepłymi promieniami słońca i delikatnym wietrzykiem, który od czasu do czasu rozwiewał jej grzywkę. Wiedziała, że tak czy inaczej nie uniknie rozmowy na rodzinne tematy i dlatego wołała rozpocząć ją na własnych warunkach. Gdy wreszcie brat do niej podszedł, od razu zwróciła się doń z łagodną wymówką. Czemu stale drażnił się z ich ojcem, skoro rezultat wciąż pozostawał ten sam.

Potrząsnął głową.

– Mylisz się. Dzięki temu stary trochę się pilnuje.

– Naprawdę tak myślisz? – Mimo wszystko nie potrafiła powstrzymać się od uśmiechu. – Za kogo ty się masz, braciszku?

W odpowiedzi także się uśmiechnął.

– Zawsze tak mówisz, gdy jesteś na mnie zła. I gdy w głębi duszy przyznajesz mi rację.

– Skąd wiesz, o czym myślę w głębi duszy? – zachnęła się, odwracając od niego wzrok.

– Wiem, że wciąż myślisz o Jarku.

– Nieprawda. – Zacerwieniła się.

– Wiem, że myślisz – powtórzył, zupełnie niezrażony jej tonem. – Że żałujesz...

– Żałuję, że za niego wyszłam. Na pewno nie tego, że się rozstaliśmy – zaperzyła się. – A ty znowu posuwasz się za daleko.

Spróbował odgarnąć zdecydowanie za długą grzywkę opadającą jej na oczy, ale uchyliła się przed tym pieszczotliwym gestem. Nadal nie

odwzajemniała jego spojrzenia.

– Skoro się przy tym upierasz... – westchnął i ruszył w kierunku chłopców.

– Nie, to ty się upierasz, aby wmawiać mi podobne bzdury! – Nie wytrzymała. – Bo to właśnie ty żałujesz, że od niego odeszłam.

Niewiele brakowało, a dodałaby, że oprócz niego nikt inny w rodzinie nie ubolewał nad rozpadem jej małżeństwa, ale w porę ugryzła się w język. Wciąż brzmiały jej w uszach słowa, które brat wypowiedział przy stole, a mianowicie, że członkowie dalszej rodziny (było to zaledwie kilka osób, z którymi zresztą od lat nie utrzymywało się już stosunków), jak i znajomi lubili Jarka. W dodatku miała nieodparte wrażenie, że w tej sprawie raczej się nie mylił.

Oskar zatrzymał się w pół kroku i odwrócił do siostry.

– Tak, ja cholernie tego żałuję – przyznał. – Nadal uważam, że Jarek był dla ciebie darem od losu, zapewne i od samego Pana Boga. Ale ty pozwoliłaś, aby stary nawijał ci na uszy swoją śpiewkę i w rezultacie dopiął swego. Nadal mu na to pozwalasz. Zresztą nie raz to mówiłem i chyba już powoli odechciewa mi się powtarzać.

– Ale jednak stale do tego wracasz – wtrąciła ostro. – Choć i ja dziesiątki razy próbowałam ci wytłumaczyć, że ta moja małżeńska idylla istniała tylko w twojej wyobraźni. A fakt, że uważasz go za najlepszego kumpla, niczego tu nie zmieni. Nie mogę ci tego zabronić, ale...

– Z pewnością nie możesz – przytaknął rozbawiony i ten ton jeszcze bardziej ją rozzłościł.

– Ojciec też ci tego nie zabrania – wyrzuciła z siebie, ale pocisk chybił celu. Zresztą sama ponieważ przyznała, że zabrzmiało to rozpaczliwie infantylnie, by nie rzec: głupio.

– Nie – przytaknął jeszcze bardziej rozbawiony Oskar – choć zapewniam cię, że chętnie by to zrobił, tyle że od niepamiętnych czasów nie ma już władzy nade mną. Zresztą pogodził się z tym. Wystarczy mu władza nad tobą i mamą. Tylko dlatego, że obydwie dałyście sobie wmówić, że bez niego byście przepadły z kretesem.

Bo tak by było, przemknęło jej przez głowę, zanim zdołała zapanować nad tą myślą. W każdym razie prawda wyglądała tak, a nie inaczej. Przynajmniej w jej przypadku.

– Jeśli wywlokłeś mnie na ten spacer, aby znowu nawijać mi te same bzdety, to dziękuję, ale wracam do domu – oznajmiła zimno i byłaby to naprawdę zrobiła, ale ją zatrzymał.

– To ty zaczęłaś ten temat, nie ja – przypomniał. – Ty mnie zaatakowałaś, że czepiam się starego, więc musiałem odpowiedzieć, no nie?

Zawahała się, ale nie odeszła. Rzuciła na niego zakłopotane, niepewne spojrzenie.

– Właściwie to dlaczego tu przyjechałeś? Przecież nie lubisz Jaktorowa. – A gdy nie odpowiadał, podpowiedziała nieco przekornym tonem: – Zateśniłeś za mamą?

– A może za tobą?

– Za mną? Akurat! Mam w to uwierzyć? – Mimo wyrażonej wątpliwości poczuła, że robi jej się cieplej na sercu. – Wariat z ciebie.

– Oboje czasem wariujemy. W końcu jako rodzeństwo musimy mieć ze sobą coś wspólnego.

No tak, pomyślała. Może choć jedna cecha powinna ich jednak łączyć. Bo poza tym różnili się niemal pod każdym względem. Ona, wysoka, bardzo szczupła szatynka, była raczej podobna do ojca. Miała też takie jak on ciemne oczy, choć ich spojrzenie było już zupełnie inne, pewnie dlatego,

że odziedziczyła po ojcu jedynie pewne cechy wyglądu zewnętrznego, nie charakter. Oskar dla odmiany był bardziej podobny do matki – tak jak ona miał jasne, kręcone włosy o rudawym odcieniu, a także szaro zielone oczy. Jednak, podobnie jak ojciec, miał silną osobowość, był energiczny, stanowczy i zuchwały – i zapewne te właśnie wspólne cechy tak utrudniały im obu wzajemne porozumienie.

– No więc dobrze, tęskniłeś za mną – stwierdziła znacznie pogodniejszym tonem niż poprzednio. – W takim razie czemu częściej nie odwiedzasz mnie w Warszawie?

– Dobrze wiesz czemu. Oboje jesteśmy zajęci jak cholera. – Zerknął na nią i uśmiechnął się przyjaźnie. – Ale za to teraz mam prawie pewną wiadomość. Kierownictwo wytypowało mnie do podróży służbowej do Paryża.

– Naprawdę? – Serce zabiło jej mocniej, ucieszyła się, zaraz jednak poczuła lekkie ukłucie zazdrości. Rok temu brat porzucił nudny etat w niedającym żadnych ciekawych perspektyw przedsiębiorstwie i zatrudnił się w innym, współpracującym z jedną z francuskich firm. Oznaczało to dużo wyższe zarobki, a niewykluczone, że także możliwość odbycia szkolenia i stażu we Francji. Tymczasem ona, pomimo że ukończyła romanistykę, nie miała najmniejszych szans na taki rozwój i korzyści zarobkowe, jakie były udziałem Oskara. Tylko dlatego, że na drugim roku studiów zakochała się jak idiotka, zaszła w ciążę i w rezultacie wyszła za mąż za faceta, który nie potrafił zapewnić im godziwych warunków do życia. Co tam godziwych! Z trudem wiązali koniec z końcem i szczerze mówiąc, gdyby nie pomoc rodziców i teściów, pewnie zostaliby w końcu wyrzuceni na zbity pysk z wynajmowanej klitki. A jakby tego było mało, niemalże zaraz urodziło im się drugie dziecko. To prawdziwy cud, że w tych warunkach w ogóle udało jej się skończyć studia, wielka w tym

zasługa mamy i teściowej, które zajęły się chłopcami. Na samo wspomnienie tamtych dni, miesięcy i lat Weronika bezgłośnie westchnęła. Kochała swoich synków, ale jednocześnie nie potrafiła (nie chciała?) pozbyć się przeświadczenia, że macierzyństwo odebrało jej młodość. Przyszło zdecydowanie zbyt wcześnie. Okres studiów, przez wielu postrzegany jako najpiękniejszy w życiu, dla niej oznaczał bezustanne wyrzeczenia, chroniczne zmęczenie, stres, niezadowolenie, a przede wszystkim odarcie ze złudzeń – że miłość wynagradza wszystkie niedogodności, bo u boku ukochanego człowieka można je z pewnością pokonać. I cieszyć się każdym dniem. No cóż, w jej przypadku to się nie sprawdziło.

Albo też ta wielka miłość okazała się po prostu wielką pomyłką. Z pewnością zarówno ona, jak i Jarek bardzo się sobą rozczarowali.

Gdyby nie dzieci, na pewno poszukałabym innej pracy, nie utknęłabym w szkole – to była kolejna niewesoła refleksja, na którą Weronika od czasu do czasu sobie pozwalała. W każdym razie zawsze wtedy, gdy obserwowała życie swojego brata, gdy słuchała o jego pracy. Rodzice (zwłaszcza mama) mogli załamywać ręce, że się jeszcze nie ustatkował i nie założył rodziny – ona skrycie mu zazdrościła. Czasami niemal do szaleństwa. Jak choćby teraz, gdy wspomniał o możliwości wyjazdu do Francji.

Gdy tymczasem ona mogła co najwyżej o tym pomarzyć.

– Dobrze ci – westchnęła. – Gdy pomyślę, że skończyłam romanistykę i ani razu nie byłam we Francji...

Właściwie nigdzie za granicą, ściśle rzecz ujmując, ale tę uwagę już sobie darowała.

– Naprawdę o tym marzyłaś? – zdziwił się i nie wyglądało na to, aby jego zdumienie było udawane. – O ile sobie przypominam, zawsze ciągnęło

cię jedynie do Jaktorowa. Tutaj czułaś się najlepiej. Na dobrą sprawę nigdy nie przywykłaś do Warszawy.

W pewnym sensie była to prawda, lecz tylko w pewnym sensie.

– Rozmawiamy przecież o Paryżu, nie o Warszawie – przypomniała żartobliwie. Choć nie do końca był to tylko żart.

Przez chwilę w milczeniu obserwowali bawiące się dzieci.

– Jutro zaprowadzę ich do Klepczarków – odezwała się wreszcie Weronika. – Tych, co mieszkają najbliżej kościoła. Mają syna i dwie córeczki, Michał i Piotrek uwielbiają się z nimi bawić.

– Jeśli faktycznie uda mi się wyjechać do Paryża, odwiedzę tam ciotkę Wandę – odparł niespodziewanie Oskar, jakby w ogóle nie usłyszał słów siostry. Albo jakby ich sens nie miał dla niego znaczenia; ta druga możliwość była nawet bardziej prawdopodobna.

– Ciotkę Wandę? – powtórzyła bezwiednie Weronika i nagle pociemniało jej w oczach. Oskar zawsze potrafił ją zaskoczyć, tym razem jednak przeszedł sam siebie.

– Tak. Wandę Bellodi. Czemu cię to dziwi? – prychnął, choć przecież znał odpowiedź na ostatnie pytanie.

– Przecież ona od półtora roku...

– Nie żyje. Zgadza się. Chyba czas najwyższy, aby ktoś z bliskiej rodziny odwiedził miejsce jej wiecznego spoczynku, nie uważasz?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– To siostra naszego tatuśka. Nawet jeśli on dawno o niej zapomniał.

– Raczej ona o nim. O nas wszystkich.

– To wersja oficjalna.

– No, jasne – zirytowała się. – A ty jak zwykle doszukujesz się drugiego dna. Nie przypominam sobie, abyś choć raz przyznał rację tacie. Dał wiarę

jego słowom.

W każdym razie jak zwykle zastosował tę samą taktykę. Prowokował ją, niekiedy doprowadzając do białej gorączki, sam jednak nigdy się nie unosił. Zachowywał spokój, a nawet czasem podejrzewała go, że dobrze się bawił, widząc jej reakcję. Na dobrą sprawę robił tak od dzieciństwa, a ona zawsze łatwo się temu poddawała. Nie inaczej było i tym razem.

– Ta sprawa z ciotką Wandą – mruknął po chwili Oskar – zawsze mnie zastanawiała.

– Przecież rodzice wytłumaczyli nam...

– Raczej nas zbywali. – Tym razem i w jego głosie odezwała się nutka irytacji. – Czy też raczej mnie zbywali. Bo ty... – Przerwał.

– Bo ja przyjąłam do wiadomości ich wyjaśnienia – dokończyła. – Dlaczego miałabym im nie wierzyć?

Oskar nie odpowiedział od razu. Zamyślonym, jakby nieobecny spojrzeniem wodził po koronach świerków, potem przyglądał się chłopcom.

– Pamiętasz ją? Choć trochę? – spytał wreszcie, ale odezwał się znacznie ciszej niż przed chwilą. Zaraz zresztą potrząsnął głową i sam sobie udzielił odpowiedzi: – Pewnie bardzo słabo. Pewnie dlatego w ogóle nie ma to dla ciebie znaczenia.

– Chcesz powiedzieć, że ty, dla odmiany, tak dobrze ją zapamiętałeś? – spytała wyzywająco. Był przecież dwa lata młodszy od niej.

W odpowiedzi tylko wzruszył ramionami.

– No tak – westchnęła i bezwiednie zapatrzyła się na przesuający się po niebie samolot. Odprowadziła go spojrzeniem aż po horyzont, dopóki nie zniknął, zostawiając białą smugę na pogodnym niebie.

Zmrużyła oczy jak człowiek, który stara się dostrzec coś, co znajduje się daleko. Lub próbuje wypatrzeć jakiś szczegół, który mu umknął. W jej przypadku było to jakieś mgliste wspomnienie. Samochodu znikającego za

zakretem drogi. Albo właśnie samolotu, który zanurzył się w ołowianych chmurach.

Głośne szczekanie psa przywróciło ją do rzeczywistości. Początkowo przestraszyła się, bo na polanę wbiegł duży owczarek niemiecki. Po chwili jednak, gdy z porośniętej krzewami ścieżki wyłoniło się troje dzieci, odetchnęła z ulgą. Michaś i Piotruś na widok kolegów zareagowali z radością i entuzjazmem.

Weronika nieodmiennie dziwiła się, widząc tutejsze dzieciaki biegające bez opieki dorosłych po całej okolicy. Ona sama nie wyobrażała sobie, że mogłaby na to pozwolić swoim chłopcom. Choć jednocześnie za każdym razem uprzytamniała sobie, że przecież w wieku swoich synów samodzielnie wędrowała trzy kilometry pieszo do szkoły.

– Naprawdę uważasz, że to jakaś ekstrawagancja z mojej strony? – zapytał z lekką ironią w głosie.

– Zrobisz, jak zechcesz... Jak zwykle.

– Ale...?

– Ale to bez sensu, jeśli już koniecznie chcesz znać moje zdanie.

– Wcale tak nie myślisz – odezwał się po dłuższej chwili milczenia.

– Straciłeś ją z oczu, gdy byłeś małym dzieciakiem. Co najwyżej zachowałeś bardzo mglisty obraz tamtej młodej jeszcze dziewczyny, który, jak podejrzewam, odpowiednio sobie wyidealizowałeś.

– Błyskotliwie to ujęłaś.

– Nie tylko o to chodzi – dodała z rozdrażnieniem. – Ta kobieta przecież naprawdę się od nas odcięła. Żadnych wiadomości, listów, nic. Takie są fakty, nawet ty im nie zaprzeczysz. I to niezależnie od tego, czy wierzysz w wersję rodziców, czy nie.

Miał taką minę, jakby analizował jej słowa, w końcu jednak potrząsnął głową.

– Nawet jeśli tak było, to co z tego?

– Jak to: nawet jeśli tak było? – powtórzyła z oburzeniem. – Przecież tak właśnie było!

– Aż tak bardzo oburza cię fakt, że mam zamiar odwiedzić jej grób? – spytał z lekką ironią w głosie.

Zaczerwieniła się, ale natychmiast odbiła piłeczkę.

– Nie o to chodzi. Po prostu nie podoba mi się, że nie wierzysz i nie ufasz tacie. Że za wszystko go winisz. Nawet za to, że jego siostra zerwała kontakty z naszą rodziną.

– Bo to mnie zdumiewa i niepokoi. Człowiek tak zupełnie bez powodu nie odcina się od rodziny. I pamiętam, że ją lubiłem.

– Miałeś sześć lat, gdy wyjechała. Być może zachowałeś jakieś wspomnienia, ale nie takie, czy ją lubiłeś.

– Taki z ciebie psycholog? – znowu zakpił, a ona ponownie się obruszyła.

Bez pośpiechu sięgnął do kieszeni i wyjął papierosa.

– Dziesięć dni temu dostałem wiadomość z Paryża. Od Lucii Bellodi.

– Od kogo? – zdumiała się.

– Od Lucii Bellodi – powtórzył. – Pasierbicy ciotki Wandy. Dziesięć dni temu otrzymałem wreszcie od niej odpowiedź na mój list.

Rozdział 4

Gdy zajrzała do gabinetu, matka akurat opatrywała jakiegoś małego psiaka, rozmawiając przy tym półgłosem ze starszą kobietą. Obie, słysząc skrzypnięcie drzwi, jak na komendę odwróciły się, a Weronika uśmiechnęła się przepaszająco.

– Przepraszam, że nie zapukałam, ale byłam pewna, że jesteś teraz sama – zwróciła się do matki.

– Nic się nie stało, zaraz kończymy – odparła pogodnie Izabella Reczyńska. – Jeszcze tylko zrobię zastrzyk i po krzyku. Jesteś dziś bardzo grzeczny – ostatnie zdania skierowała do wpatzonego w nią czujnie czworonoga.

– To ja przepraszam, że przyszedłam o takiej godzinie, w dodatku w niedzielę – usprawiedliwiała się niemal pokornie właścicielka psa. – Wiem, że to nieuprzejme z mojej strony, ale...

– Ależ pani Kachlakowa! Uprzejmość nie ma tu nic do rzeczy. Od tego tu jestem, aby pomagać w takich sytuacjach.

– Pani doktor to święta kobieta. Zawsze to powtarzam. Weterynarz w Poniechówku zaraz by pokazał godziny przyjęć, a już w niedzielę... Objechałby człowieka z góry na dół, że mu głowę zawraca.

– Nie przypuszczam. – Reczyńska najwyraźniej uznała za stosowne bronić kolegi po fachu, nawet jeśli stanowił dla niej konkurencję.

– No, ja już tam swoje wiem – odparła klientka, biorąc na ręce psiaka. – A to takie ladaco, że nie sposób czasem upilnować. – Wskazała na psa. – Żaden łańcuch go nie utrzyma, z każdego się zerwie. Dziś to samo. Po kolacji wyjrzałam przez okno, a tej zarazy już przy budzie nie było. Ani chybi ta suka u Nałęczowiaków ma znowu... Wrócił po godzinie, poharatany jak nieboskie stworzenie. Musiał się z innymi psami pogryźć. Głupie to takie, ale człowiekowi zawsze żal stworzenia. I do tego skowyczał tak, że do jutra rana byśmy z nim nie wytrzymali.

– Dobrze, że państwo z nim przyjechali. Mąż na panią czeka?

– Tak, zaparkował pod lasem, żeby tu państwu doktorostwu nie zastawiać wyjazdu z bramy.

– I tak już dzisiaj żadne z nas nigdzie się nie wybiera. A syn odjechał godzinę temu.

Gdy wreszcie wdzięczna i rozpromieniona klientka wyszła, Weronika objęła matkę i spojrzała jej prosto w oczy.

– Ona ma rację – rzekła. – Jesteś święta. Wszyscy tak mówią.

– Ejże, daj spokój. – Matka wyduła żartobliwie wargi. – Poczekaj, poskładam tu wszystko na miejsce i „zaksięguję” w papierach niedzielny zarobek.

Weronika, przycupnąwszy na niskim krześle, obserwowała, jak matka energicznie krzątała się po gabinecie, podśpiewując przy tym cicho. Przed laty był to ich częsty rytuał. Niejednokrotnie, jeszcze jako mała dziewczynka, Weronika przychodziła tutaj, gdy mama kończyła pracę. Czasem pomagała posprzątać, zmyć podłogę, poustawiać równo krzesła. Nie wolno jej było przebywać w tym miejscu podczas zabiegów, szczepień, opatrywania zwierząt, ale i na to znalazła sposób. Wiele razy, przeważnie podczas wakacji, gdy nie miała obowiązków związanych ze szkołą, stawała przy oszklonych drzwiach prowadzących z gabinetu do ogrodu i stamtąd,

ukryta za dużym, rozłożystym krzakiem bzu, obserwowała, co się działo w środku. Jakże wtedy marzyła o pójściu w ślady rodziców. Nawet im zapowiedziała, że pójdzie na weterynarię, a potem będzie pracowała razem z nimi. Choć częściej z matką, która zajmowała się leczeniem niedużych zwierząt domowych. Ojciec wziął na siebie opiekę weterynaryjną nad zwierzętami gospodarskimi. Mawiał, że to zajęcie dla mężczyzny. Zresztą okoliczni gospodarze jak najbardziej podzielali tę opinię i woleli, aby ich końmi, krowami i świniami zajmował się Reczyński, a nie jego żona.

Weronika podziwiała ich oboje i całe lata dzieliła ich pasję. Dopiero w liceum zmieniła zdanie – marzenia o weterynarii zastąpiła pragnieniem zgłębiania francuskiej gramatyki, słownictwa i literatury.

– Jesteś niesamowita – westchnęła, patrząc na matkę. – Zawsze cię podziwiałam. Jak ty sobie z tym wszystkim radziłaś? Praca w Radomiu, gabinet tutaj, a mimo to wszystko na czas ugotowane, posprzątane i uprane. I do tego jeszcze dwoje dzieci, które trzeba było stale mieć na oku, gdy były małe, a potem, jak już trochę podrosły, dopilnować, czy odrobiły lekcje. I robiłaś to zupełnie sama, nie miałaś żadnej pomocy domowej. Co tam pomocy! – Rozłożyła wymownie ręce. – Nawet pralki nie miałaś. Kupiliście ją, kiedy chodziłam już do liceum.

– Nie było tak źle – roześmiała się Reczyńska, zdejmując fartuch i zamykając szafę. – Nie miałam pralki automatycznej, ale pocziwa frania nigdy mnie nie zawiodła. Podobnie jak moje dzieci; oboje uczyliście się jak należy, tak naprawdę nie przypominam sobie, abym musiała zaganiać was do lekcji i sprawdzać wasze prace domowe.

To prawda, wtedy ani ja, ani nawet Oskar nie sprawialiśmy problemów, pomyślała ponuro Weronika, tak naprawdę stało się to dopiero później.

– Poza tym byłam wtedy młoda, a przynajmniej młodsza niż dzisiaj – kontynuowała żartobliwie Reczyńska. – Miałam dużo siły i chęci do roboty.

Nie to, co teraz.

– To i tak więcej, niż ja miałam kiedykolwiek – mruknęła Weronika. – Kiedy porównuję się z tobą, czuję się jak ostatnia ślamazara. Zresztą przy tacie czy Oskarze czuję się tak samo.

– Kochanie... – Izabella łagodnie pogłaskała córkę po ramieniu. – Ty masz inne doświadczenia niż ja. Bardzo smutne doświadczenia. Takie, które odbierają siłę i energię. Ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie zostałam sama z dziećmi.

Weronika, która nie lubiła, gdy rodzice robili jakiegokolwiek aluzje do jej rozvodu, postanowiła czym prędzej zmienić temat.

– Chciałabym cię o coś zapytać – podjęła zupełnie innym tonem.

Reczyńska cofnęła dłoń i ponownie się uśmiechnęła.

– Tutaj? Może pójdziemy na górę, do kuchni. Zrobię kawy, napijemy się w ogrodzie. Taki piękny wieczór – zaproponowała pogodnie. A przynajmniej starała się, aby to tak zabrzmiało.

– Nie. Wolę tutaj – odparła Weronika. Spostrzegłszy jednak wyraźne zaniepokojenie na twarzy matki, dodała już weselej: – W kuchni albo w ogrodzie możemy natknąć się na tatę, a ja wolałabym porozmawiać najpierw z tobą. Tylko z tobą.

– Co się stało? – Izabella przestała się uśmiechać. – Coś niedobrego, tak?

– Nie. To znaczy... – zawahała się Weronika. Boże, potrafiła zupełnie składnie prowadzić lekcje, ale zawsze miała trudności z logicznym wyartykułowaniem tego, co w danej chwili leżało jej na sercu. – Chodzi mi o ciotkę.

– O ciotkę? – zdumiała się Reczyńska.

– Tak. O ciocię Wandę.

Ledwo wyrzuciła z siebie te słowa, a natychmiast przestraszyła się zmiany, jaką spostrzegła na twarzy matki. Jakby w przeciągu kilku sekund matce przybyło ze dwadzieścia lat. Na czole pojawiły się dwie głębokie bruzdy, których jeszcze przed momentem z pewnością tam nie było.

– Nie denerwuj się, mamó. Ja chciałam tylko...

– W jakim celu? – Spojrzenie, jakim Reczyńska obrzuciła córkę, było teraz pełne dezaprobaty, wręcz jawnej niechęci. Weronika nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek wcześniej matka tak na nią patrzyła. Czy ona sama też tak patrzyła na brata, gdy dziś po południu ni z tego, ni z owego zaczął mówić o ciotce?

– Po prostu chciałabym czegoś więcej się o niej dowiedzieć – odpowiedziała, zdając sobie sprawę, jak niepewnie i dziwnie to zabrzmiało.

– To dość zaskakujące – odparła cierpko Izabella. – Przez tyle lat ani razu...

– Zgadza się. Prze tyle lat ani razu nie zapytałam o ciotkę, ale to nie znaczy, że czasem o niej nie myślałam – odparła Weronika, dziwiąc się, jak łatwo przyszło jej to kłamstwo.

Matka jej jednak nie uwierzyła.

– Niech pomyślę. To pewnie robota Oskara. Nakładł ci czegoś do głowy podczas spaceru. Nie było was ponad dwie godziny.

– Uważasz, że w przeciwieństwie do Oskara nie stać mnie na żadne refleksje i pytania? – oburzyła się Weronika. Oczywiście tak właśnie było, samej siebie nie mogła oszukiwać, ale właśnie ta myśl dodatkowo ją zirytowała.

– Po prostu wiem, jaki on jest. Pewnie ci oznajmił, że zamierza pojechać do Francji na grób Wandy? – Izabella niespodziewanie zmieniła ton. Nie było w nim już niechęci, zastąpiła ją rezygnacja.

– Rozmawiał z tobą o tych planach? – zdziwiła się Weronika. Oskar nawet słowem się nie zająknął, że poruszył ten temat także z rodzicami. Kiedy zaś matka pokiwała smętnie głową, tknięta nową myślą dodała: – Z tatą... też?

– Tak.

– Kiedy?

– Zaraz po tym, gdy otrzymaliśmy wiadomość o śmierci Wandy. Ojciec nie mógł pojechać na pogrzeb, bo dopiero co złamał nogę i leżał z gipsem. Oskar wściekał się, uważał, że reszta rodziny, czyli on, ja i ty powinniśmy wystąpić z podaniem o paszporty i pojechać na pogrzeb, ale okazało się, że załatwienie formalności zajmie więcej czasu, niż się spodziewał. Próbował wymóc na ojcu, aby ten uruchomił swoje znajomości, ale tata odmówił. Powiedział, że miałyby to sens jedynie w jego przypadku. Bo tak czy inaczej, pojechałby do Francji sam, bez nas. Skoro z powodu wypadku pojechać nie może, to trudno, siła wyższa. Wandę pochowają jedynie jej pasierbowie. A kiedy Oskar zaczął protestować, zarzucił mu, że pogrzeb to jedynie dla niego pretekst, by wyjechać na zagraniczną wycieczkę. „Przecież i tak prawie nie pamiętasz ciotki – oznajmił. – A Wanda to wyłącznie moja sprawa”. Pokłócili się wtedy, a Oskar nie pokazywał się tu potem przez trzy miesiące. Zakładaliśmy, że dał już temu spokój. Pół roku temu przyznał się jednak, że niedługo po pogrzebie Wandy napisał do tej... No, jak jej tam... Lucilly, tej jej pasierbicy...

– Lucii – podpowiedziała cicho Weronika. Nie miała pojęcia o rodzinnych zatargach związanych z pogrzebem ciotki Bellodi. Rozegrały się poza nią, a nikt do tej pory nawet jej o tym nie wspomniał. Rodzice zapewne nie chcieli rozdmuchiwać sprawy, zadziwiające było jednak milczenie Oskara. Być może pewne znaczenie miał tu fakt, że właśnie wtedy układała sobie życie po rozwodzie, a ponieważ szło jej to jak po

grudzie, brat nie chciał jej dokładać dodatkowych dylematów. Choć znacznie bardziej prawdopodobny był fakt, że zajęta własnymi sprawami, bez wątpienia poparłaby wtedy ojca. Tym bardziej że ciotka była jej zupełnie obojętna, a na dobrą sprawę niemal zapomniała o jej istnieniu.

– Nie dostał jednak wtedy od niej odpowiedzi – kontynuowała z wyraźną niechęcią Izabella, nie odnosząc się nawet do sprostowania córki w kwestii imienia pasierbicy Wandy.

– Jego list dotarł do Francji, gdy Lucia Bellodi wyjechała już do Stanów. Odpisała mu od razu po powrocie, dwa tygodnie temu.

– Wiem – skwitowała krótko matka. Rozglądała się jeszcze po gabinecie, pozornie sprawdzając, czy wszystko w porządku. Pozornie – bo wyraz jej oczu zdradzał zaniepokojenie i... jakby strach.

– Już dobrze, mamó. – Weronika postarała się, aby jej ton zabrzmiał łagodnie, w każdym razie bardziej pojednawczo. – Nie chciałam cię zdenerwować. Jestem pewna, że Oskar także nie miał tego zamiaru. Ale z drugiej strony chyba nie powinnaś się dziwić, że jesteśmy pewnych spraw ciekawi. A nawet dociekliwi. Przecież to była nasza ciotka...

Matka stała przy drzwiach, dając do zrozumienia, że chciałyby, aby opuściły już gabinet. Weronika jednak postanowiła zignorować prośbę widoczną w jej oczach, by dać wreszcie spokój tym dociekaniom.

– Chyba możesz mi powiedzieć, co takiego wydarzyło się w przeszłości, że zerwane zostały wszelkie kontakty? – spytała. – W głowie mi się to nie mieści. Ludzie się czasem kłócą, są na siebie wkurzeni całymi miesiącami, latami, ale... aż tak? Do końca życia? Do pogrzebu? Na wieczność?

Umilkła, nie spuszczając oka z matki.

– Dużo tych pytań...

– Nie. – Weronika potrząsnęła głową. – To tak naprawdę jest jedno pytanie. Ale jeśli nie chcesz lub nie możesz na nie odpowiedzieć, pójdę z tym od razu do taty. Może faktycznie to z nim powinnam najpierw pogadać. W końcu to była jego jedyna siostra.

– Przyrodnia – wtrąciła cicho matka.

– Ale siostra. Poza tym wychowali się razem. I kiedyś byli sobie bliscy. Myślę, że wciąż to pamięta. I żałuje tego, co się później stało.

– Tak – odparła Izabella. – I dlatego daj temu spokój. Taka rozmowa tylko go zrani.

Mówiła zdecydowanym, nawet szorstkim tonem, co bardzo rzadko jej się zdarzało. Pewnie dlatego wywarło to na Weronice przykre wrażenie. Mimo to potrząsnęła głową.

– Zrani go rozmowa o własnej siostrze?

– Chodźmy już stąd. – Izabella bezceremonialnie niemal wypchnęła córkę z gabinetu. – Zrobiło się ciemno. Czy nie powinnaś zainteresować się, co porabiają teraz twoje dzieci?

Rozdział 5

Tak naprawdę poznałam mojego brata, gdy miałam sześć lat. On widział mnie już wcześniej, kiedy leżałam jeszcze w kołysce, ale wiedzę na ten temat mogłam czerpać tylko z relacji innych osób. Później przez kilka lat nie przyjeżdżał, stało się to dopiero po śmierci jego matki. Zamieszkał z nami i dopiero wtedy miałam możliwość nie tylko go poznać, ale także przywiązać się do niego. Mój starszy brat, myślałam z dumą. Co z tego, że przyrodni, że mamy różne matki? Miałam brata i nie czułam się już gorsza od moich koleżanek. Nieraz się przecież przechwalały, że mają liczne rodzeństwo, braci i siostry. A ty jesteś sama, sama jak palec, dokuczały mi. I nawet niejednokrotnie groziły, że jeśli im nie ustąpię, to ich starsi bracia albo siostry z pewnością zmuszą mnie do tego. Bóg mi świadkiem, że sama teraz nie mogę zrozumieć, dlaczego mimo tych wszystkich przykrości tak do nich lgnęłam. Zresztą, być może teraz wyolbrzymiam pewne nieprzyjemne sprawy z dzieciństwa. W gruncie rzeczy wytłumaczenie nie jest trudne – wychowując się przez kilka pierwszych lat życia jako jedynaczka, po prostu tęskniłam za towarzystwem innych dzieci. I nawet jeśli dochodziło do nieporozumień, do kłótni, nawet jeśli z płaczem uciekałam z podwórza do mieszkania, to i tak kilka godzin później tam wracałam. Moje koleżanki dobrze zresztą wiedziały, że wrócę, że nie wytrzymam długo w samotności, i oczywiście wykorzystywały ten fakt. Siedząc w domu, słyszałam odgłosy

ich zabawy dobiegające z podwórza naszej kamienicy, i wracałam. A one triumfowały. Poza tym nie zawsze dochodziło między nami do konfliktów, częściej było naprawdę miło, a mnie czas się nie dłużył. Choć nasza kucharka i pokojowa patrzyły niechętnie na te podwórkowe zabawy. To nie jest towarzystwo dla takiej panienki jak ty, gderały. Jesteś córką doktora, pochodzisz z szanowanej rodziny. Nie to, co tamte, ta cała hałastrą, prostactwo takie. Twoi rodzice to ludzie z towarzystwa, nie pierwszy lepszy motłoch.

Pamiętam, że mój ojciec krzywił się, gdy czasem wpadły mu w ucho takie uwagi. Na ogół jednak reagował pobłaźliwie. Co wy za głupoty gadacie mojej małej, śmiał się. Czasy się zmieniają, nie zauważyłyście tego? Ale zarówno kucharka, jak i pokojówka wiedziały swoje. I nawet gdy moja matka bardziej stanowczym tonem starała się przemówić im do rozumu, nie zamierzały ustąpić.

– Pani sama się przekona, że racja jest po naszej stronie – oznajmiła kiedyś kucharka. A pokojówka nie tylko, że jej przytaknęła, ale jeszcze dodała, że pani jest jeszcze młoda i ma głowę nabitą tymi nowomodnymi banialukami. Jak to młodzi, nie wiedzą do końca, czego chcą, i roi im się przestawianie do góry nogami odwiecznego porządku świata. Oczywiście nie rozprawiały w ten sposób w obecności mojej matki, nie miały też pojęcia, że je podsłuchiwałam, niewiele to jednak zmieniło.

Tak naprawdę wszystko uległo zmianie dopiero wtedy, gdy mój brat Jaś z nami zamieszkał. Wtedy to z kolei mój świat stanął na głowie, ale w jak najbardziej pozytywnym znaczeniu tego słowa. Podwórkowe towarzystwo przestało mi być potrzebne, choćby dlatego, że mój brat także krzywo patrzył na te znajomości. A do jego zdania przykładałam ogromną wagę. Na wiele spraw zaczęłam patrzeć tak jak on. Szczerze mówiąc, zrobiłabym wszystko, byle zaskarbić sobie jego uwagę i sympatię, choć przecież wtedy

nie stawiał mi żadnych warunków. Przede wszystkim jednak byłam z niego dumna, wpatrzona w niego jak w obraz. Chłonełam każde słowo, cieszyłam się jego sukcesami w nauce, nie posiadałam się z radości, gdy czasem poświęcał mi uwagę.

Po latach wyznał mi, że wcale nie chciał opuszczać majątku w Bożanowie, gdzie spędził pierwsze lata swojego dzieciństwa. Nie chciał przeprowadzać się do Warszawy, do ojca i jego nowej rodziny. Nie miał jednak wyjścia, zdecydowali za niego dorośli.

– Ale teraz jesteś już z tego zadowolony? – spytałam i serce mi się ścisnęło na myśl, że usłyszę odpowiedź, która mnie zrani. – Teraz już się cieszysz, że zamieszkałeś z nami?

– Jestem zadowolony, że mieszkam z tobą – odparł, a ja od razu mu uwierzyłam. I niezależnie od tego, co wydarzyło się potem, zawsze będę pamiętać czas, kiedy naprawdę byliśmy sobie bliscy.

Rozdział 6

Wbrew obawom Weroniki Jan Reczyński nie protestował, gdy nieśmiało zagadnęła o jego siostrę. Nawet nie wyglądał na zaskoczonego, domyśliła się więc, że zapewne żona musiała mu opowiedzieć o rozmowie, jaką dwa dni wcześniej odbyła z córką w swoim gabinecie.

Przynajmniej tyle dobrego przyniosła tamta rozmowa, skonkludowała Weronika. Bo poza tym nie mogła pozbyć się uczucia pewnej goryczy i niezadowolenia. Nawet żałowała, że w ogóle poruszyła z matką kwestię ciotki Wandy. Że nie poszła z tym jednak najpierw do ojca. Dotąd jednak każdą trudną sprawę najpierw omawiała z Izabellą. A matka przygotowywała grunt do rozmowy z ojcem. No cóż, wygląda na to, że chyba i teraz to zrobiła.

Ojciec nie wyglądał zatem na zaskoczonego, trudno było jednak zorientować się, czy pytanie córki zmartwiło go, zdenerwowało, czy może... sprawiło mu ulgę. Czasami bardzo trudno było go rozgryźć. W dodatku zmierzył ją tym swoim charakterystycznym, uważnym, przenikliwym spojrzeniem, które zawsze ją deprimowało i wywoływało trudne do wytłumaczenia uczucie niepokoju. A nawet odbierało pewność siebie, której zresztą i tak nie miała zbyt wiele. Rzadko podejmowała z ojcem jakąkolwiek dyskusję, niemniej gdy czasem do tego dochodziło, wystarczyło, że w taki właśnie sposób na nią spojrzał, a już zaczynała

nabierać wątpliwości co do swoich racji. Nawet wtedy, gdy jednak udało jej się postawić na swoim. Ta jej uległa postawa nie wynikała zresztą ze strachu. Nie bała się ojca. Bardzo go kochała i wiedziała, że była jego ulubienicą. Nigdy by jej nie skrzywdził. Na ogół ustępowała mu, bo wiedziała, że chciał dla niej jak najlepiej, a poza tym już dawno przyjęła do wiadomości, że w wielu sprawach miał lepsze rozeznanie niż ona. Stało za nim spore doświadczenie życiowe, jego młodość ukształtowała wojna i stąd pewnie brała się siła jego osobowości i charakteru. Był mądry, zaradny, nigdy jej nie zawiódł, zawsze wiedziała, że mogła we wszystkim na nim polegać i liczyć na jego pomoc. Mimo to w głębi serca musiała sama przed sobą przyznać, że nie lubiła takich spojrzeń. Na szczęście nie zdarzały się często... albo też ona nie zawsze je wychwytywała. Na szczęście te, które jednak udało jej się zauważyć, nie trwały długo. Tak było i tym razem.

Reczyński podniósł się z pewnym ociąganiem i podszedł do przepastnego regału zajmującego całą długość ściany dużego pokoju stołowego. Wyjął stamtąd coś, co wyglądało jak album. Weronika nigdy go wcześniej nie widziała. Domyśliła się więc, że album leżał wetknięty gdzieś głęboko – mimo wszystko starała się unikać określenia „ukryty” – ale ojciec, spodziewając się tej rozmowy, przygotował się do niej zawczasu. Album leżał bowiem niemal na wierzchu innych książek, a przecież przedtem z pewnością go tam nie było.

– Pamiątka rodzinna? Czemu wcześniej mi jej nie pokazywałeś? – Nie mogła się powstrzymać, by nie zadać mu tego pytania.

– Jakoś tak... – Ojciec wzruszył ramionami. – Nie sądziłem, że ten stary rupieć kiedykolwiek cię zainteresuje. Mieliśmy inne sprawy na głowie.

Trudno było odmówić pewnej logiki temu tłumaczeniu, a jednak Weronika nie miała wątpliwości, że odpowiedź była jak najbardziej

wymijająca. Mniejsza z tym, pomyślała. Grunt, że udało się wreszcie ruszyć tę skamielinę. Album wydobyty z dna przepastnej szafy, spod całego mnóstwa różnych papierów i innych szpargałów, był tego oczywistym znakiem.

Nie tylko stary, ale także tu i ówdzie podniszczony, w paru miejscach miał naderwane stronice. Wyczuwała też specyficzny zapach starych, od dawna nieruszanych z miejsca, skazanych na zapomnienie książek. Jak każda tego typu rzecz wywoływał uczucie nostalgii i wzruszenia – w każdym razie Weronika tak to odbierała.

Z pewnym onieśmieleniem dotykała czarno-białych, nierzadko pożółkłych fotografii.

– To moi dziadkowie. – Jan Reczyński wskazał na upozowane zdjęcie przedstawiające dwoje sztywno wyprostowanych ludzi. Ubrani byli stylowo, elegancko – choć szczegółów ich stroju nie można już było zidentyfikować. Twarze także nie były wyraźne. – Cóż chcesz, zdjęcie zrobiono w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym roku – odparł, gdy podzieliła się z nim swoimi spostrzeżeniami. Wskazał na podpis. – To fotografię wykonano z okazji ich zaręczyn.

– Zaręczyny? – Uśmiechnęła się. – Wprawdzie fotografia nie jest zbyt czytelna, ale wydaje mi się, że oboje wyglądają bardzo poważnie. Chyba nie byli zachwyceni perspektywą małżeństwa...

– No cóż, wtedy nie wymagano od ludzi, aby śmiali się do obiektywu jak głupi do sera – odparł spokojnie Reczyński. – Wizytę u fotografa traktowano nadzwyczaj poważnie. A poza tym, z tego, co mi wiadomo, dziadkowie byli w sobie bardzo zakochani. Zresztą ich małżeństwo uważano za wzorowe. Nikogo nie powinno oceniać się po pozorach; te bywają bardzo mylące.

Słowa „sama powinnaś to wiedzieć” wisiały w powietrzu, jednak nie padły. Mimo to Weronika miała wrażenie, że je usłyszała. Zaczerwieniła się jak piwonia i czym prędzej pochyliła się nisko nad albumem.

– Kim był twój dziadek? – spytała po chwili trochę nienaturalnym tonem.

– Lekarzem. Podobnie jak jego ojciec. A także syn. Tradycja rodzinna. Gabinet w Warszawie przechodził z pokolenia na pokolenie przez lata.

– Ty go nie przejąłeś – wymusnęło się Weronice. Niepotrzebnie to powiedziała, mogła sobie darować.

Jednak, wbrew jej obawom, ojciec jedynie wzruszył ramionami. Jego twarz nie zdradzała żadnych oznak niezadowolenia.

– Gabinet przestał istnieć w czasie powstania. Podobnie jak cała kamienica.

– Wiem, tato, ja tylko chciałam...

– Zresztą chyba wolę leczyć zwierzęta. I lubię mieszkać na wsi – dodał pogodnie.

Tak jak ja, zgodziła się w myślach Weronika i zerknęła na następną stronę w albumie. Zobaczyła zdjęcie młodej, atrakcyjnej kobiety, chyba brunetki albo szatynki – o ile można to było stwierdzić na podstawie czarno-białej, starej fotografii.

– Moja matka – rzekł Reczyński, a w jego głosie zabrzmiało autentyczne wzruszenie.

– Bardzo ładna – odparła miękko Weronika.

– Była piękna.

Rzuciła szybkie spojrzenie w jego stronę i zebrała się na odwagę.

– Czy to nie dziwne... – zawahała się – że nie pokazywałeś mi wcześniej jej zdjęcia?

Ani żadnego innego, dopowiedziała już w myślach.

– Nigdy o to nie prosiłaś... – Zamyślił się. – Nigdy o nią nie pytałaś.

Musiałam pytać? – W pierwszej chwili chciała ripostować, ale uznała, że to nie miałyby sensu. Do niczego by nie prowadziło, ojciec i tak znalazłby odpowiedź. Zresztą... W pewnym sensie miał rację. Rzeczywiście nie pytała go o sprawy z przeszłości. Nie znała dziadków; oboje zmarli przed jej urodzeniem. Podobnie rzecz się miała z rodzicami matki. Dziadkowie byli przypisani do tej rzeczywistości, która już nie istniała. Do świata, który dawno przeminął, a którego ona nie miała okazji już poznać.

– Moi rodzice rozstali się, gdy miałem pięć lat – podjął po chwili Jan. – Mama zabrała mnie i wyprowadziła się do swojej ciotki. Ojciec związał się z inną kobietą, którą poślubił po śmierci mojej matki.

To akurat kiedyś, przy jakiejś okazji obito się jej o uszy, choć nie znała szczegółów. Jak słusznie stwierdził ojciec, nigdy o to nie pytała. Teraz mogła nadrobić brak zainteresowania.

– W tamtych czasach to musiał być skandal – podjęła ostrożnie.

– Do pewnego stopnia tak, choć chyba nie aż tak wielki, jak ci się wydaje. Rodzice rozstali się kilka lat po Wielkiej Wojnie. Lata dwudzieste i trzydzieste pod pewnymi względami oznaczały prawdziwą rewolucję obyczajową w stosunku do epoki wcześniejszej. Mój dziadek nazywał to upadkiem obyczajów i bynajmniej nie był odosobniony w swej opinii.

Ciekawe, co powiedziałyby o dzisiejszych czasach – przemknęło przez myśl Weronice, ale na wszelki wypadek wolała na głos tego nie wypowiadać.

– Ojcu się po prostu upiekło – dodał po chwili ponuro Reczyński. – Po pierwsze, umiał zaskarbić sobie sympatię swoich pacjentów. Zarówno tych zamożnych, którzy płacili mu przyzwoite honoraria, jak i tych, co groszem

nie śmierdzieli – tym czasem w ogóle darował zapłatę. Pewnie także i dlatego patrzyli przez palce na jego nieszablonowe – powiedzmy – życie osobiste. Do tego był typowym czarusem, miał w sobie to coś, co zjednywało mu kompanów, przyjaciół i... wielbicielki. W tym moją matkę. I matkę Wandy... – Zapatrzył się w album. – Najszybciej zapomina się brzmienie głosu – zauważył. – Dzięki fotografiom zostają z nami sylwetki, twarze. Głos, który nie został zarejestrowany, przepada. I żadne wspomnienie go nie przywróci.

Pierwsze z takich wspomnień były bardzo niewyraźne, rozmazane niczym fotografia dziadków Reczyńskich. To wspomnienia z czasów, gdy mieszkał jeszcze z obojgiem rodziców. Szczerze mówiąc, nie potrafił sobie nigdy przypomnieć, jakie relacje ich łączyły. To znaczy oczywiście domyślał się, że nie były najlepsze, skoro doszło do smutnego rozstania, niemniej nie odnotował w pamięci żadnych szczegółów. Owszem, w późniejszych latach docierały do niego różne opinie, słowa, ale nie był w stanie skonfrontować ich z własnymi spostrzeżeniami. Być może dlatego, że jako małe dziecko niespecjalnie zwracał uwagę na detale dotyczące pożycia rodziców, wiele tego typu wspomnień mu umknęło, bo ich po prostu nie rozumiał. Po drugie zaś – zachował inne wspomnienia. Te związane z ojcem. Doktor Łukasz Reczyński wracał późnymi wieczorami do domu. Przychodził wówczas do sypialni synka, gdy ten już leżał w łóżku.

– Gdzie byłeś tak długo, tato? – zapytał go kiedyś Jaś. – Znowu tak dużo dzieci zachorowało i musiałeś je wszystkie leczyć? – W taki sposób wyjaśniła mu to kiedyś ich pokojówka, a zarazem jego niania, poczciwa Matylda.

Ojciec chyba się trochę zmieszał, pytanie dziecka musiało go zaskoczyć. Nawet niespełna pięcioletni wówczas Jaś to zauważył, choć oczywiście tego nie analizował.

– Tak, jestem bardzo zajęty – odparł doktor Reczyński – ale już wróciłem do mojego małego synka.

– A kiedy wreszcie wrócisz wcześniej? – dopytywał Jaś. – Pójdziemy wtedy na karuzelę?

Karuzela... Zabawne, ale zapamiętał ją bardzo dobrze. Może dlatego, że bawił się tam z ojcem. A może z obojgiem rodziców? Raczej nie, zapamiętałby to przecież, ale kto wie? Ojciec w każdym razie, słysząc jego pytanie i widząc błaganie w oczach, uśmiechnął się i obiecał, że na pewno już wkrótce będzie mu towarzyszył na tej karuzeli. Czy dotrzymał słowa? Z perspektywy wielu lat Jan Reczyński nie potrafił znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Inne urywki wspomnień z tego najwcześniejszego okresu dzieciństwa dotyczą już tylko matki. Przy czym nie chodzi o jej obecność, rozmowy, czułości, a wręcz przeciwnie – o jej nieobecność. Mama jest chora, tłumaczyła mu kiedyś Matylda, jego nieoceniona podpora w tamtym okresie. Być może zapytał wcześniej o matkę i stąd to wyjaśnienie. Innym razem niania przestrzegła go, aby nie dokazywał i nie robił hałasu w domu, bo matka bardzo źle się czuje. I szczerze mówiąc, to wspomnienie szczególnie go zdumiewało. Nie z powodu kolejnej już niedyspozycji mamy, lecz ze względu na niego samego. W dzieciństwie był przecież na ogół postrzegany jako bardzo spokojny, zamknięty w sobie, a nawet wycofany chłopiec. Koledzy w szkole nawet przez jakiś czas dokuczali mu z tego powodu. Nie inaczej było wcześniej, zanim rozpoczął naukę. Nie miał towarzyszy zabaw, jakim więc cudem miał rozrabiać i hałasować? No cóż, nie wszystko musiał wiedzieć i pamiętać, a nigdy potem nie zadał ojcu takiego pytania. Nie zadał mu zresztą wielu innych, ważniejszych. Po

rozstaniu rodziców relacje między nim a ojcem już nigdy nie stały się na powrót takie, jak przedtem. A wiele wskazywało na to, że przedtem byli jednak ze sobą blisko związani. Może nawet jako małe dziecko związany był bardziej z ojcem niż z matką. To zmieniło się później, gdy Konstancja Reczyńska, jego matka, wyprowadziła się z domu, a zabierając ze sobą synka, tym samym rozdzieliła go z ojcem.

Ten akurat dzień Jan dobrze zapamiętał. Nawet fakt, że było wtedy bardzo ciepło, zarazem jednak pochmurno, a unosząca się w powietrzu duchota zapowiadała burzę. Z mieszkania wynoszono kufry, służące pochlipywały, a on, pozostawiony sam sobie, tułał się po pogrążonym w chaosie domu, nic a nic nie pojmując. Miał za to wrażenie, że jego jako tako poukładany świat właśnie rozpada się na części. Matki nigdzie nie widział, wcale jej zresztą nie szukał. Pobiegł do gabinetu ojca, ale i tam nikogo nie zastał. Poprzedniego wieczoru tata jak zwykle przyszedł do jego pokoju i usiadł przy łóżku. Tym razem jednak się nie uśmiechał, w jego oczach był smutek, nawet pięcioletni Jaś to zauważył. Ojciec powiedział mu, że przyszedł się z nim pożegnać.

– Wyjeżdżasz gdzieś, tato? – spytało dziecko. Wyjazdy Łukasza Reczyńskiego nie były niczym nowym ani nadzwyczajnym. Jego mały syn był do nich przyzwyczajony, choć ich nie lubił.

– Nie – odparł doktor. – To ty wyjeżdżasz.

– Ja? – Mimo zaskoczenia Jaś poczuł także ekscytację. Nigdy dotąd nie wyjeżdżał, co najwyżej w towarzystwie dorosłych składał jakieś krótkie wizyty, ale i to zdarzało się bardzo rzadko. I przeważnie bardzo się wtedy nudził.

– Tak. Wyjeżdżasz z mamą do ciotki Janiny. Tej, co mieszka w majątku, w Bożanowie. Kiedyś już tam byłeś, pamiętasz?

Jaś nie pamiętał, nie wysiłał się też, aby sobie przypomnieć dworek i mieszkającą w nim krewną. Nagle nabrał złych przeczuc. Czy powodem tego niepokoju była jakaś zastanawiająca nuta w głosie ojca, czy może wyraz jego oczu? Najpewniej jedno i drugie, tak czy inaczej, chłopiec poczuł zagrożenie.

– Ty z nami nie pojedziesz? – zapytał szeptem.

– Nie. Ja muszę tu zostać.

– Musisz leczyć chore dzieci? – domyślił się mały. W każdym razie chyba bardzo chciał tak właśnie myśleć i w to wierzyć.

– Tak. – Ojciec pogłaskał go po głowie.

– Ale potem przyjedziesz tam do nas?

Doktor odpowiedział twierdząco, ale obietnicy nie dotrzymał. Najprawdopodobniej zresztą od początku wiedział, że jej nie dotrzyma. Tak się jednak złożyło, że rok później to właśnie Jaś został przywieziony do Warszawy. A kilka lat później wrócił tam, aby zamieszkać na długie lata. Z nową rodziną ojca.

Jednak tamtego dnia, gdy pozostawiony sam sobie patrzył, jak wynoszone są kufry i wszystkie jego rzeczy, i gdy nie zastał ojca ani w jego gabinecie, ani w żadnym innym miejscu w domu, rozplakał się z przerażenia. Ukojenie znalazł dopiero w ramionach niezawodnej Matyldy. Kochana Matylda! Ile razy ją wspominał, zawsze cieplej robiło mu się na sercu. Tamtego straszego dnia wyznał jej z płaczem, że nie chce nigdzie wyjeżdżać. Że pragnie zostać tu, w domu. Z papą i z nią, z Matyldą. I z kucharką Felicją, która go rozpieszczała i zawsze miała przygotowane dla niego różne słodkości, a przynajmniej dobre słowo.

Matylda zresztą także nie kryła łez.

– Musisz jechać, kochanie – powtarzała. – Ze swoją mamą, do cioci.

I w dodatku rozwiąła jego nadzieje, że będzie mu towarzyszyła w tym nowym, nieznanym miejscu, do którego tak bardzo wzbraniał się jechać. Był pewien, że nigdy już nie zobaczy ani ojca, ani Matyldy, ani Felicji, i na samą myśl o tym serce mu pękało. Kilka lat później będzie pękało ponownie, kiedy z kolei nie będzie chciał wracać do Warszawy. Bo będzie wiedział, że oprócz ojca, Felicji i Matyldy w ich starym warszawskim mieszkaniu zastanie jeszcze kogoś, kogo długo nie będzie w stanie zaakceptować.

W Bożanowie początkowo czuł się nieswojo. Janina Roztworowska, ciotka Konstancji Reczyńskiej, nie wzbudziła jego sympatii i w tej kwestii niewiele się zmieniło w ciągu kolejnych lat. Surowa starsza dama, nieodmiennie ubrana w ciemne suknie, przypatrywała mu się z nieskrywanym krytycyzmem, więc mały Jaś dość szybko doszedł do wniosku, że jedyne, co mu pozostało, to schodzić jej z drogi.

– Mówiłam, że tak będzie. – W ten właśnie sposób powitała bratanicę i jej małego syna.

Słowa te utkwily mu w pamięci, głównie dlatego, że zostały wypowiedziane pełnym dezaprobaty tonem. Nie wpłynęło to na poprawę jego nastroju.

A jednak stosunkowo szybko przyzwyczyił się do Bożanowa i nawet polubił to miejsce. Z pewnością sprzyjał temu fakt, że zamieszkał tam w maju, gdy dwór i cała okolica niemal tonęły w zieleni, a w ogrodzie i na łące nie brakowało przyciągających go urokliwych zakątków, które wyśmienicie nadawały się do zabawy. Korzystał więc ze swobody i zabaw na świeżym powietrzu – w Warszawie nie miał ku temu aż tylu sposobności. Mieszkając w mieście, wychodził na dwór na ogół na godzinę, dwie, zawsze trzymając za rękę Matyldę, raz czy dwa razy bawił się w towarzystwie ojca na karuzeli. O tym, by na co dzień swobodnie pohasać,

nie mogło być jednak mowy. Poza tym w Warszawie nie miał towarzyszy zabaw; czasami przypatrywał się przez okno harcom dzieci na podwórzu lub ich wesołym gonitwom w parku, ale nie miał sposobności, by się przyłączyć i w tym uczestniczyć. Matylda mawiała, że to towarzystwo nie dla niego. Zwykła hałastrą, stwierdzała z niesmakiem i ani razu przy tym nie wyjaśniła, na czym opierała swój pogląd. W Bożanowie dla odmiany dość szybko zawarł znajomości, na które Matylda także spoglądałaby krzywym okiem, ale niani tu nie było, a nikt inny mu ich nie zabronił. Ani się obejrzał, a ganiał po ogrodzie, łące i polu, dokazując w towarzystwie dzieci bożanowskiej służby. A pomysłów im nie brakowało.

Wreszcie – była jeszcze inna przyczyna jego przywiązania do Bożanowa. To właśnie tam jego relacje z matką stały się tak bliskie i serdeczne jak nigdy wcześniej. Oboje mieli poczucie, że nie są mile widziani w tym miejscu, bo ciotka zaledwie ich tolerowała. Co zapewne było dodatkową zachętą, aby trzymali się razem i wzajemnie wspierali. Nigdy przedtem nie spędzał z matką tyle czasu. Spacerowali i rozmawiali. Pewnego dnia zapytał, czy jeszcze kiedyś wróćą do Warszawy, do ojca.

– Wiem, że za nim tęsknisz – westchnęła matka.

Skwapliwie to potwierdził i zaraz poczuł się niepewnie, spostrzegłszy, że mama wyraźnie spochmurniała.

– Nie martw się, mamusiu...

– To ty się nie martw, kochanie. – Uśmiechnęła się, choć w oczach nadal miała smutek. – Obiecuję, że zobaczysz się ze swoim ojcem.

Chciał zapytać, czy to oznacza, że wróci do domu. Czy może wróćą tam oboje? Zaniepokoił się, że ani słowem nie wspomniała o ewentualności swojego spotkania z mężem, ale nie odważył się o to zagadać. Jakiś wewnętrzny głos skutecznie go przed tym powstrzymał. Zapytał za to o co

innego. Dlaczego właściwie zamieszkali w Bożanowie? Z ciotką Janiną, która tak ich nie lubi.

– Bo nie było innego wyjścia – odparła matka. – Bożanowo częściowo należy do mnie. Mój dziadek zapisał majątek córce i synowi, to jest mojemu ojcu, a ponieważ on już nie żyje, ja odziedziczyłam jego część spadku. A po mojej śmierci ta część przypadnie tobie.

Słowa odnoszące się do śmierci tak go zaniepokoiły, że nie drążył już, dlaczego opuścili Warszawę i ojca. Na szczęście matka zaraz zaczęła mówić o weselszych sprawach, a niedługo potem pobiegł bawić się ze swoimi małymi przyjaciółmi i na pewien czas zapomniał o dręczących go dylematach.

Mama w każdym razie dotrzymała słowa. Pozwoliła na spotkanie z ojcem, choć mały Jaś zupełnie inaczej to sobie wyobrażał. Przed wszystkim na widok ojca, który przyjechał po niego do Bożanowa, poczuł tak ogromne onieśmienie, jakby witał się z kimś obcym. Nie widzieli się przecież cały rok, co dla kilkuletniego dziecka znaczyło bardzo dużo. Wyjeżdżając kilkanaście miesięcy temu z Warszawy, nie zabrał żadnej fotografii taty, i choć oczywiście rozpoznał go bez trudu, w pierwszej chwili nie był nawet w stanie odpowiedzieć na powitanie. Stał jak zaczarowany i to ojciec musiał pierwszy do niego podejść i wziąć go za rękę. W drodze do Warszawy nie potrafił wydobyć z siebie słowa i dopiero, gdy znaleźli się na miejscu, ożywił się na widok dobrze znanej kamienicy. Niemal rozplakał się z radości, gdy na spotkanie wyszedł stróż Jacenty. Ochoczo machał ręką do każdej sąsiadki wyglądającej przez okno. Odpowiadały uśmiechem, choć dostrzegł, że przyglądały mu się z troską.

Potem wpadł w ramiona Matyldy i choć widział, że nie posiadała się z radości, że go widzi, także i ona sprawiała wrażenie zatroskanej

i zaniepokojonej. Tym razem jednak zrozumiał przyczynę tego stanu rzeczy.

Najpierw zobaczył młodą kobietę. Wyglądała jak rusałka z bajek, które czytała mu matka. Oznajmiła mu, że ma na imię Róża i wyraziła nadzieję, że oboje bardzo się polubią. Właśnie miał zapytać ojca, kim jest ta miła dziewczyna, ale zanim zdążył to zrobić, oboje zaprowadzili go do małego pokoiku i wskazali na kołyskę. A właściwie na leżące tam niemowlę.

– To Wandzia, twoja mała siostrzyczka – oświadczył pogodnie ojciec, przytulając do siebie maleństwo.

– No i co? Przywitałeś się z siostrą? – spytała cicho Weronika. Nie odrywała wzroku od ojca, szukając śladów wzruszenia bądź wzburzenia, ale niczego nie dał po sobie poznać. A nieznaczny grymas na jego twarzy można było zinterpretować w różnoraki sposób.

– Z tego, co pamiętam, patrzyłem tylko na ojca – odparł. – Byłem kompletnie zdezorientowany. A potem... poczułem strach. Dotarło do mnie, że coś się nieodwołalnie skończyło. Że dawne życie już nie wróci. I natychmiast zapragnąłem wrócić do Bożanowa, do matki.

– Ach tak... – szepnęła. – Rozumiem. I co się potem stało?

Naprawdę rozumiała.

Reczyński zapatrzył się w album, a potem wzruszył ramionami.

– Przez sześć następnych lat nie chciałem nawet słyszeć o ponownym przyjeździe do Warszawy. Zrobiłem to dopiero wtedy, gdy nie miałem już innego wyjścia.

Rozdział 7

Tamtego dnia, gdy mi wyznał, że nie chciał zamieszkać z nami po śmierci swojej matki, a zrobił to tylko dlatego, że nie zostawiono mu wyboru, w pierwszej chwili wpadłam w panikę. Uspokoiliam się dopiero wtedy, gdy mi powiedział, że teraz już jest zadowolony. Choć – o ile dobrze rozumiałam – jedynym powodem, dla którego zaakceptował swoją sytuację, byłam ja. Uwierzyłam mu, pewnie dlatego, że od dawna domyślałam się, że pod wieloma względami nie było mu łatwo. Tyle że nigdy dotąd nie wspomniał o tym bodaj słowem. Skoro zatem teraz to zrobił, postanowiłam ostrożnie zadać mu kilka pytań.

– Wciąż masz żal do mojej mamy, prawda? – Ze ściśniętym sercem czekałam na odpowiedź.

Wiedziałam, że takie postawienie sprawy musiało być dla niego co najmniej kłopotliwe, ale mimo to chciałam usłyszeć odpowiedź. Nawet jeśli będzie wymijająca – a zakładałam, że taką właśnie usłyszę – już miałabym jakąś jasność sytuacji. Tak czy owak, powie mi prawdę, pomyślałam. Nigdy dotąd mnie nie oszukał. Choć oczywiście prawda mogła mnie zboleć.

Zmieszał się – dokładnie tak, jak przewidywałam. A potem wzruszył ramionami.

– Przecież moja mama jest dla ciebie dobra – zasugerowałam nieśmiało.

– Oczywiście, że tak – odparł wreszcie. – Jest miła i dobra, od początku taka dla mnie była, ale...

– Wiem. Rozumiem.

Naprawdę go rozumiałam. Przypomniałam sobie ten dzień, gdy go poznałam. Gdy ojciec przywiózł go do domu, a potem wnoszono jego walizki. Jaś miał wtedy dwanaście lat, wydawał mi się bardzo wysoki i chudy. W istocie faktycznie był wyrosnięty jak na swój wiek i do tego dość wątej budowy, choć z pewnością żałobne ubranie pogłębiało to wrażenie. Podobnie jak blada, pociągła twarz, na której wyraźnie było widać cienie pod oczami. Tego dnia, kilka godzin wcześniej odbył się pogrzeb jego matki.

– Mam nadzieję, kochanie, że będzie ci z nami dobrze – odezwała się na przywitanie moja mama.

Nie odpowiedział, nawet na nią nie spojrział. Spuścił tylko głowę. Mama spojrzała bezradnie na ojca.

– Jest bardzo zmęczony – stwierdziła.

– Tak. Potrzebuje teraz spokoju – potwierdził ojciec.

Każde z nas jednak wiedziało, że prawda jest bardziej złożona.

– Dam mu coś do jedzenia i zaprowadzę do pokoju – przejęła inicjatywę Matylda. Jako jedyna w naszym gronie przemówiła pogodnym tonem. I pewnym głosem. Jak zwykle wiedziała, jak się zachować i zareagować. Za to ją kochałam – za tę siłę i energię, dzięki której nasz dom funkcjonował normalnie, to znaczy jeden dzień podobny był do drugiego. Rutyna, porządek, stabilność, poczucie bezpieczeństwa – dzięki Matyldzie miałam to, czego tak naprawdę potrzebuje każde dziecko. Na pewno nie była to zasługa moich rodziców. Matka w sprawach prowadzenia domu była zupełnie nieporadna. Ojciec całymi dniami pracował. Przez kilka lat (do śmierci pierwszej żony taty) mieszkali ze sobą bez ślubu i choć cała kamienica na ten temat zawzięcie plotkowała, to właśnie Matylda w miarę

możliwości dbała, aby te komentarze do mnie nie docierały. Po latach zrozumiałam, że to był zapewne główny powód, dla którego zarówno ona, jak i kucharka sprzeciwiały się moim zabawom z dziećmi sąsiadów. Wiedziały, że może mi to przysporzyć przykrości i nie myliły się, bo nieraz z płaczem wracałam do domu. Co nie zmieniało faktu, że następnego dnia ponownie wymykałam się do dzieci. Potrzebowałam towarzystwa, a poza tym wiedziałam, że w razie kolejnych kłopotów mogę znowu pobiec do kuchni i wtulić splekaną twarz w fartuch kucharki albo w ramiona Matyldy. Nigdy nie biegłam ze skargą do rodziców; jakby instynkt mi podpowiadał, aby tego nie robić. Bo to bez sensu, skoro te wszystkie przykrości miały jakiś związek z nimi. I tak by mi nie pomogli.

Tak samo jak okazali się bezradni wobec cierpienia i pełnego niechęci milczenia mojego przyrodniego brata, któremu po pogrzebie matki kazano z nami zamieszkać. Zareagował dopiero, gdy usłyszał głos Matyldy; od razu spostrzegłam, że jego skamieniała w bólu twarz w jednej chwili jakby pojaśniała.

Zakradałam się potem pod drzwi pokoju, który dla niego przygotowano. Nie były domknięte, przez wąską szparę mogłam więc podpatrzeć, co działo się w środku. Jaś siedział na kanapie, przytulony do służącej, która głaskała go po głowie i coś szeptem do niego mówiła. Pamiętam, że ten widok w ogóle mnie nie zdziwił. To, co widziałam, było mi przecież znane, sama doświadczałam od Matyldy podobnego wsparcia i czułości. Poczułam nawet ulgę, tak jak za każdym razem, gdy to mnie pocieszała. I nie miałam najmniejszej wątpliwości, że ten smutny, ponury chłopiec czuł w tym momencie dokładnie to samo.

Po latach Matylda wyznała mi, że umyślnie wtedy nie domknęła drzwi jego pokoju. Domyślała się, że pewnie będę czatować w korytarzu. I chciała mi to ułatwić.

Moi rodzice wzięli ślub kilka tygodni później. Ani mnie, ani mojego brata nie było na ceremonii. Po prawdzie oprócz dwojga świadków i naszej Matyldy nikogo tam nie było, co zważywszy na okoliczności, należy uznać za słuszne. W ciągu pierwszych kilku miesięcy Janek konsekwentnie starał się unikać zarówno moich rodziców, jak i mnie, po kilku godzinach spędzonych w szkole zamykał się w swoim pokoju, a podczas wspólnych posiłków – tego ceremoniału uniknąć już nie mógł – odzywał się tylko wtedy, gdy musiał, i zawsze możliwie najkrótszymi monosylabami. Ojciec dość szybko stracił cierpliwość, ale Janek zupełnie nie reagował na jego gniewne uwagi. Tak jak puszczał mimo uszu przyjazne słowa mojej matki, a także jej wysiłki, gdy starała się mitygować irytację męża. Ja nawet nie próbowałam go zaczepiać, ale po pewnym czasie to właśnie moje spojrzenia zaczął odwzajemniać.

Natomiast od samego początku najlepiej czuł się w naszej kuchni, tam bez żadnego przymusu gwarzył ze służącymi, a ponieważ i ja lubiłam to miejsce, ta właśnie okoliczność sprawiła, że lody między nami zaczęły topnieć. Choć nie stało się to szybko, jak by na to nie patrzeć, mieliśmy za sobą srogą zimę. Jednak w końcu się udało, bez wątplenia dzięki nieocenionej Felicji i Matyldzie. To one zachęcały zarówno mnie, jak i Jasia, aby żadne z nas nie wycofywało się na progu kuchni, gdy tylko spostrzegło, że to drugie już tam siedziało.

Udało nam się zaprzyjaźnić, choć dzieląca nas różnica sześciu lat mogła okazać się dodatkową przeszkodą utrudniającą porozumienie. Upływ czasu jednak nam sprzyjał, w miarę dorastania przybywało nam wspólnych tematów. Dlatego mogłam sobie pozwolić, by po kilku latach zadać mu tamto pytanie. Czy wciąż ma żal do mojej matki, pomimo tego, że zawsze starała się być dla niego serdeczna. Mnie czasami karciła, kazała wykonać to czy tamto polecenie i gniewała się, gdy się z tego nie wywiązałam. Jemu

nigdy niczego nie nakazywała. Dla niego miała zawsze dobre słowa, choć wcale o nie nie zabiegał. I wyglądało na to, że zupełnie nie zależało mu na tej serdeczności.

Ale rozumiałam go. Miał prawo do żalu i pretensji wobec moich rodziców. Uważał to przecież za przejaw lojalności wobec swojej zmarłej matki. Nawet jeśli niewiele to już mogło zmienić, skoro i tak odeszła na zawsze.

I choć jasno dał mi do zrozumienia, że nie chce o tym rozmawiać, zebrałam się na odwagę, by zadać mu kolejne pytanie. Po prostu musiałam to zrobić, ono od lat mnie dręczyło.

– Umarła, bo nie mogła pogodzić się, że tata znalazł sobie inną kobietę? – Głos mnie jednak zawiódł.

Inną kobietę... Boże, jak to zabrzmiało! Zwłaszcza że tą „inną kobietą” była z kolei moja matka.

Moje słowa skonsternowały go, ale i wzburzyły. Rozpoznałam to po wyrazie jego oczu.

– Ależ nie – zaprzeczył. – Zmarła dopiero siedem lat po ich rozstaniu. Zachorowała i lekarze nie potrafili jej wyleczyć.

Nie mogłam się jednak pozbyć podejrzania, niemal granicznego z pewnością, że dramatyczne przeżycia sprzed lat miały tu znaczenie. I choć zapewniał mnie, że jego matka zdołała w końcu jakoś się pozbierać po odkryciu zdrady męża i przez kilka ostatnich lat zachowywała niezmqconą pogodę ducha, jakoś nie mogłam przyjąć tego do wiadomości. Do dziś zresztą w to nie wierzę. Choćby dlatego, że Konstancja Reczyńska, czyli matka Jasia, nigdy, do samej śmierci nie wyraziła zgody na rozwód. Z tego powodu ojciec nie mógł ożenić się z kolei z moją matką. Co bez wątpienia, w jakiejś mierze, szkodziło jego pozycji – nie tylko towarzyskiej, ale w jakimś sensie także tej zawodowej. A co dopiero mówić o pozycji

dziewczyny, która z nim mieszkała bez ślubu i urodziła mu dziecko! Czy to nie najlepszy dowód, że porzucona żona nie wybaczyła zdrady, a tym samym nie pogodziła się z tym, co ją spotkało? Tego jednak wolałam już nie mówić na głos. Zapytałam za to o co innego. Dlaczego nie został z ciotką zmarłej matki w Bożanowie, skoro tak bardzo nie chciał wracać do ojca i jego nowej rodziny? Przecież połowa majątku należała do niego, a zatem miał prawo tam mieszkać.

Spojrzał na mnie, jakbym spadła z księżycy.

– Miałem dwanaście lat, nie mogłem tam tak po prostu sam zostać.

– Przecież twoja ciotka...

– Nie znosiła mnie, mówiłem ci o tym. Nieraz mówiła, że skoro mama wbrew jej opinii wyszła za mojego ojca, to sama jest winna wszystkich swoich nieszczęść. Ja, zdaniem ciotki, byłem jednym z nich. Nie mogło być zatem mowy, aby zechciała się mną zaopiekować po śmierci bratanicy. Ale masz rację co do tego, że połowa Bożanowa jest moja. A nawet całe, bo ciotka nie wyszła za mąż i nie ma własnych dzieci. Wrócę tam dokładnie w tym dniu, gdy ciotka wyniesie się na tamten świat.

Powiedział to niemal wesoło, więc się roześmiałam. Sam pomysł wydał mi się absurdalny.

– I co tam będziesz robił w tym Bożanowie?

– Jak to co? – Mrugnął do mnie. – Zostanę panem na włościach. Będę robił tylko to, na co przyjdzie mi ochota. Sama się przekonasz, gdy mnie odwiedzisz.

Nie udało mu się zrealizować większości z tych marzeń. Jego ciotka zmarła w czterdziestym czwartym roku. Kilka miesięcy potem, na fali nowej politycznej rzeczywistości wydany został dekret, który doprowadził do wywłaszczenia właścicieli majątków ziemskich. Tym samym także i Bożanowo dostało się pod młot historii.

Rozdział 8

– Hej, co z wami?! Pożegnajcie się z dziadziusem i babcią.

Michał i Piotruś, już przygotowani do podróży, zamierzali właśnie wsiadać do samochodu wuja, ale słysząc słowa matki, wyraźnie się zawstydzili i w podskokach podbiegli do stojących nieopodal Reczyńskich.

– Dobrze, dobrze, nic się przecież nie stało. – Izabella pogłaskała ich po rozwichrzonych włosach. – Rozumiemy przecież, dlaczego tak wam śpieszno do Warszawy – próbowała zażartować, ale umilkła, napotkawszy pochmurne spojrzenie męża.

Weronika także poczuła się niepewnie, jak za każdym razem, gdy w obecności rodziców bezpośrednio lub pośrednio nawiązywano do Jarka. Zwłaszcza w okolicznościach takich jak dzisiejsza – gdy chłopcy lada dzień mieli wyruszyć z ojcem do Zakopanego. I dlatego – zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami – już dziś mieli znaleźć się w Warszawie, by jutro Jarek mógł wziąć ich do siebie. Oskar specjalnie w tym celu przyjechał do Jaktorowa, dzięki czemu Weronika nie musiała korzystać z pomocy swojego ojca, lecz mogła wraz z dziećmi wrócić do Warszawy samochodem brata. Michał i Piotruś od tygodnia nie mówili o niczym innym, jak o zbliżającej się wyprawie w góry.

– No, chłopaki, tylko uważajcie tam na siebie – mruknął Reczyński, ale sceptycyzm i niechęć w jego głosie pozbawiły Weronikę reszty odwagi.

– Dobrze, dziadku! – odkrzyknęli wesoło chłopcy i pognali z powrotem w stronę samochodu wuja.

– Tato... – zaczęła nieporadnie Weronika, ale zamilkła, bo nie miała pojęcia, co by tu jeszcze dodać.

– Nie podoba mi się ten ich wyjazd, i tyle – odburknął ojciec. – Już to mówiłem i zdania nie zmieniałem.

– A zatem nie ma sensu się powtarzać – odparł niecierpliwie Oskar, który właśnie wnosił z domu kolejną walizkę chłopców i podchwycił słowa Reczyńskiego. – Dobra, czas na nas. Niedługo zrobi się ciemno i po tutejszych wybojach strach będzie jechać. Latarni jak nie było, tak nie ma, można stracić koło w pierwszym lepszym dole.

– W Tatrach można stracić życie, jeśli się nie umie po nich chodzić – pośpieszył z ripostą ojciec.

– I dlatego tobie nie radzę tam jeździć, jeśli się tak trzęsiesz.

– Oskar, daj już spokój – zachnęła się matka. – Obaj się uspokójcie.

– Najważniejsze, że chłopaki chcą tam jechać. – Oskar ujął siostrę pod ramię i wraz z nią skierował się do auta. – To powinno zamknąć dyskusję.

Potem przez całą drogę do Warszawy żartował i przekomarzał się z siostrzeńcami, co Weronika przyjęła z ulgą, obawiała się bowiem, że brat jak zwykle zruga ją za ustępliwość wobec ojca. A jej argumenty, że nie potrafi i nie chce stawać okoniem, bo zdaje sobie sprawę, ile zawdzięcza rodzicom, a poza tym nadal będzie potrzebować ich wsparcia, oczywiście nie trafią do jej brata. Oskar jak zwykle zacznie przekonywać ją do działań, których w jej sytuacji w żaden sposób nie mogła podjąć. Ileż razy to już słyszała! „Weź się w garść. Daj staremu do zrozumienia, że nie jesteś już małą dziewczynką i masz własne zdanie. Inaczej on nigdy nie pozwoli ci dorosnąć. A mama... Mama będzie mu potakiwać, jeśli nie zobaczy, że masz dość bezustannego wtrącania się w swoje życie. Chyba że nie masz...

Jeśli tak, no cóż, to twoja sprawa. Ale nawet jeśli faktycznie jest tak, że nie chcesz się uniezależnić, jedno musisz zrobić, to twój psi obowiązek. Daj im jasno do zrozumienia, że mają się odczepić od Jarka i jego rodziców. Nie pozwól na żadne komentarze pod adresem twojego byłego. Na pewno – nie w obecności dzieciaków. Powiedz to staremu wprost, bo to on wszystkim kręci. Nie bój się, że przestaniesz być jego kochaną córeczką, że odetnie cię od swojej kasy i lodówki. Z pewnością nie przekreśli cię tylko dlatego, że mu trochę podskoczysz”.

Nie miała ochoty po raz kolejny wysłuchiwać tyrady brata. Każda tego typu dyskusja z Oskarem od lat przebiegała według wciąż tego samego scenariusza. I kończyła się zawsze tak samo – czyli niczym.

Tym razem wprawdzie jej nie zaczepiał, ale miała pełną świadomość, że powstrzymywała go od tego jedynie obecność dzieci. Albo sam uznał, że nie ma sensu jej prowokować, bo i tak do niczego to nie doprowadzi. Nie mogła wykluczyć, że w końcu i jemu się to znudziło.

Tak jak kiedyś... Jarkowi.

Jak ujął to jej mąż? Wciąż pamiętała każde jego słowo. I wątpiła, czy kiedykolwiek zapomni.

„Do cholery, znudziło mi się! – krzyczał wtedy Jarek. – Nie rozumiesz? Ulewa mi się od słuchania w kółko tego samego! Patrzenie w kółko na to samo! Kiedy wreszcie zrozumiesz, że twoje miejsce jest tutaj? Kiedy wreszcie dorośniesz?!”

– Mamo, prawda, że tak?! Prawda, że się zgadzasz?! – Krzyk starszego syna przywrócił ją do rzeczywistości, skutecznie wyrrywając ze wspomnień.

– Nieprawda! Mama niczego takiego nie mówiła! – ripostował nie mniej donośnie i zapalczywie młodszy.

– Nie wrzeszczcie tak! – Instynktownie także podniosła głos. – O co chodzi?!

Mimochodem spojrzała z ukosa na brata, ale nie odrywał wzroku od trasy, przynajmniej pozornie skupiony na prowadzeniu.

– A bo wcześniej mówiłaś, że pozwolisz nam już jutro pojechać do taty! – zawołał Michał, zaś w jego tonie dało się usłyszeć zarówno rozpaczliwe błaganie, jak i wyzwanie, na wypadek gdyby matka miała jednak coś przeciw.

– Mama tego nie mówiła! – zaprotestował płaczliwie Piotruś.

– Tata dzwonił i mówił, że zabierze nas jutro, bo chciał, abyśmy przed wyjazdem odwiedzili jeszcze dziadka Kazika i babcię Ewelinę!

– Ale mama tego nie mówiła!

– Ale przecież dziadek Jan mówił...

– Dość, chłopaki, bo mi zaraz łeb pęknie od tego wrzasku! – Oskar zdecydował się jednak włączyć do dyskusji. – Będzie tak, jak postanowią mama i tata. Dziadek nie ma tu nic do gadania.

Weronika poczuła strużkę potu płynącą jej po plecach. Najchętniej zatrzymałaby teraz samochód, wyskoczyła na zewnątrz i pobiegła w kierunku mijanych właśnie pól, ale oczywiście i tego marzenia nie była w stanie wprowadzić w życie. Nie pozostawało jej zatem nic innego, jak postarać się uspokoić dzieci. A przy okazji siebie samą. Ponownie zerknęła na Oskara, tym razem z wyrzutem, jakby miał coś wspólnego z tym zamieszaniem, ale ponownie nie odwzajemnił jej spojrzenia.

– Mówiłam, że może pozwolę, aby tata zabrał was już jutro. O ile zdążę uprać i spakować wasze rzeczy.

Takie postawienie sprawy jedynie dodatkowo wzburzyło dzieci.

– Przecież uprałyście już wszystko. Babcia Iza ci pomogła i nawet wyprasowała nasze ubrania – przypomniał jej Piotruś, który – co było do przewidzenia – nie mniej niż starszy braciszek marzył o jak najszybszym

spotkaniu z ojcem i innymi dziadkami, tyle że był zdecydowanie większym realistą od Michałka.

– Tak czy inaczej, nie wiem, czy zdążę spakować wasze plecaki do jutra. – Postarała się, by zabrzmiało to kategorycznie, ale wyszło dość niemrawo i żałośnie. To znaczy tak jak zwykle.

Dzieci przez pewien czas jeszcze marudziły, ale ponieważ już nie reagowała, dały wreszcie spokój. W samochodzie zapanował minorowy nastrój, który przerwał w końcu Oskar.

– Jakie masz plany, gdy już sprzedasz chłopaków Jarkowi? – spytał z głupia frant.

Weronika skrzywiła się na te słowa. Sposób, w jaki jej brat nazywał pewne zdarzenia i zjawiska, czasami ją bawił, czasami irytował. A poza tym dobrze wiedział, jakie miała plany po wyjeździe chłopców, a zatem jego pytanie odczytała jako kolejną prowokację.

– Wrócę do Jaktorowa.

– Do Jaktorowa, no jasne. – Przewrócił oczami. – I zrobisz to od razu, jak tylko zamkną się drzwi za dziećmiakami? Naprawdę natychmiast wrócisz pod skrzydła mamy i taty? Nie wierzę...

Ale, rzecz jasna, wierzył. A mimo to drażnił się z nią. Zgadywała dlaczego.

– Bo co? – rzuciła zaczepnie.

– Bo jakoś nie chce mi się wierzyć, że nie potrafisz znaleźć sobie rozrywki w Warszawie. Naprawdę nie masz tu do kogo gęby otworzyć? Żadnej przyjaciółki, choćby na babskie ploty? A może kino, teatr, muzeum... Rozejrzyj się! Jest tyle możliwości. Świat nie kończy się na Jaktorowie!

Tym razem nawet nie starał się stłumić wzburzenia.

Nie miała w Warszawie żadnej przyjaciółki. Ani tam, ani nigdzie indziej. Tak się złożyło, tak ułożyło się jej życie. Czy też – dokładniej rzecz ujmując – ona tak je sobie ułożyła. Tak czy inaczej, nie miała zamiaru tłumaczyć się z tego przed bratem ani przed nikim innym. Oskar miał mnóstwo znajomych, miał też przyjaciół. Nie rozumiałby jej. Albo – co bardziej prawdopodobne – zinterpretowałby to po swojemu. Doskonale zgadywała, w jaki sposób.

– Lubię wieś – odburknęła tonem niezachęcającym do kontynuowania tematu.

Oskar dał temu spokój. Gdy tylko dojechali na miejsce i pomógł wnieść bagaże do mieszkania, natychmiast się pożegnał. Nie chciał zostawać na kolacji, którą Weronika mu zaproponowała. Mimo wszystko poczuła się niezręcznie. Brat przyjechał do Jaktorowa tylko po to, by odwiedzić ją i dzieci do domu. Był bardzo uczynny, musiała to przyznać. Zawsze mogła liczyć na jego pomoc. Niezależnie od tego, że całe życie spierali się ze sobą i na wiele spraw patrzyli zupełnie inaczej, byli sobie bardzo bliscy.

Gdy położyła dzieci do łóżek – na szczęście były zmęczone i nie marudziły – zabrała się do przepakowywania ich plecaków, ale nie szła jej ta robota. Myśli miała zajęte czym innym. Tym razem jednak nie dumiała o historii, którą kilka dni temu opowiedział jej ojciec. O jego dzieciństwie i wczesnej młodości, o siostrze, z którą był wtedy tak mocno związany, z nią jedyną z całej rodziny.

Tego jednak wieczora, gdy z powrotem znalazła się w swoim warszawskim mieszkaniu, jej myśli nie krążyły wokół ojca i ciotki. Myślała o Jarku.

Oczywiście już niejednokrotnie jej się to zdarzało. Wciąż łapała się na tym, że różne wydarzenia, a nawet zwykłe codzienne drobiazgi kojarzyły jej się z Jarkiem. Na przykład pierwsze liście na drzewach, po wiosennym

deszczu. Zapach ziemi, budząca się po zimowym odrętwieniu przyroda. W taki właśnie dzień Weronika poznała swojego przyszłego męża. W ogrodzie botanicznym, do którego się udała, bo w planie zajęć na uczelni, pomiędzy wykładem z historii literatury francuskiej a konwersatorium miała prawie trzygodzinne okienko.

Koleżanki namawiały ją na ciasto i herbatę w Kazimierzu, czyli uniwersyteckiej knajpce. Odmówiła, tłumacząc, że musi przygotować się w czytelni do zajęć. Naprawdę planowała wyruszyć do BUW-u, ale zmieniła zamiar, gdy tylko spostrzegła drzewa pyszniące się w świeżej zielonej szacie. Dopiero co przestał padać ciepły, wiosenny deszcz, przez chmury przebijało się słońce, wywołując cudowną grę światła. Patrząc na te cuda, przez moment pozwoliła sobie pomarzyć o Jaktorowie. Ileż by dała, by w tamtej chwili znaleźć się na ścieżce prowadzącej przez las do wsi. Albo w lipowej alei, którą się wędrowało do kościoła. Nawet podziurawiona asfaltowa droga w kierunku Radomia wywoływała w tym momencie rzewną tęsknotę w jej sercu. Niemal słyszała świergot ptaków w zagajniku za domem. Tu, w Warszawie może też by je usłyszała, gdyby nie hałas przejeżdżających samochodów. Niestety nie mogła przymknąć oczu, by spróbować wsłuchać się w obudzoną już przyrodę; zaraz rozległoby się trąbienie aut i komentarze poirytowanych przechodniów. Tu, nieopodal ulicy, z pewnością by tak było, ale przecież istnieją jeszcze parki. Chwała Bogu.

Podjęła decyzję – zamiast ślęczeć w czytelni, pójdzie do ogrodu botanicznego. Już raz tam była, jeszcze jesienią, w towarzystwie jednej z koleżanek. Czemu nie miałyby ponownie się tam udać? Czasu było w sam raz na taką przechadzkę.

W ogrodzie botanicznym o jedenastej przed południem spotkała niewielu spacerowiczów. Kilkoro starszych ludzi i jakiś chłopak, którego

minęłaby obojętnie, gdyby jej nie zagadnął. Zapytał o godzinę.

– Zgubiłem zegarek – wyjaśnił, uśmiechając się przy tym tak promiennie, jakby zguba nie sprawiła mu najmniejszej przykrości.

W pierwszej chwili nawet się trochę wystraszyła, nie spodziewała się bowiem, że nadchodzący z naprzeciwka młody człowiek tak znenacka się do niej odezwie. Widząc jej konsternację, podniósł obie dłonie w przepraszającym geście.

– O trzynastej mam seminarium – wyjaśnił wesoło. – Za dwadzieścia minut, więc raczej sobie daruję galop na uniwersytet. Cholera, chyba straciłem rachubę czasu w tym ogrodzie. Dzisiaj jest tu wyjątkowo zjawiskowo. – Gdy na nią patrzył, w jego oczach zamigotał osobliwy blask.

Później, kiedy byli już parą, wyznał, że zauważył ją wcześniej. W Karaluchu, czyli uniwersyteckiej stołówce, gdzie czekał na zamówione pierogi z czerwonym barszczem, a kelnerka zawołała, że do odebrania są naleśniki z serem.

– To właśnie ty podeszłaś do lady po tamte naleśniki – wspominał. – Byłaś kompletnie przemoczona, jak wszyscy, którzy dopiero co uciekli do knajpy przed pluchą na dworze. Wtedy była paskudna pogoda, od rana walił śnieg z deszczem.

Zabawne, bo Weronika w ogóle nie przypominała sobie tamtego dnia ani tym bardziej żadnych naleśników w Karaluchu, ani wpatzonego w nią chłopaka. Jarek, jak zwykle, skomentował to po swojemu:

– Pewnie, kto by mnie tam zauważył albo zapamiętał? Takiego szaraka bez znaków szczególnych. Na dobrą sprawę sam bym siebie nie zauważył, gdyby to było możliwe.

Roześmiał się, raczej zdawał sobie sprawę, jaka była prawda. Był jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich w życiu widziała. A do

tego miał w sobie ten niezaprzeczalny urok, wobec którego nie sposób było przejść obojętnie.

– Na ciebie to jednak nie podziałało – wytknął jej żartobliwie. – Potraktowałeś mnie jak powietrze. Nie tylko wtedy, w Karaluchu, ale i potem. Minęliśmy się jeszcze dwa albo trzy razy – dwa razy w BUW-ie, raz na dziedzińcu i chyba raz twoje oko przesunęło się po mnie, ale jakoś tak, rzekłbym, bezrefleksyjnie.

Faktycznie, w ogóle nie przypominała sobie zdarzeń, o których jej mówił. Początkowo nawet podejrzewała, że zmyślił to wszystko, miał bowiem tendencję do takiego bajdurzenia. Jednak potem mu uwierzyła. Zresztą chciała uwierzyć, tak ładnie brzmiały te opowieści. Tym bardziej że nigdy dotąd nie spostrzegła, aby jakikolwiek chłopak poważnie się nią zainteresował. Choć niewykluczone, że to dlatego, że zawsze chodziła z głową w chmurach, zasłuchana w śpiew przyrody, zapatrzona na drzewa i kwiaty. Tak przynajmniej wyjaśnił jej to Jarek. I przekonał ją; coś było na rzeczy.

Dlatego, gdy tamtego wiosennego dnia zobaczył ją w ogrodzie botanicznym, uznał, że to przeznaczenie albo znak z niebios. Tak czy inaczej, byłby durniem, gdyby i tym razem pozwolił jej przejść obok.

– Ale przecież wtedy, w ogrodzie botanicznym, od razu cię zauważyłam – droczyła się z nim.

– Wyglądałaś zjawiskowo – odparł. – Jak nie z tego świata... Jak za każdym razem, gdy cię widziałem.

Jak nie z tego świata... Na pewno pełna ludzi i hałasu Warszawa nie była jej światem.

W każdym razie przegadali wtedy całe popołudnie, tak że żadne z nich tego dnia nie dotarło na swoje zajęcia na uczelni, co oczywiście miało konsekwencje, bowiem później tak jedno, jak i drugie musiało

odpokutować ten wybryk kolejnymi podejściami, aby zaliczyć nieobecność. Ale było warto – a przynajmniej wtedy oboje tak myśleli. Gdy się poznali, Jarek był studentem czwartego roku historii. Ona, dwa lata młodsza studentka romanistyki, bardzo szybko wpadła po uszy, słuchając, z jaką pasją opowiadał o swoim kierunku, jaką wiedzą dysponował, jak dobrze był obeznany z literaturą przedmiotu. Zresztą – jak się miała przekonać – należał do najbardziej odczytanych ludzi, jakich w ogóle poznała, i to z różnych dziedzin wiedzy. Nie ograniczał się bynajmniej do historii. Zwierzył jej się, że po studiach chciałby zostać na uczelni, ale oczywiście nie ma pojęcia, czy mu się to uda. Bo to nie takie łatwe, chętnych nie brakuje. Nawet jeśli nie ma co potem liczyć na przyzwoite wynagrodzenie. Lecz przecież w życiu chodzi nie tylko o pieniądze. Nie samym chlebem żyje człowiek.

Gdy jakiś czas później Weronika powtórzyła te argumenty rodzicom, ojciec wydał wargi i oznajmił, że już niejednego mądralę widział, który plótl podobne farmazony, a potem przekonał się na własnej skórze, jak wygląda życie i walka o każdy grosz. Kiedy trzeba w końcu stanąć na własnych nogach i postarać się utrzymać siebie i rodzinę. W rezultacie nie pozostawało takiemu mędrkowi nic innego, jak biegać co miesiąc, albo i częściej, po ratunek do rodziców, którym się wcześniej pogardliwie zarzucało, że poza harówką i szukaniem zarobku nic ich więcej nie interesuje.

– Ten człowiek nie zapewni ci godziwych warunków życia – osądził ojciec.

Reczyńskiemu od samego początku nie spodobał się ukochany córki. Gdy po raz pierwszy przyjechała z Jarkiem do Jaktorowa, potraktował go uprzejmie, ale chłodno. Podczas kolejnych wizyt z coraz bardziej ponurą miną słuchał przemądrzałych, jego zdaniem, i nic niewartych wywodów

chłopaka, które jednak zyskały uznanie Oskara. Tak, ci dwaj od razu znaleźli wspólny język. Pewnie dlatego, że i Oskara zawsze pasjonowała historia, choć zdecydował się na studia w Szkole Głównej Planowania i Statystyki. „No cóż, widocznie nie byłem takim marzycielem jak Jarek – wyznał, gdy siostra kiedyś o tym napomknęła. – Chodziłem twardo po ziemi, liczyłem się z realiami. Widać geny tatusia zrobiły swoje” – dodał nieco urągliwie. Zarazem jednak stale podkreślał, że zawsze szanował idealistów za ich bezkompromisową odwagę, na którą on sam się nie zdobył. Mówił tak za każdym razem, gdy w jego obecności ojciec krytykował chłopaka Weroniki.

– Przecież to tylko nieopierzony smarkacz, któremu wydaje się, że jest bardzo mądry i doświadczony, bo przeczytał dużo książek – nie wytrzymał kiedyś Reczyński. – A do tego zupełny gołodupiec, który przyczepił się do niej, bo wie, że mamy pieniądze. Nie martw się, nie jest aż takim bezinteresownym marzycielem. Dobrze wie, co i kto zapewni mu przetrwanie.

Gdy wyrażał tę opinię, dziewczyny nie było akurat w pokoju. Usłyszała jednak słowa ojca, bo traf chciał, że właśnie wracała ze spaceru i zdążyła już wejść do ogrodu, a drzwi na werandę były otwarte.

Nie wbiegła jednak z krzykiem i awanturą do domu, nigdy tego przecież nie robiła, nie miała temperamentu i silnej osobowości brata. Zamiast tego zalała się łzami i stała w miejscu jak osłupiała. Ale – wbrew jej przypuszczeniom – Oskar początkowo także milczał. Być może i on był szokowany aż tak bezwzględnie wyrażoną opinią ojca i dopiero szukał odpowiedniej riposty. Za to zupełnie niespodziewanie uprzedziła go matka, która przecież niemal nigdy nie wyrażała zdania innego niż poglądy męża. Tym razem to jednak zrobiła, choć postarała się o możliwie jak najbardziej wyważony ton.

– To bardzo miły, czarujący i dobrze wychowany młody człowiek – zauważyła łagodnie. – A najważniejsze, że tak bardzo kocha Weronkę, patrzy na nią jak zaczarowany. Ona też go kocha, a przecież przedtem nie zwracała uwagi na żadnego chłopaka. Tak koniecznie chcesz ją wydać za kogoś tutejszego? Jest bardzo wrażliwa, a tutejsi chłopcy...no sam wiesz najlepiej, jacy są. Nie mówię, że źli albo głupi, ale... Nie zrozumieliby jej, nie byłaby z żadnym z nich szczęśliwa. Mam takie wrażenie, Janku, że nasza Weronisia naprawdę trafiła na kogoś, kto da jej to szczęście. Są pod wieloma względami bardzo podobni do siebie. A że nie jest zamożny... Mój Boże, czy to jedyni młodzi ludzie w tym kraju, którym rodzice muszą pomóc na starcie?

Słowa żony nie uspokoiły jednak Reczyńskiego. Wręcz przeciwnie – wszystko wskazywało na to, że jeszcze bardziej go rozdrażniły.

– Jak masz gadać podobne bzdury, to lepiej odgryź sobie zawczasu język! – zagrmiał. – Miły i czarujący, tak? – przedrzeźniał żonę. – Tak jest, kobieto, to zwykły czaruś, jakich nie brakowało w żadnej epoce. On, jako pozał się Boże historyk, dobrze to wie i świetnie wykorzystuje. Tyle że ja też co nieco wiem o życiu. Za to ty, jak każda głupia baba, widzisz tylko te jego rozmarzone oczka i wpadasz w euforię, słuchając farmazonów, jakie ten goguś wygaduje. To ci wystarcza, by pisać z zachwytem, jaki to Jareczek mądry i ocytany! Może i ocytany, ale gównu mu z tego przyjdzie, gdy rodzice przestaną go utrzymywać i będzie musiał sam sobie poradzić w życiu. I nie poradzi sobie, zapewniam cię, bo znam ten typ. Młode, mądrzące się nieroby, które bez rodziców zdechłyby pod płótem z głodu. W dodatku rodzice tego Jarczka, jacyś nauczyciele, też nie dadzą rady utrzymywać bez końca jego i jego rodziny, więc spadnie to na nas. I bynajmniej nie tylko na starcie, jak to raczyłaś stwierdzić, ale po wiek wieków. Do samej śmierci będę go miał na karku.

– Forsa, forsa i forsa – odezwał się wreszcie Oskar, wkładając w ton swego głosu tyle pogardy, ile tylko zdołał. – Odkąd pamiętam, tylko to cię interesowało. Nawet te krowy, świnie i inne zwierzaki to dla ciebie przede wszystkim forsa. Bo poza tym nie cierpisz ani tych zwierząt, ani ich właścicieli. I niewiele jest tematów, na które można z tobą sensownie pogadać.

To oczywiście było jawne wyzwanie, preludium do kolejnej wymiany słownych ciosów między nimi. Stary bowiem natychmiast podjął rękawicę.

– Ty także gówno wiesz o życiu! – krzyknął. – Wszystko miałeś podane jak na talerzu, o nic nie musiałeś zabiegać. Dzięki mnie niczego ci nie brakowało, wykształciłeś się i przez pewien czas mieszkałeś w Warszawie za moje pieniądze. Jesteś taki sam jak całe to wasze pokolenie.

– A ty z kolei odziedziczyłeś Bożanowo, zapomniałeś? – odparował Oskar, choć oczywiście musiał wiedzieć, że wchodzi na grząski grunt. – Też nie zaczynałeś od zera.

Odpowiedź ojca była łatwa do przewidzenia.

– Ale straciłem ten majątek, zanim zdołałem się nim nacieszyć. Dobrze o tym wiesz. – Tym razem w jego głosie obok gniewu pojawiła się gorycz.

– Dogadałeś się jakoś z władzą ludową. – Oskar ściszył głos. – Nie opowiadaj, że straciłeś wszystko. Ta cała hacjenda w Jaktorowie i złoty interes, który tu prowadzisz, nie wzięły się z niczego. Nie zaczynałeś od zera. Naprawdę masz mnie aż za takiego durnia?

Weronika niemal zamarła, pewna, że zaraz dojdzie do rękoczynów. Rozżalenie, że ojciec nawet nie ukrywa swej fatalnej opinii o Jarku, walczyło teraz w jej sercu o lepsze z pełnym przerażenia oczekiwaniem na konsekwencje słów brata. Nadal jednak stała jak słup soli, niczym biblijna żona Lota, wolała nie pokazywać się w pokoju, gdzie trwała awantura.

– Nic nie wiesz. – Wbrew jej obawom głos ojca zabrzmiał jednak spokojnie, choć lodowato. – Twoje słowa tylko to potwierdzają. Nie będę cię przekonywał ani z niczego się przed tobą tłumaczył. Pożyjesz, sam się przekonasz.

– Że czasami trzeba dać dupy? – podpowiedział ironicznie syn.

– Oskar! Na miłość boską! – zawołała matka.

Ojciec jednak – ku zaskoczeniu wszystkich – i tym razem nie wybuchnął gniewem. Choć nie ulegało wątpliwości, że rozmowa skreśliła w kierunku, który mu się nie podobał.

– Nie da się żyć bez końca w samotnej twierdzy – rzekł tym samym spokojnym tonem. – Nie da się żyć bez pieniędzy, choćby nie wiem jak się nimi pogardzało. Ale inaczej naprawdę się nie da, zwłaszcza w tym kraju.

Odgłos odsuwanej krzesła oznaczał, że Reczyński uważał rozmowę za skończoną. Ruszył ku drzwiom ogrodowym, tam gdzie stała Weronika, dlatego dziewczyna czym prędzej ukryła się za gęstym jałowcem. Zdążyła jednak spostrzec znużenie na twarzy ojca, poruszał się też powoli, jakby dźwigał wyjątkowo duży ciężar. W tym momencie sprawiał wrażenie znacznie starszego niż w rzeczywistości. Na odchodnym odwrócił się jeszcze raz w stronę żony i syna.

– A w sprawie tego pożałuj Boże historyka zdania nie zmienię. – Jego głos także świadczył o zmęczeniu. – Nie zarobi na życie, a pięknymi słówkami nie nakarmi ani Weroniki, ani dzieci, jeśli je będą mieli. Teraz mogą sobie bujać w obłokach, ale jak się zderzą z realnym życiem, wszystko się zmieni. Wtedy dopiero się okaże, ile ta niby wielka miłość jest warta.

Kilka miesięcy później, gdy dowiedział się o ciąży córki, nie okazał już oburzenia, a jedynie skrzywił się z ironią i pokiwał głową.

– Nie taki z niego Werter, jak wszyscy myśleliście – skwitował. – Wiedział, jak się zabrać do rzeczy, aby skutecznie przypiąć się do nas.

Pani Iza poczerwieniała na twarzy, ale nie odpowiedziała ani słowem. Weronika także spąsowiała. W duchu podziękowała Bogu, że ojciec powstrzymał się przed wyrażeniem tej opinii w obecności Jarka, a zrobił to dopiero, gdy jej chłopak razem z Oskarem odjechali już z powrotem do Warszawy. Odprowadziła ich do autobusu i dopiero co wróciła do domu, gdy w progu dobiegł ją komentarz Reczyńskiego. Przez całą drogę przez las wciąż rozpamiętywała pożegnanie z Jarkiem na przystanku, jego objęcia, pocałunki i zapewnienia o miłości i przyszłym wspólnym szczęściu „we troje”, dlatego teraz słowa ojca podziały na nią jak kubeł lodowatej wody. Tym razem jednak nie stanęła jak wryta, jak to miało miejsce poprzednio, lecz zareagowała.

– Nie mów tak o nim – zaprotestowała zduszonym ze wzburzenia głosem. – Nie mów tak o nas obojgu. Bo przecież ja też tam wtedy z nim byłam.

Popatrzył na nią pobłaźliwie, czyli tak jak za każdym razem, gdy chciał dać jej do zrozumienia, co myśli o jej niedoświadczeniu i braku elementarnej wiedzy o życiu, a potem się zasepił.

– Przyjdzie taki dzień, gdy przyznasz mi rację. – Wzruszył ramionami. – A nastąpi to już niedługo. Nie będę się teraz o to spierał, sama się przekonasz. Gdy tylko proza życia zajrzy ci w te maślane oczęta.

Wtedy nie chciała go słuchać. Wtedy była przede wszystkim oburzona.

Początkowo zresztą nic nie zapowiadało katastrofy, którą przepowiedział ojciec. I do której faktycznie potem doszło. Zanim to jednak nastąpiło, Weronika była tak szczęśliwa, że mogłaby góry przenosić. Nieprzytomnie zakochana i pełna wiary w przyszłość. Czuła się też z wzajemnością kochana i podziwiana. A do tego absolutnie przekonana, że

dziecko, które w sobie nosiła, tylko wzmocni i przypieczętuje ich miłość. Od razu polubiła też przyszłych teściów, od pierwszej wizyty, którą im złożyła. Zresztą z wzajemnością. Podobnie rzecz się miała z Maćkiem, młodszym bratem Jarka, który właśnie rozpoczął naukę w technikum samochodowym.

Rodzice Jarka byli nauczycielami, jak to zgryźliwie przypomniał ojciec Weroniki. Ewelina Piontkowska pracowała w liceum poligraficznym, jej mąż, Kazimierz, w ogólniaku; starszy syn właśnie po nich odziedziczył miłość do przedmiotu, który oboje wykładali, czyli do historii. Jarek nie zamierzał jednak brać z nich przykładu i „skończyć w szkole”, jak to określił z nieudawanym przekąsem.

– To nie dla mnie, chyba bym oszalał – zaznaczył. – A poza tym praca w szkole to koniec marzeń o jakimkolwiek rozwoju. Wciąż ta sama rutyna, dzień w dzień użeranie się z krnąbrnymi nastolatkami, ślęczenie nad zeszytami i sprawdzianami, tracenie czasu na kolejnych, nudnych i niczego niewnoszących radach pedagogicznych. No i oczywiście liczenie dni do najbliższych ferii i wakacji, byle jakoś dotrzeć do emerytury. W dodatku za gówniane pieniądze.

– Jarek uważa, że jako pracownik uczelni będzie żył jak w rajku. – Pan Kazimierz mrugnął porozumiewawczo do przyszłej synowej. Wyraz jego twarzy, jak i ton wypowiedzi jasno świadczyły o tym, że nieraz wysłuchiwał podobnych „mądrości” syna.

Weronika nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

– Nie chodzi o życie w rajku, ale możliwości rozwoju i samorealizacji. – Jarek natychmiast odbił piłeczkę, zapewne także nie po raz pierwszy. – Mało to się napatrzyłem na waszą harówkę? I na moich nauczycieli, którzy rozpaczliwie walczyli o przetrwanie na własnych lekcjach?

– Praca na uczelni to także dydaktyka, o czym w ogóle nie pamiętasz. A co do tej realizacji... Nie zapominaj, w jakim kraju żyjesz. Nie wyobrażaj sobie, że ot tak będziesz sobie jeździł na zagraniczne stypendia i sympozja. Najpierw musisz się znaleźć w tak zwanym układzie, zgadnij jakim. I jaką cenę będziesz musiał za to zapłacić.

– Ojciec znowu swoje. – Tym razem Jarek zwrócił się do Weroniki, uśmiechając się przy tym szelmowsko. – Wyobraź teraz sobie, co to znaczy żyć w domu, w którym w kółko słyszysz same tego typu mowy i utyskiwania. Wszystko jest albo białe, albo czarne. Kto nie jest z nami, ten przeciwko nam.

– Dajcie już obaj spokój, bo jeszcze Weronika się przestraszy i od nas ucieknie – odezwała się wreszcie pani Ewelina. Jej ciepły, spokojny tembr głosu faktycznie uspokoił nastroje. Patrzyła teraz pogodnie na dziewczynę. – Choć z drugiej strony może lepiej, abyś zawczasu wiedziała, że takie dyskusje są u nas na porządku dziennym. Jak to w rodzinie historyków – dodała wesoło.

– I tylko Maciek tak naprawdę się z nas wyroził. – Pan Kazimierz, dostosowując się do tonu żony, żartobliwie przeczesał palcami i bez tego już dostatecznie wzburzoną fryzurę młodszego syna, zanim tamten zdążył się uchylić.

– Jedyne normalne w tym wariackowie – mruknął chłopak, ale w spojrzeniu, jakim obrzucił przyszłą bratową, było sporo zawadiackiego humoru. – Nie martw się, nie będę wam przeszkadzał. Zaraz po maturze zmywam się stąd. Pójdę do pracy i będę na swoim.

W pierwszej chwili Weronika nie pojęła znaczenia tego, co właśnie usłyszała. Kiedy to do niej wreszcie dotarło, poczuła niepokój i w popłochu zerknęła na Jarka, ale akurat zajęty był wymianą kuksańców z bratem.

– Po co mi studia? Taki głupi to ja nie będę, żeby ślęczyć nad jakimiś bzdurami, które i tak mi się nie przydadzą – perorował zuchwale Maciek. – I po co? Żeby potem dulczyć za jakieś grosze? Nie mam zamiaru do końca życia mieszkać z rodzicami. Zwłaszcza gdy się ożenię.

– Co?! To i ty się żenisz?! – Pan Kazimierz w udawanej zgrozie podniósł obie ręce do góry. – Więc się przyznajesz? To może za jednym zamachem wyprawimy dwa wesela? W takim razie szkoda, że nie przyprowadziłeś dzisiaj tej swojej Anetki, od razu byśmy się familijnie rozmówili.

– Tata to jak przywali... – zaczerwienił się Maciek.

– No, już wystarczy tych wygłupów, porozmawiajmy poważnie – wtrąciła się pani Ewelina, której uwadze nie uszło nagłe zaniepokojenie na twarzy Weroniki.

– Tak, porozmawiajmy poważnie – podchwycił Jarek. Teraz i on porzucił dotychczasowy wesołkowaty ton. – Przede wszystkim, żeby było jasne, ja i Weronika także nie zamierzamy mieszkać z wami na kupie.

Przy stole na moment zapadło pełne zaskoczenia milczenie. Za to Weronika poczuła nagłą ulgę. Ulga ta nie miała nic wspólnego z jej nastawieniem do Piontkowskich – przecież od razu ich polubiła – czym innym była jednak sympatia, a czym innym dzielenie z nimi życia w niewielkim mieszkaniu, składającym się z trzech ciasnych pokoi, ciemnej kuchni i małej łazienki. Jednak w gruncie rzeczy nie chodziło jej tylko o niewygodę; znacznie bardziej liczył się fakt, że nie wyobrażała sobie wspólnego mieszkania z – jak by nie patrzeć – obcymi ludźmi. Nawet jeśli wydawali się mili.

Milczenie przerwał ojciec Jarka.

– Nie? A można wiedzieć, gdzie zamierzacie mieszkać? – spytał.

Dla Weroniki odpowiedź była oczywista i choć nie uzgadniała jej wcześniej z Jarkiem, była pewna, że w pełni podzieli jej zdanie. Może nawet sam już o tym myślał, tylko nie miał śmiałości podjąć tematu.

– Zamieszkamy w Jaktorowie, z moimi rodzicami – rzekła. I natychmiast spostrzegła konsternację na twarzach gospodarzy. A także na twarzy Jarka.

– W Jaktorowie? Ponad osiemdziesiąt kilometrów od Warszawy? – spytał niepewnie przyszły teść.

– Rodzice mają duży dom. Całe piętro przeznaczyli dla mnie. Będzie nam tam wygodnie – odparła, nieco speszona reakcją pozostałych. A zwłaszcza wyraźną rezerwą na twarzy Jarka.

– Nie wątpię. – Pani Ewelina najwyraźniej bardzo starannie ważyła słowa. – Ale to jednak dość daleko, aby codziennie dojeżdżać na uczelnię. Wprawdzie zamierzasz wziąć urlop dziekański, aby – postarała się o jeszcze cieplejszy uśmiech – zająć się dzieckiem, ale o ile dobrze zrozumiałam, w przyszłości wrócisz na studia. W każdym razie, jak mniemam, Jarek chyba nie zamierza rzucać swoich – rzuciła zaniepokojone spojrzenie na syna.

– Ja także nie będę musiała ich przerywać – odparła szybko i zdecydowanie Weronika. Zbyt szybko i zbyt zdecydowanie, jak to zresztą sama po chwili stwierdziła. Brnęła jednak dalej i to pomimo coraz większego zakłopotania pozostałych. – Rodzice nam pomogą. Mama zajmie się... – Ostatnie słowo utknęło jej w krtani. Ponownie się zaczerwieniła.

– Przecież twoja mama pracuje – przypomniała łagodnie przyszła teściowa. – Prowadzi praktykę jako lekarka weterynarii. W jaki sposób da radę pogodzić ze sobą obowiązki zawodowe i opiekę nad maleńkim dzieckiem?

– Na pewno się zgodzi – odparła z pełnym przekonaniem dziewczyna.

Matka przecież zawsze na wszystko się zgadzała. Nigdy nie odmówiła pomocy nikomu, a zwłaszcza swoim najbliższym. Nie mogło być więc mowy, aby w tym przypadku postąpiła inaczej.

– Jeszcze z nią o tym nie rozmawiałaś, prawda? – podchwyciła Piontkowska, bez trudu trafiając w sedno.

Nie, ale to przecież bez znaczenia, chciała odpowiedzieć Weronika, mama na pewno się zgodzi. Tata także.

Powtrzymała się dosłownie w ostatniej chwili, a właściwie powtrzymała ją coraz bardziej zdeprimowany wyraz twarzy narzeczonego. Pozostali także to spostrzegli, przenosząc spojrzenia to na nią, to na Jarka.

Nie rozmawiałam o tym z mamą ani z ojcem, bo zwyczajnie nie było jak tego zrobić, chciała wyjaśnić Weronika, ale nie ośmieliła się wypowiedzieć tego na głos. Gdy kilka dni temu oboje z Jarkiem oznajmili jej rodzicom, jak się sprawy mają, wprowadzili ich w taki szok, że trudno było w tamtej chwili analizować i planować organizację życia całej rodziny za kilka miesięcy. Rodzice nie kryli niezadowolenia – i oczywiście trudno im się było dziwić. Ich kochana, grzeczna córeczka, studentka romanistyki, zawsze taka wzorowa, obowiązkowa i poukładana, a tu taka historia. Weronika uparła się, aby do Jaktorowa pojechał z nimi Oskar. Jako dodatkowe wsparcie, tak na wszelki wypadek. Jarek był temu przeciwny. „Nie jestem tchórzem – przekonywał. – To po prostu niepoważne, zawracać głowę twojemu bratu, nie jesteśmy dziećmi, sami musimy to załatwić”. Ale ona wiedziała swoje. Szóstym zmysłem wyczuwała, że w razie gdyby tata wybuchnął gniewem, brat mógłby jakoś temu zaradzić. Ojciec się z nim liczył, choć stale się kłócili. Tamta wizyta nie trwała długo, Oskar i Jarek nie zostali nawet na obiedzie, choć mama – wprawdzie bez większego przekonania – zapraszała. Tak czy inaczej, tata dał upust swoim emocjom

dopiero wtedy, gdy przyszły zięć i syn już pojechali. I tylko w obecności żony i córki. A Weronika odszczeknęła mu się tak, że tym bardziej nie było co zagadywać o kwestie natury praktycznej, czyli organizację ślubu, wesela, a przede wszystkim zabezpieczenia bytu młodych i ich dziecka. Niemniej od tamtego czasu upłynęło kilka dni. Przez ten czas ojciec na pewno już ochłonął. Zawsze była jego oczkiem w głowie, nie ma więc mowy, aby jej nie pomógł. Aby nie pomógł im obojgu. Przecież i do Jarka się w końcu przekona. Na dobrą sprawę nie ma teraz innego wyjścia.

Nie wyobrażała sobie jednak, by mogła podzielić się tymi refleksjami z Piontkowskimi. Dlatego milczała. Za to wreszcie odezwał się Jarek, choć to, co powiedział, wprowadziło wszystkich, łącznie z nią, w jeszcze większą konfuzję.

– Zamieszkamy w akademiku. Postaram się o pokój małżeński.

– Chyba oszalałeś – zaopiniował po chwili pan Kazimierz. – W akademikach brakuje miejsc dla studentów przybyłych z drugiego końca Polski, więc nawet nie myśl o tym, że przyznają pokój mieszkańcowi Warszawy. I jego rodzinie.

– W takim razie coś znajdziemy, wynajmiemy – zdenerwował się Jarek.

– Za co?

– Słucham?

– Spytałem: za co? To kosztuje, wcale niemało. Nie mówiąc o tym, że takich mieszkań i pokoi też jest jak na lekarstwo. A chyba nie zamierzasz wprowadzić się razem z żoną i dzieckiem do sublokatorskiego pokoju, do zupełnie obcych ludzi. Nawet gdybyś jakimś cudem znalazł takich, którzy by was przyjęli.

– Do cholery, znajdę coś! – Jarek zerwał się z miejsca i przemierzył kilka kroków w tę i z powrotem, akurat tyle, na ile pozwalały rozmiary pomieszczenia. – Nie warto żyć w tym kraju!

Weronika niemal zamarła z przerażenia, nigdy go bowiem nie widziała w stanie aż takiego wzburzenia.

– Oczywiście, że sobie poradzicie – wtrąciła się pospiesznie pani Ewelina. Patrząc na nią i słuchając jej, Weronika doznawała uczucia ulgi; w takich chwilach jak ta matka Jarka do złudzenia przypominała Izabellę Reczyńską, co samo w sobie uspokajało. – Poradzicie sobie, a my wam pomożemy – kontynuowała Piontkowska. – Musimy się tylko spotkać z rodzicami Weronisi i wszystko obgadać. Bo to, że przynajmniej na początku będziecie potrzebowali naszej pomocy, jest oczywiste.

Do końca życia będę go miał na karku... – Nagłe przypomnienie słów ojca sprawiło, że Weronika zadrżała. I jeszcze ta jego przepowiednia na temat prozy życia, która bardzo szybko zajrzy jej w oczy.

No cóż, właśnie zajrzała.

Gdy Jarek odprowadzał ją do akademika – pokój dzieliła z trzema koleżankami, więc nie było mowy, aby w przyszłości mogła tam dokwaterować męża – nie mogła się powstrzymać, by nie wyrazić żalu, że nie poparł jej pomysłu zamieszkania w Jaktorowie.

– Tak byłoby dla nas najlepiej – chlipnęła, jako że w tym czasie była szczególnie skłonna do łez.

Zatrzymał ją, objął, zajrzał w oczy. W jego spojrzeniu były miłość, zrozumienie, ale i stanowczość. Od razu pojęła, że decyzja Jarka nie ulegnie zmianie.

– Najlepiej dla nas będzie, gdy zamieszkamy bez rodziców za ścianą – rzekł. – Uwierz mi, kochanie, wiem, o czym mówię.

– Ale jak... – rozplakała się.

– Coś wymyślę. – Sięgnął do kieszeni po chustkę i wytarł jej oczy. – Zobaczysz, poradzimy sobie. Tylko mi zaufaj, dobrze?

Skinęła głową, żywiąc nadzieję, że nie spostrzegł jej sceptycyzmu. Tamtego dnia, na kilka tygodni przed ślubem, po raz pierwszy naszły ją wątpliwości. Czy miłość, choćby największa i najpiękniejsza, wystarczy, aby podolać wszelkim przeciwnościom i kłopotom, jakie nagle zaczęła dostrzegać? Dziwiła się, że Jarek ich nie widział, trochę ją nawet zaczynał drażnić ten jego optymizm, tak zupełnie nie liczący się z realiami życia. Ta jego pewność siebie, która – jak dawał jej do zrozumienia – miała wystarczyć, by pokonać wszelkie przeszkody.

Dopiero po latach zaczęła dopuszczać myśl, że on także się wtedy bał, jednak nie chciał, aby to zauważyła. Snując te wszystkie – jakże naiwne zdaniem wielu, w tym także jej zdaniem – plany, zamierzał dodać odwagi nie tylko jej, ale i sobie. Niewykluczone też, że czekał na jej wsparcie, słowa poparcia i otuchy. Nie doczekał się, nie miał na to szans. Nie tylko dlatego, że w pewnym momencie tak bardzo zaczęła lękać się przyszłości i zastanawiać, czy im się uda.

Był jeszcze inny powód, nie mniej istotny, a niewykluczone, że ważniejszy. A mianowicie jej miłość do Jaktorowa i pragnienie, by resztę życia związać właśnie z tym miejscem. I ze swoim rodzinnym domem.

Rozdział 9

Telefon zadzwonił akurat w momencie, gdy wbijała jajka na patelnię.

– Jak zwykle – mruknęła pod nosem. – Jak zwykle każdy ma do mnie pilną sprawę w najmniej dogodnym momencie.

Zanim wytarła ścierką dłonie, słuchawkę zdążył podnieść Piotruś.

– Cześć, tato! – W głosie chłopca nietrudno było usłyszeć radość, ba, prawdziwą ekscytację. Wcale jej nie stonował, gdy matka wyjrzała z kuchni. – Tak, przyjechaliśmy wczoraj. Wujek Oskar nas przywiózł... No tak, fajnie było w Jaktorowie... Przyjedziesz po nas dzisiaj? – Zadając ostatnie pytanie, ściszył głos, choć wiedział, że Weronika i tak słyszała każde jego słowo. Stała przecież trzy kroki od niego. Wsłuchując się w odpowiedź ojca, Piotruś podniósł wzrok na matkę. W jego oczach dostrzegła prośbę i nadzieję. – Tata chciałby z tobą porozmawiać – zakomunikował niemal pokornym tonem, wręczając jej słuchawkę.

Na widok wyrazu jego oczu serce jej się ścisnęło. Zwłaszcza że słuchawka, którą podał jej synek, była mokra od jego spoconych rączek.

– Cześć, Jarek. – Głos ponownie jej zadrżał, jak za każdym razem, gdy z nim rozmawiała.

Kiedy przestanę tak na niego reagować? – zachnęła się z rozdrażnieniem.

– Cześć, Weronika. – Dla odmiany głos byłego męża brzmiał wesoło, naturalnie, zresztą jak zwykle. Odkąd pamiętała. – Byłem ciekaw, czy już przyjechaliście.

– Tak przecież od początku planowałam – odparła trochę sztywno, ale zaraz postarała się o nieco przyjemniejszy ton: – Wróciliśmy późnym wieczorem, mam teraz straszny rozgardiasz w domu, muszę jakoś nad tym zapanować, zrobić śniadanie, więc może... zadzwoniłbyś trochę później?

Miało zabrzmieć przyjaźnie, ale nie do końca jednak tak wyszło. Weronika zaklęła w duchu. Słowa o rozgardiaszu w domu mogła sobie darować. Niepotrzebnie mu tylko przypomniwała, jak wyglądał „porządek” w małym, wynajmowanym kiedyś przez nich wspólnie mieszkanku. Wówczas także nie potrafiła nad niczym zapanować! Dlatego na co dzień towarzyszył im wszechobecny bałagan, o który codziennie się potykali, bo nie umiała niczego porządnie zrobić, wszystko leciało jej z rąk. Dopóki przez kilka pierwszych miesięcy małżeństwa byli jeszcze sami, we dwoje, mogło to być nawet zabawne. I było, bo stale z tego żartowali. Pojawienie się w ich życiu najpierw Michałka, a rok później Piotrusia sprawiło jednak, że to, co początkowo można było potraktować jako artystyczny nieład w gniazdku dwojga zakochanych, stało się rzeczywistością trudną do wytrzymania. Weronika wciąż to pamiętała i nie łudziła się, by w przypadku Jarka było inaczej. Mimo to niepotrzebnie dała mu do zrozumienia, że przynajmniej pod tym względem nic się w jej życiu nie zmieniło. Cokolwiek jednak pomyślał, zachował dla siebie.

– Pewnie, pora, jak na wakacje, jest nieludzko wczesna – odparł wciąż tym samym pogodnym tonem, choć minęła już dziesiąta, a zatem bynajmniej nie był to blady świt. Najwyraźniej starał się być miły, nie chciał zagęszczać atmosfery. Weronika zgadywała, że bardzo zależało mu na tym, aby już dzisiaj zabrać chłopców. I nie ulegało wątpliwości, że

dzieci także tego pragnęły. Pełne nadziei spojrzenie Piotra i czającego się za jego plecami Michałka, który wyślizgnął się właśnie z pokoju, mówiły same za siebie. – Chciałem tylko się upewnić, czy wszystko pozostaje bez zmian, tak jak zaplanowaliśmy – kontynuował Jarek i tym razem w jego głosie pojawiło się lekkie napięcie. – To znaczy czy mógłbym zabrać chłopaków po południu. Mama zaprosiła ich na obiad i...

To ty tak zaplanowałaś, nie my oboje, sprostowała, lecz tylko w myślach, Weronika. Jarek wspominał o takim rozwiązaniu, jeszcze zanim pojechała z chłopcami do Jaktorowa.

– Muszę spakować im rzeczy – odparła, ale zanim zdołała coś dodać, odezwał się Piotruś.

– Przecież jeszcze w Jaktorowie babcia wszystko nam uprała i wyprasowała – przypomniał rozpaczliwie. – Wszystko jest już prawie spakowane.

Cholera jasna, zaklęła w duchu. Całe szczęście, że Jarek nie miał teraz okazji zobaczyć jej rozplomienionej twarzy. Nie ulegało jednak najmniejszej wątpliwości, że usłyszał słowa synka.

– Dobrze, wpadnij po nich między drugą a trzecią – oznajmiła zmieszana. To zdenerwowanie także bez wątpienia wychwycił. Przecież zawsze, jak sam zresztą mawiał, niemal w niej czytał i wyczuwał jej nastrój. – Do tego czasu powinnam to jakoś ogarnąć – dodała.

– Fajnie, dzięki. No to jesteśmy umówieni.

To były dokładnie te same słowa, którymi zareagował, gdy po ich pierwszej rozmowie w ogrodzie botanicznym, przed laty, zgodziła się umówić z nim na następny dzień.

Dobra, nie daj się rozmiękczyć tymi wspomnieniami, upomniała czym prędzej samą siebie. Zresztą nie miała czasu na rozpamiętywanie mniej lub bardziej romantycznych przeżyć z przeszłości czy też analizowanie

własnych błędów lub – co gorsza – natrząsanie się z własnej głupoty. Musiała się jakoś „ogarnąć” (to było ulubione słowo brata), zajęć jej nie brakowało. Najpierw dokończyć przygotowywanie śniadania, potem zaścielić łóżka, pozmywać naczynia, umyć podłogę w kuchni, odkurzyć w pokojach, pozbierać walające się po całym mieszkaniu części garderoby chłopców, zresztą także jej spódnica oraz spodnie poniewierały się na podłodze w przedpokoju, obok drzwi do łazienki. Jarek nie może zobaczyć tego bajzlu.

Choć właściwie dlaczego nie? – zbuntowała się w myślach. Jarkowi nic już do tego, jak wygląda j e j i tylko jej mieszkanie. Wystarczy, że wysłuchiwała jego zrzędzenia, gdy mieszkali jeszcze razem w tamtej wynajmowanej klitce. Zaraz jednak sumienie ją upomniało, że Jarek właściwie wcale nie zrzędził. To raczej ona od pewnego momentu była stale niezadowolona i okazywała to mężowi w każdy możliwy sposób. To ona przybierała cierpiętniczą minę za każdym razem, gdy wracała z dziećmi z Jaktorowa do tej „kanciapy”, jak pogardliwie jej ojciec nazywał wynajmowane na Saskiej Kępie mieszkanie. W pewnym momencie ona także zaczęła tak myśleć i mówić. Również w obecności męża. Któregoś dnia Jarek w końcu stracił cierpliwość i wykrzyczał jej w twarz, że powinna w końcu przyjąć do wiadomości, że to Saska Kępa, a nie Jaktorowo, jest teraz domem zarówno jej, jak i dzieci. A w każdym razie powinna wreszcie zdecydować się, czego właściwie chce od życia. I jak widzi ich przyszłość. Te słowa, a chwilę potem jej reakcja, okazały się gwoździem do trumny ich małżeństwa. Ich miłości.

– Cholera jasna – ponownie zakłęła, przypomniawszy sobie o pozostawionych na gazie jajkach. Wbiegła do kuchni, ale oczywiście było już za późno. To, co zobaczyła, z pewnością nie nadawało się do jedzenia. Chwyła patelnię i podstawiła ją pod kran; naturalnie zaraz uniósł się gęsty

dym. Z desperacją cisnęła wszystko do zlewu i usiadłszy na taborecie, zakryła twarz dłońmi. Dokładnie tak jak wówczas, gdy mieszkała jeszcze z Jarkiem i za każdym razem wpadała w panikę albo, dla odmiany, w desperację, gdy coś jej nie wyszło. Gdy uświadamiała sobie, że nad niczym nie panuje. Nie tylko nad prowadzeniem domu, także nad własnym życiem. Jarek – musiała mu to przyznać – był bardzo cierpliwy. „Nie martw się, kochanie – pocieszał – to przecież głupstwo. Zobaczysz, kiedyś będziemy mieć większe mieszkanie. I dzieciaki nie zawsze będą małe, za kilka lat staną się bardziej samodzielne, a w końcu zaczną znikać na całe dnie z domu. Będziemy mieć czas dla siebie. Przecież gdy chłopaki dorosną, my nadal będziemy młodzi. Poużywamy wtedy życia. Zobaczysz, skarbie, wszystko się ułoży”.

Tak mówił, i to nie raz, wiele razy. Lubiła go wtedy słuchać. Lecz potem, przy byle okazji wyjeżdżała, czy też raczej uciekała, z dziećmi do Jaktorowa. Zawsze znalazła powód: ładna pogoda, chłopcy mogą tam ganiać po podwórzu i łące, na wsi nigdy się nie przeziębają, podczas gdy w Warszawie bez przerwy pociągają nosami. Uważała, że to ważne powody. Jarek, rad nierad, także przyjmował to do wiadomości, choć widziała, że robił to bez przekonania i bez entuzjazmu. W końcu zaczął się coraz bardziej otwarcie buntować.

– Mamo, nie martw się, możemy przecież zjeść parówki – usłyszała i podniosła głowę. Z krainy wspomnień wróciła do rzeczywistości.

Tuż przy niej stał Michaś i nieśmiało głaskał ją po ramieniu. Boże, był taki podobny do swojego ojca. Zawsze to dostrzegała, ale w tym momencie, w tej właśnie chwili – w sposób szczególny.

– Parówki – powtórzyła bezwiednie i uśmiechnęła się do niego. – Jasne, niech będą parówki.

Jak zwykle, zanim wyjechała z Jaktorowa, została wyposażona przez rodziców w wałówkę na przynajmniej kilka dni.

– Czy nie uważasz, że czas stanąć na własnych nogach? Odciać pępowinę? – zapytał kiedyś Jarek, bardzo sceptycznie nastawiony do tego rodzaju pomocy ze strony teściów. Zresztą on nie postrzegał tego jako pomoc, ale jako formę uzależnienia.

Ponownie upomniała samą siebie, że nie musi się już przejmować opiniami Jarka. Od razu jednak naszła ją kolejna refleksja – że bez rodziców zwyczajnie nie poradziłaby sobie w życiu. Tak było w przeszłości, a tym bardziej ten stan rzeczy aktualny jest teraz. I nic nie zapowiadało, by przyszłość miała przynieść jakiegokolwiek zmiany.

Jarek przyjechał kilku minut po trzeciej i była mu wdzięczna, że nie zrobił tego wcześniej. W granatowej koszuli i džinsach wyglądał tak jak za studenckich lat, gdy go poznała i pokochała. Jakby upływający czas o nim zapomniał. Choć niewykluczone, że w dużej mierze była to zasługa jego sposobu bycia. Wieczny chłopak nigdy nie będzie mężczyzną, który zapewni godziwy byt rodzinie – tak go zawsze postrzegał teść.

Ale to ja byłam i jestem chaotyczna. Jarek radzi sobie w życiu sam, bez niczyjej pomocy. Ja tego nie potrafię... – Patrząc na byłego męża, nie mogła uniknąć tej pełnej goryczy refleksji.

Dobrze, że przynajmniej zdążyła jako tako uporządkować mieszkanie przed jego przybyciem. W przeszłości, gdy byli jeszcze razem, także się o to starała, ale prawie nigdy jej nie wychodziło. Tym razem, podobnie jak niegdyś, zadała sobie ten sam trud, choć przecież – jak sama sobie nadaremnie tłumaczyła – nie było takiej potrzeby. Ale cóż, jak to mówią, przyzwyczajenie staje się drugą naturą.

Tak czy owak, Jarek nie zwracał uwagi na jej mieszkanie. Na ogół unikał przychodzenia tutaj; gdy przyjeżdżał po chłopców, wolał na nich

czekać na dole, obok klatki schodowej. Tym razem jednak wszedł do środka, musiał przecież zająć się bagażem dzieci. Zatrzymał się przy drzwiach, choć zapraszała, by wszedł do pokoju.

– Dzięki, ale może innym razem – uśmiechnął się. – Gdy będzie na to więcej czasu...

Nie nalegała. Zgadywała, że nie chciał spóźnić się z chłopcami na umówiony obiad u rodziców. Nie miała też wątpliwości, że następnym razem najprawdopodobniej będzie wolał poczekać na dzieci na zewnątrz.

Patrzyła potem przez okno, jak pakował plecaki do starego wartburga, którego kupił trzy lata temu od jednego z kolegów i którym cieszył się jak dziecko. Teść kpił z tego nabytku, choć na szczęście robił to za plecami zięcia. Dla Jarka samochód oznaczał niezależność od PKP i PKS-ów. „Jadę, kiedy chcę, o której chcę i biorę tyle bagażu, ile zechcę” – mawiał.

Dwa lata po rozwodzie córki Jan Reczyński wciąż krzywił się na myśl, że „takim rzęchem” podróżują niekiedy jego wnuki.

– Ale ty masz szczęście! Taki facet! – wzdychały przed laty koleżanki z akademika, gdy wraz z nią stały przy oknie, odprowadzając wzrokiem oddalającego się chłopaka. A potem żartowały, że Weronika pewnie nieraz się wściekała, że nigdy nie może z nim pobyć sam na sam w pokoju, bo przecież mieszkały tu we cztery i zawsze przynajmniej jedna była obecna podczas odwiedzin Jarka.

– Radzimy sobie i bez pokoju w akademiku – odgryzła się kiedyś.

Ale miały ubaw! Zwłaszcza gdy dowiedziały się o jej ciąży.

– Byłam głupia i nadal jestem – westchnęła, gdy stary wartburg zniknął jej z pola widzenia.

Odwróciła się od okna i powiodła zniechęconym spojrzeniem po pokoju. No tak, nic jej tu nie trzymało. Mogła wracać do Jaktorowa, zdążyłaby jeszcze na autobus o siedemnastej. Przed dziewiętnastą byłaby

na miejscu, potem drogą przez las powędrowały do rodzinnego domu. Nie musiała dźwigać ze sobą bagażu, przecież większość przywiezionych na początku wakacji rzeczy zostawiła u rodziców, a więc nie byłoby konieczności, aby ojciec zabierał ją z przystanku samochodem. Zatem mogła zacząć się szykować do podróży, wręcz marzyła o tym, aby wrócić na wieś... A jednak nie ruszyła się z miejsca.

„Nie wierzę, że nie masz tu nikogo, żadnej koleżanki, z którą mogłabyś spędzić trochę czasu” – zasugerował niedawno Oskar. Mniej więcej tak to zabrzmiało. Lub bardzo podobnie.

Nie miała takich koleżanek, ale przyszło jej naraz do głowy, że faktycznie może nie był to taki zły pomysł, aby posiedziała trochę sama w domu. Przynajmniej do jutra. Tak dawno nie miała okazji pobyć sama ze sobą, a przecież kiedyś tak to lubiła. Zawsze potrafiła sobie znaleźć zajęcie, jak większość samotników nie miała z tym problemu. Teraz także nie brakowało spraw, którymi mogłaby wypełnić czas. Na przykład wreszcie solidnie posprzątać mieszkanie. Posegregować w osobnych teczkach urzędowe papiery i rachunki, aby potem, jak to zwykle niestety bywało, nie szukać ich w razie potrzeby po całym domu. Zaraz jednak porzuciła ten pomysł. Nie chciało jej się sprzątać. Czemu jednak dla odmiany nie sprawić sobie trochę przyjemności, na przykład nie wyjść na spacer, do kina, do księgarni? Rozejrzeć się tu i ówdzie. Zrobić porządek we własnej głowie, jak mawiał niegdyś Jarek?

Znowu Jarek. Wzruszyła ramionami, bo po raz kolejny uświadomiła sobie, ile wciąż w niej siedzi z tamtych dni, gdy byli jeszcze razem.

Tak czy owak, wybrała drugie rozwiązanie. Słoneczna, gorąca aura zachęcała do wyjścia z domu. Wprawdzie gdy tylko znalazła się na wybetonowanym osiedlowym podwórzu, ponownie zatęskniła za łąkami, lasem i ogrodem Jaktorowa – po chwili jednak przemogła chęć, by

natychmiast wyruszyć z powrotem do rodziców. Może faktycznie Oskar miał trochę racji, gdy wielokrotnie ją przekonywał do Warszawy? Może rację w tej kwestii miał także Jarek, choć oczywiście tylko do pewnego stopnia? Może naprawdę powinna przyjąć w końcu do wiadomości, że musi zająć się własnym życiem i nie oglądać się w kółko na rodziców? Naturalnie, bez przesady, potrzebowała przecież ich pomocy, niemniej...

Musiała zresztą przyznać, że warszawskie Bielany, gdzie mieszkała, miały w sobie pewien urok. Oczywiście nie dotyczyło to jej osiedla – szarych, brudnych bloków z wielkiej płyty i niemal zupełnie pozbawionego zieleni podwórza. Jednak już parę ulic dalej okolica wyglądała zupełnie inaczej. Niedaleko znajdował się park Kaskada, choć, jak wieść gminna niosła, po zmroku lepiej było się weń nie zapuszczać; te same zresztą dobre rady dotyczyły wieczornych spacerów po Lesie Bielańskim. Nie brakowało jednak innych zakątków, w których można się było nacieszyć urokami zielonego Żoliborza. Weronika do tej pory zupełnie jednak ignorowała ich istnienie – w ciągu roku szkolnego biegała do pracy, potem odbierała dzieci ze szkolnej świetlicy, robiła pośpieszne zakupy, po czym na ogół zamykała się w czterech ścianach mieszkania. Na spacery wychodziła bardzo rzadko. Sobotnie popołudnia i niedziele na ogół spędzała u rodziców na wsi, podobnie rzecz się miała w przypadku świąt, ferii i wakacji. Uroki Żoliborza nie były jej potrzebne do szczęścia i przeważnie przechodziła nad nimi do porządku dziennego. Dziś jednak zrobiła wyjątek i ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że sprawiło jej to frajdę. A poza tym kiedy to ostatni raz pozwoliła sobie na taką zupełnie niezobowiązującą przechadzkę bez towarzystwa dzieci? Od lat stale musiała dostosowywać do nich swoje życie i jeszcze od czasu do czasu wysłuchiwać ich sprzeczek i narzekania.

Dzisiaj czuję się jak studentka, stwierdziła w duchu, uśmiechając się pod nosem. Faktycznie, skojarzenie z czasami tamtej swobody wydało jej

się teraz oczywiste. Jak szybko i bezmyślnie zakończyła tamten etap życia! Zachnęła się, gdy o tym pomyślała. Podobne refleksje nie miały już przecież najmniejszego sensu.

Aby zająć głowę czym innym, zerknęła na witrynę wystawową dużej księgarni, do której właśnie dotarła. Może warto kupić sobie coś do czytania, choćby na nadchodzący samotny wieczór? Kiedyś, jako dziecko, potem wzorowa licealistka, wreszcie studentka, dosłownie pochłaniała książki; później, gdy urodziła synów, przeważnie brakowało jej na to czasu, a bywało, że i pieniędzy. Wtedy nie miała wyjścia, opieka nad maluchami absorbowała ją od rana do nocy. Teraz jednak nic jej nie tłumaczyło. Czy naprawdę nie była w stanie wygospodarować choćby godziny dziennie na jakąś bardziej ambitną, wartościową lekturę? Była aż tak niezorganizowana, czy może...

Może rzeczywiście cotygodniowe wyjazdy do Jaktorowa zabierały jej czas, który mogła poświęcić na jakąkolwiek intelektualną rozrywkę? W którym momencie straciła potrzebę, by coś z tym zrobić? Od lat szczęśliwa i swobodna czuła się tylko w Jaktorowie, od niedzielnego popołudnia aż do zakończenia sobotnich zajęć czekała tylko na to, by ponownie się tam znaleźć. Oskar uważał to za błąd, a Jarek w przeszłości niejednokrotnie jej to wypominał. Może mieli trochę racji?

– Wchodzi pani do środka? – Z zadumy wybudził ją męski głos nad uchem. Zorientowała się, że zatrzymała się przy samych drzwiach księgarni.

– Tak, przepraszam – wymamrotała zmieszana, że znowu zrobiła z siebie gapę.

Nie żałowała zresztą, że weszła do środka. Przez dłuższą chwilę czuła się niemal jak człowiek, który po latach wraca w dawno niewidziane strony. Nie śpieszyła się, wodząc wzrokiem po okładkach i tytułach, sięgając po

niektóre egzemplarze. Zatrzymała się przy przewodnikach turystycznych. Francja, Włochy, Hiszpania... Westchnęła. Podróże zawsze były jej marzeniem, jak dotąd niespełnionym. Skończyła romanistykę i ani razu nie była we Francji. Nie miała możliwości zobaczyć kraju, którego językiem, kulturą i literaturą zachwyciła się przed laty. Kiedy jako uczennica liceum wspomniała o swoich planach podczas jakiegoś rodzinnego przyjęcia, obecna przy tym kuzynka ojca, ciotka Rozalia, z uśmiechem skomentowała, że Weronika „ma to po Wandzi”. Tak, dosłownie tak powiedziała. Weronika nie zwróciła większej uwagi na te słowa. Ciotka Wanda była jedynie mglistym wspomnieniem i w związku z tym zupełnie jej wówczas nie obchodziła. Natomiast natychmiast zareagował ojciec. Przy czym nie odniósł się do wzmianki na temat swojej siostry, wyraził za to swój sceptycyzm wobec pomysłu córki. „Na co ci ta cała romanistyka – sarknął. – Na co komu w tym kraju studia językowe, skoro ciężko się gdziekolwiek stąd ruszyć?”. Przywołana w ten sposób do porządku, Weronika stropiła się i nie podjęła dyskusji. Poza wyjątkowymi sytuacjami nigdy nie spierała się z rodzicami, zauważyła jednak, że ciotka Rozalia także się mieszała. Podobnie – mama. I tylko Oskar, jak to on, stanął w obronie pomysłu siostry. I to takim tonem, że omal nie doszło wówczas do awantury. Potem zresztą Reczyński odtajał wobec marzeń córki, w każdym razie z rezygnacją wyasygnował niemałą kwotę na dodatkowe prywatne lekcje francuskiego, co – jak zrozumiała Weronika i cała reszta rodziny – oznaczało jego milczącą zgodę na wybór dalszego kierunku jej edukacji.

Trzymając w dłoniach opasłe tomiszczce, w którym znajdowały się bogato ilustrowane informacje o zabytkach, kulturze, gastronomii i wszelkich ciekawostkach dotyczących Francji, Weronika po raz pierwszy od lat wróciła wspomnieniami do tamtej dyskusji przy stole. A zarazem po

raz pierwszy zastanowiła się nad słowami ciotki Rozalii. Tymi, które dotyczyły Wandy.

Odłożyła książkę na półkę i wyszła na zewnątrz. Zupełnie niespodziewanie przyszło jej do głowy, że chętnie porozmawiałaby z ciotką Rozalią, tyle że nie widziała jej od wieków, to znaczy od własnego ślubu i szczerze mówiąc, nie znała nawet jej adresu, o ewentualnym telefonie nie wspominając. To nie do końca była oczywiście tylko jej wina – Jan Reczyński nie utrzymywał zażyłych stosunków z dalszą rodziną – niemniej nie mogła zaprzeczyć, że nie zrobiła nic, aby to zmienić. W tym momencie rzecz jasna także nie miała możliwości, aby skontaktować się z ciotką Rozalią, nabrała za to ochoty, aby porozmawiać z bratem. Znalezienie budki z czynnym aparatem telefonicznym zajęło jej trochę czasu, ale na szczęście nie było do niego kolejki, a w dodatku Oskar odebrał już po drugim sygnale.

– Weronika? – W jego głosie słychać było wyraźne zaskoczenie.

– Tak. Pewnie spodziewałeś się kogoś innego. – Postanowiła trochę się z nim podroczyć.

– Skąd ta myśl?

– Bo zaskakująco szybko odebrałeś. Zazwyczaj trzeba się naczekać, aż to zrobisz.

– Dobra, dzwonicz, żeby mi nawtykać, czy jednak masz jakąś konkretną sprawę?

– Powiedzmy, że mam sprawę.

– No to nawijaj. Coś się stało?

– Mogłabym do ciebie wpaść? Chyba że jesteś zajęty albo gdzieś wychodzisz...

– Jesteś jeszcze w Warszawie? – Najwyraźniej ponownie go zaskoczyła.

Wiedziała, co było tego powodem, a jednak odbiła piłeczkę:

– Co cię tak dziwi?

– Myślałam, że zawinęłaś się już do mamy i taty.

– I po co ta kpina i ten ton? – skrzywiła się.

– Kpina? Przecież nie przepuścisz żadnej okazji, aby jak najszybciej się tam znaleźć. W wakacje siedzisz tam niemal bez przerwy. No dobrze, dajmy już temu spokój – westchnął teatralnie. – Mam rozumieć, że Jarek zabrał już chłopaków do siebie?

– Do swojej mamy na obiad – odparła nieco zbyt złośliwie.

– Masz coś przeciwko temu? – W tonie Oskara usłyszała zaledwie małą nutkę ironii. Nutka ta jednak wystarczyła, by Weronika straciła cierpliwość.

– Nie, nie mam nic przeciwko temu. Daję ci jednak do zrozumienia, że nie tylko ja byłam i jestem przywiązana do rodziców. Jego to także dotyczy.

– Jasne – Oskar niemal wszedł jej w słowo – ale chyba sama rozumiesz, że czym innym jest przywiązanie, a czym innym zupełne uzależnienie.

– Jeśli masz ochotę znowu mnie zanudzać i wytykać mi wciąż to samo, lepiej zakończmy tę rozmowę – zdenerwowała się i byłaby naprawdę odłożyła słuchawkę, ale brat do tego nie dopuścił:

– Dobra, coś taka narwana? Ja też nie mam ochoty wciąż klepać o tym samym.

Niemniej cały czas to robisz, stwierdziła z rezygnacją w duchu. Nie odłożyła jednak słuchawki. Chciała pogadać z bratem.

– Jasne, że możesz do mnie wpaść – kontynuował już zupełnie niezobowiązującym tonem. – Choćby zaraz albo kiedy tylko chcesz. Nie musisz o to pytać ani mi się anonsować.

– Wolałam zapytać. Na gruncie towarzyskim jesteś wręcz rozrywany. Równie dobrze mogłam cię nie zastać albo, dla odmiany, wpaść nie w porę – odparła, uśmiechając się do siebie zgryźliwie. Sposób spędzania

wolnego czasu najlepiej obrazował wszelkie różnice między nimi. Ona – oczywiście w Jaktorowie. On – realizował napięty kalendarz towarzyski.

– Na dzisiaj niczego nie zaplanowałem. Latem towarzystwo rozjeżdża się w różne strony. Urlopy i tym podobne sprawy. Dobra, nie przedłużajmy, czekam na ciebie.

– Czyli, jak rozumiem, jeśli chodzi o dzieciaki, wszystko w porządku? – zagadnął ją, gdy tylko przestąpiła próg jego mieszkania. – Przekazałaś je tatuškowi bez przeszkód?

– Nie pozabijaliśmy się przy tej okazji, jeśli aż tak bardzo cię to interesuje – odcięła się, przyjmując z jego rąk szklankę z coca-colą.

– No nie wiem. Wprawdzie widzę, że ty żyjesz i masz się dobrze. Nie mam jednak pojęcia, w jakiej kondycji jest teraz Jarek – ponownie zakpił, ale postanowiła nie dać się sprowokować. Za odpowiedź musiało mu wystarczyć wzruszenie ramion. Co zresztą przyjął do wiadomości. – Rozgość się. Zacząłem przygotowywać kolację – rzekł, zachęcając gestem, aby usiadła na kanapie. – Poczekaj, sprawdzę, czy się nie przypala.

– Kolację? Niepotrzebnie, ja tylko przyszłam...

– To nic takiego. Nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego. Ot, zwykła przekąska na gorąco z tego, co znalazłem w lodówce. Siadaj.

– Pomogę ci.

– Daj spokój. W mojej kuchni dwie osoby to już tłok.

Z tym ostatnim stwierdzeniem faktycznie trudno było dyskutować. Kuchnia była piętą achillesową w jego mieszkaniu, wygodnym pod każdym innym względem.

– No więc nie trzymaj mnie dłużej w niepewności – podjął, gdy usiedli już przy stole. – Nie myśl, że cię poganiam, ale zaintrygowałaś mnie trochę.

Co to za sprawa, która cię do mnie przygnała? Musi to być nie byle co, skoro odwiodło cię od natychmiastowego powrotu na wieś. – Nie mógł sobie jednak darować tej uwagi.

– Czy wiesz, pod jakim adresem albo numerem telefonu mogłabym znaleźć ciotkę Rozalię?

– Kogo? – Ręka, którą właśnie nakładał jej sałatkę z pomidorów i ogórków, znieruchomiała. Oczywiście, jego zdumienie było jak najbardziej uzasadnione. Weronika w pewnym sensie była na nie przygotowana.

– Chodzi mi o tę kuzynkę ojca. Kiedyś odwiedziła nas w Jaktorowie. Była na moim... ślubie. Nie pamiętam jej nazwiska.

– Ach... To o tę ciotkę Rozalię ci chodzi...

– Była jakaś inna? – zniecierpliwiła się Weronika. Uśmiech na twarzy brata wydawał się dość podejrzany.

– Może i była, skąd mam wiedzieć? Stary nigdy nie należał do szczególnie rodzinnych osób. Nie był też wylewny w opowieściach na temat krewnych. W każdym razie ja w pewnym momencie zacząłem podejrzewać, że nie mamy już żadnej dalszej rodziny.

– Myślisz, że ta kuzynka także już nie żyje? – Zastanowiła ją wcześniejsza uwaga brata. Ona przez całe lata w ogóle nie zastanawiała się nad tym, czy jacykolwiek krewni ostali się jeszcze na tym świecie. Właściwie nigdy nie była do nich przywiązana. Nie interesowała się nimi. Aż do dnia, gdy Oskar podjął temat nieżyjącej już siostry ojca.

– Myślę, że żyje. W przeciwnym razie usłyszelibyśmy o jej pogrzebie. Stary jest, jaki jest, ale pewnych, że tak powiem, wymogów formalnych przestrzega.

– Zresztą to przecież nie jest stara kobieta – zastanowiła się Weronika. – Siostra stryjeczna taty, a zatem osoba z pokolenia naszych rodziców.

– A co tak cię nagle wzięło na wspomnianie tej niemal zapomnianej ciotki? – Oskar rzucił jej spojrzenie z ukosa. – Choć z drugiej strony pewnie to ładnie o tobie świadczy. Tak czy owak, zawstydziłaś mnie, bo ja już od lat nie myślę o tej biedaczce.

– Dlaczego nazywasz ją biedaczką? – podchwyciła Weronika.

– Nie wiem, tak jakoś mi się wyrwało – stropił się Oskar. Niewątpliwie tym razem siostra go zaskoczyła; na ogół bywało odwrotnie. – Zawsze sprawiała wrażenie takiej nieśmiałej, wyciszonej.

– Przypominam sobie, że kiedyś wspomniała coś... – Zawahała się. – Na temat ciotki Wandy.

Krótko przypomniała tamtą rozmowę przy rodzinnym stole.

Oskar pokiwał głową.

– Pamiętam to – powiedział. – Pamiętam też, że nasz tatusiek bardzo nie lubił, gdy ktoś bodaj słówkiem wspomniał jego siostrę – dodał kąśliwie.

– Mylisz się – odparła. – To znaczy nie zawsze tak reagował. Nie mówiłam ci o tym wcześniej, ale rozmawiałam z nim o ciotce. – A podchwyciwszy jego zaintrygowane spojrzenie, dodała: – Opowiadał mi o swoim dzieciństwie.

– No proszę – mruknął Oskar, nie podnosząc wzroku znad talerza. – Zawsze to coś... Trudne dzieciństwo i takie tam...

Puściła mimo uszu ten ton, odłożyła jednak sztućce.

– Łatwe to jego dzieciństwo nie było – westchnęła. – Ani młodość. Akurat ja, w przeciwieństwie do ciebie, doceniam fakt, że zechciał mi o tym opowiedzieć. Wyjął stary album, pokazał zdjęcia, których dotąd nie widziałam. I wcale nie musiałam uciekać się do podstępu.

– Obawiam się, że musiałybyś się jednak uciec, gdybyś zechciała mu zadać pytania wybiegające poza czasy jego dzieciństwa i wczesnej

młodości. Na przykład te dotyczące prawdziwych przyczyn zerwania kontaktów z jego jedyną siostrą.

– Może ma powody, aby o tym nie mówić – zaperzyła się Weronika. – Mama także nie była zadowolona, gdy próbowałam poruszyć z nią ten temat.

– Wcale mnie to nie dziwi – odparł Oskar, sprzątając talerze ze stołu. – W gruncie rzeczy zawsze stała po jego stronie. W dodatku, przeważnie, wbrew własnym interesom.

Rozdział 10

Izę poznałam jeszcze przed wojną. Janek przedstawił mi ją w maju albo w czerwcu trzydziestego dziewiątego roku. Miało to miejsce w parku, w Łazienkach, a spotkanie nie było przypadkowe, lecz starannie przez mojego brata zaaranżowane. Pamiętam, że jego nowa dziewczyna nie zrobiła na mnie najlepszego wrażenia.

– Jadzia bardziej mi się podobała – oznajmiłam mu potem bez ogródek, przywołując wspomnienie jej poprzedniczki.

Nie owijałam niczego w bawełnę, bo, jak by nie patrzeć, nie kto inny, a właśnie mój brat zachęcał mnie, abym w rozmowach z nim zawsze szczerze wyrażała swoje myśli. Jednak tym razem, wbrew wcześniejszym zapewnieniom, obruszył się.

– To nie tobie ma się podobać jakakolwiek moja dziewczyna – odparł chłodno.

Roześmiałam się – w tamtych dobrych dla nas obojga czasach nie bałam się jego niezadowolenia. Z dotychczasowego doświadczenia wiedziałam, że i tak wcześniej czy później się pogodzimy. Wtedy wierzyłam, że to się nigdy nie zmieni.

– Przecież byłeś ciekaw, co o niej myślę – droczyłam się.

– Nieprawda.

– Przedstawiłeś mi ją.

– Nie po to, abyś ją krytykowała. – Spochmurniał jeszcze bardziej.

Przecucie mi podpowiadało, aby dłużej nie szarżować, ale zlekceważyłam ten wewnętrzny głos przestrogi. Miałam szesnaście lat, a w tym wieku człowiek kieruje się częściej emocjami niż rozsądkiem. Ja w każdym razie taka wtedy byłam, a do tego jeszcze rozpieszczona i przyzwyczajona przez wszystkich, że dużo mi wolno.

– Wolę Jadzię – upierałam się. – Dlaczego nie chcesz się z nią pogodzić?

– Nie twoja sprawa.

– Musiałeś od razu szukać sobie innej dziewczyny? – Tym razem już się naburmuszyłam.

– Nie wtrącaj się.

– A może po prostu zostawiłeś Jadzię, bo poznałeś tę... – oburzyłam się. – W takim razie bardzo ci się dziwię.

Nie powinnam była tego mówić, bo tym razem Janek nie przeszedł do porządku dziennego nad tym, co ode mnie usłyszał. Tym razem zostałam ukarana za moją dezynwolturę. Nie odzywał się do mnie przez dwa tygodnie. Bardzo mnie to zabolalo, ale zawzięłam się i postanowiłam, że go nie przeproszę. Nie wycofam się ze swojej opinii. Naprawdę bardzo chciałam, aby pogodził się z Jadzią, już od pewnego czasu to właśnie ją widziałam w roli bratowej. Lubili ją też moi rodzice; moim zdaniem nie sposób było jej nie lubić. Jadzia Mikołajska była córką nauczycielskiego małżeństwa pracującego w Gimnazjum imienia Słowackiego, do którego uczęszczałam, a wcześniej uczył się tam także Jaś. Wysoka, ciemnowłosa, zawsze roześmiana, pełna życia i wysportowana, pod każdym względem stanowiła przeciwieństwo tej nowej. Swojej następczyni. Była też od niej dużo ładniejsza, o ile w ogóle nową dziewczynę brata można było nazwać ładną. Iza sprawiała wrażenie mimozy. Szczupła, bladolica, krucha i bardzo

delikatna, wyglądała tak, jakby w każdej chwili mogła zostać uniesiona lub przewrócona przez wiatr. Niewiele się uśmiechała, a jeśli już, to z wyraźnym przymusem. Jednak nawet wtedy jedynie wykrzywiała wargi, bo jej nieokreślonego koloru, „wodniste” (jak z przekąsem twierdziłam) oczy nadal pozostawały poważne. Pewnie dlatego od pierwszej chwili uważałam ją za osobę ponurą i nieciekawą – w przeciwieństwie do stale rozchichotanej Jadzi. Jedyne, co mi się w niej podobało, to długie, gęste, kręcone włosy. Jasne, rudawe, pełne blasku. Ja miałam krótką czuprynę i nie pozostawało mi nic innego, jak patrzeć z zazdrością na dziewczęta, które mogły ze swoich włosów układać najróżniejsze fryzury. Od razu też uznałam, że nie mam o czym gadać z tą dziewczyną, a zdania tego nie zmieniłam nawet wówczas, gdy pogodziłam się wreszcie z bratem i z rezygnacją zaakceptowałam jego wybór. Co innego mi pozostało? Zgadywałam, że do takiego samego wniosku doszli moi rodzice, choć nigdy nie rozmawiałam z nimi na ten temat. Matka zresztą, jako zaledwie tolerowana przez Jasia macocha, była w trudniejszej sytuacji i nawet nie wypowiadała swej opinii na głos. Ojciec chyba to zrobił, ale – zdaje się – Jaś dał mu do zrozumienia, że zważywszy na rodzinne wydarzenia z przeszłości, lepiej by było, aby tata się nie wtrącał do jego życiowych wyborów. Tak też się stało.

Dlaczego, braciszku, na miłość boską, dlaczego? – lamentowałam, oczywiście tylko w myślach. – Co sprawiło, że zwróciłeś uwagę właśnie na tę dziewczynę? Była, jak to się mówi, znikąd. Sierota wychowana przez daleką rodzinę, ale od pewnego czasu dająca sobie radę sama. Bez kontaktu z krewnymi. Pracowała jako pomoc pielęgniarska w gabinecie jednego z lekarzy, próbując to pogodzić ze studiami. W wolnych chwilach dużo czytała. Podejrzywałam, że właśnie to najbardziej zaintrygowało mojego, także wiecznie zagrzebanego w książkach, brata. A także fakt, że

była taka samodzielna. Nie miała żadnego oparcia w rodzinie, żadnych korzeni, które niekiedy powodują, że tak trudno oderwać się od swoich bliskich i zacząć życie na własny rachunek.

– Podoba mi się – oświadczył wprost. – Jest inna niż wszystkie znane mi dziewczęta.

Ja tęskniłam za Jadzią. Za naszymi rozmowami o wszystkim i o niczym. O modzie, o aktorach, o ulubionych filmach. Nic skomplikowanego, takie śmichy-chichy. Za mało wtedy wiedziałam o życiu, aby roztrząsać bardziej skomplikowane tematy, za mało czytałam. To znaczy czytałam, ale nie były to żadne tak zwane ambitne lektury – do nich nie miałam głowy. Z Jadzią było podobnie, a przynajmniej ja tak zakładałam... Wtedy. Teraz, gdy o tym myślę, coraz częściej przychodzi mi do głowy, że być może starała się tylko dostosować do mojego poziomu. Była przecież kilka lat starsza ode mnie i choć rodzice dbali o zaspokojenie jej potrzeb – nie musiała zarabiać na swoje utrzymanie – to jednak jako nauczyciele z pewnością dbali także o jej rozwój intelektualny. Moi za bardzo mi pobłażali, taka była prawda, mogę to przyznać po latach. A nowa dziewczyna mojego brata nie starała się do mnie dostosowywać. Wprawdzie nie odnosiła się do mnie krytycznie, ale jednak z dość dużym dystansem. I nic nie wskazywało na to, by zamierzała cokolwiek zmienić w tym względzie. Już podczas naszego pierwszego spotkania było dla mnie jasne, że żadna z nas nie będzie się kwapiła, aby przełamać te lody.

Postanowiłam walczyć, a przynajmniej działać. Przez jakiś czas odwiedzałam jeszcze Jadzię, próbując wysondować, jaka była przyczyna jej rozstania z moim bratem. Miałam cichą nadzieję, że może uda się jeszcze temu zaradzić i że to ja tego dokonam. Przez jakiś czas Jadzia zносиła to cierpliwie, zbywała żartami – jak to ona – wreszcie jednak dała mi jasno do zrozumienia, żebym zostawiła ją w spokoju.

– Jak widzisz, wcale nie cierpię – oznajmiła mi bez ogródek. – Co było, to było, nie patrzę za siebie, mam już inne plany – dodała z dającym wiele do zrozumienia błyskiem w oku.

Wtedy odpuściłam. W tej sytuacji została mi już tylko nadzieja, że może i z tą nową dziewczyną Jasiek prędzej czy później się rozstanie. Jakoś tak... nie wyglądali na romantycznie zakochanych. Iza mogła go pod pewnymi względami zainteresować, ale nic więcej.

Jak się jednak okazało, wszelkie tego typu rozważania i tak wkrótce straciły znaczenie. Lato trzydziestego dziewiątego roku okazać się miało naszymi ostatnimi tak beztruskimi wakacjami. A perturbacje sercowe miłym i słodkim wspomnieniem wobec tego, co nastąpiło później.

– W jaki sposób poznałeś mamę? – zagadnęła Weronika, a napotkawszy spojrzenie ojca, lekko się zaczerwieniła. – Nigdy żadne z was o tym nie mówiło. Nawet się nie zająknęliście.

– A o czym tu gadać? – zachnął się. – A poza tym... Skąd to nagłe zainteresowanie sprawami sprzed naszej ery?

– Sprzed mojego urodzenia, nie sprzed naszej ery – sprostowała przymilnym tonem. – No więc kiedy się poznaliście? W czasie wojny?

– Kilka miesięcy przed jej wybuchem. – Rozejrzał się po łące, po czym sięgnął po okulary przeciwsłoneczne.

– No i...

– No i tak to się zaczęło – zażartował albo przynajmniej próbował to zrobić. Tak czy inaczej, nie do końca mu się to udało.

Upalne, lipcowe popołudnie raczej nie zachęcało do spacerów. Bardziej do sjeisty w cieniu drzew – na to właśnie zdecydowała się Izabella Reczyńska, zwłaszcza że dopiero co skończyła zmywanie naczyń po

niedzielnym obiedzie. Weronika zresztą wcale nie należała, aby matka wybrała się z nimi na przechadzkę. Była bowiem pewna, że rozmowa z ojcem w jej towarzystwie na tematy związane z przeszłością byłaby bardzo utrudniona, chyba nawet niemożliwa. Tym bardziej że zamierzała go teraz namówić na wspomnienia dotyczące czasów, gdy był już dorosły. To właśnie wtedy wydarzyło się coś, co zaważyło na losach całej rodziny, przyczyniając się do jej skłócenia i rozbitcia. Zgodnie z przewidywaniami Oskara Reczyński nie był już tak chętny do snucia wspomnień, jak w przypadku rozmowy o jego dzieciństwie. Zamiast tego narzekał na cały szereg zaniedbań panujących w Jaktorowie i w okolicach, spowodowanych zarówno niedbalstwem tego czy tamtego gospodarza, jak i niekompetencją urzędników w gminie. Dotyczyło to na przykład drogi prowadzącej od posesji Reczyńskich do wsi – już dawno powinna zostać położona nowa nawierzchnia, a od lat nic się w tej kwestii nie dzieje. W dodatku suche, gorące lato sprawia, że wszyscy wokół zapominają o tym problemie. Wprawdzie są doły, na których ucierpiała niejedna samochodowa felga, ale dopóki nie nastanie pora większych opadów deszczu, śniegu, wreszcie odwilży, które sprawią, że nie sposób będzie tędy przejść i przejechać, to – zdaniem większości okolicznych mieszkańców – da się przecież jakoś żyć. Teraz, latem, są inne problemy do załatwienia. Narzekania i złorzeczenia zaczną się, jak zwykle, jesienią. I jak co roku nic a nic z nich nie wyniknie.

Weronika, która już dziesiątki razy słyszała tę śpiewkę, machinalnie przytakiwała głową, czując jednak coraz większe zniecierpliwienie. Ojciec na pewno się domyślał, o czym chciała porozmawiać, a jednak najwyraźniej zbywał jej nieśmiałe, nieporadne próby, by naprowadzić go na interesujący ją temat. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że robił to z pełnym rozmysłem. Nawet na, wydawałoby się, niewinne pytanie o początki jego

znajomości z przyszłą żoną odpowiadał tak wymijająco i niechętnie, jak się tylko dało.

– Zwróciłeś uwagę na mamę, bo miała takie same zainteresowania jak ty? – nie poddawała się Weronika.

– Zainteresowania? – zdziwił się ojciec.

Przynajmniej jednak tym razem jej nie zbył – i tego postanowiła się uchwycić.

– Oboje kochaliście zwierzęta. Wybraliście taką samą pracę.

Potrząsnął głową.

– Przecież już ci kiedyś mówiłem, że nie myślałem wtedy o weterynarii. Chciałem zostać lekarzem, jak mój ojciec. Wojna zniszczyła moje plany – odparł niechętnie. Nie ulegało wątpliwości, że nie chciał rozwijać tego wątku.

Wiem, odpowiedziała mu, choć tylko w myślach, córka, pamiętam, że już mi o tym wspominałeś. Ale wspomniałeś kiedyś także, że nie żałujesz, że tak się stało. Lubisz przecież swoją pracę. Wolisz leczyć zwierzęta niż ludzi. Tak przynajmniej powiedziałaś. Uznała jednak, że nie będzie mu przypominać jego własnych słów. Zresztą nie to ją w tym momencie najbardziej interesowało.

– Dlaczego tak mało o sobie mówisz? – nie wytrzymała. – Tak jak mama. Oboje nabieracie wody w usta, gdy próbuję się czegoś od was dowiedzieć.

– A co to znowu za bzdury?! – zirytował się, choć próbował zamaskować to żartem. – Znasz nas od urodzenia.

– Ale nie wiem, co było wcześniej – odbiła piłeczkę.

– Wojna – odparł ponuro. – Dziwisz się, że nie lubię jej wspominać? Moje pokolenie zbyt wiele wtedy straciło. Zresztą nie tylko moje pokolenie...

Ale inni nie unikają tego tematu, wręcz przeciwnie, chciała zaprotestować, jednak i tym razem sobie darowała.

Milczą przeważnie ci, którzy mają coś do ukrycia... Na miły Bóg, gdzie usłyszała te słowa? A może przeczytała? Jakkolwiek było, poczuła się nieswojo.

– Dlaczego pokłóciliście się z ciocią? – spytała cicho.

Pytanie go zaskoczyło – natychmiast to spostrzegła. A zarazem spochmurniał jeszcze bardziej.

– Nie pokłóciliśmy się. Co ci przyszło do głowy? – Ostatnie pytanie zadał takim tonem, jakby nie oczekiwał odpowiedzi.

Mimo to Weronika nie zamierzała ustąpić.

– Wyjechała tak nagle...

– Zawrócił jej w głowie ten makaroniarz i tylko to się dla niej liczyło – odparł z nieskrywaną goryczą. – O tym także ci już mówiłem. Na litość boską, nie mam ochoty powtarzać się w nieskończoność.

– Tak, mówiłeś o tym, zgadza się. – Skinęła głową. – Ale czy to musiało oznaczać ostateczne zerwanie? Przecież była twoją jedyną siostrą.

– To była jej decyzja. – Reczyński przyspieszył kroku. – O tym także wam mówiłem. Tobie i twojemu bratu. Więc po co znowu drążycie tamtą sprawę?

– Ale dlaczego? Dlaczego miałyby podjąć taką decyzję? I dlaczego się z tym pogodziłeś?

– To były sprawy między nami. Nie dotyczą one ani ciebie, ani twojego brata. Możesz mu to powtórzyć.

– Tato... – Z trudem za nim nadążała. – Nie dogonię cię. Chcesz przede mną uciec?

Wcale nie żartowała, a Reczyński tak właśnie zrozumiał jej słowa. Zatrzymał się i popatrzył na córkę jak na jakiegoś interesanta. Mimowolnie poczuła, że serce się jej ścisnęło.

– Powtórzę, ale już po raz ostatni. Tak postanowiła Wanda. Nic więcej nie mam tu do dodania. Koniec. Kropka.

Znowu ruszył przed siebie, nie oglądając się już na córkę.

Rozdział 11

Na widok idącego drogą męża Izabella Reczyńska od razu nabrała nie najlepszych przeczuć. Przywykła do jego zamaszystego, energicznego kroku, od lat nie widziała, aby chodził wolno, szkoda mu było czasu na spacer i kontemplowanie przyrody – chyba że w towarzystwie córki. Dla Weroniki zawsze robił wyjątek, na dobrą sprawę nie tylko w kwestii beztroskich przechadzek, na które zazwyczaj – jak mawiał – nie miał czasu. Dla Weroniki czas miał zawsze, a przynajmniej żona nie pamiętała, aby kiedykolwiek było inaczej. Reszta rodziny nie cieszyła się takimi względami. Oskar przyjął to zresztą bez zastrzeżeń, a przynajmniej nie sprawiał wrażenia, by rezerwa, z jaką był traktowany, w jakiś szczególny sposób go dotykała. Już dawno nauczył się odpowiadać tym samym. W pewnym sensie od dziecka chodził własnymi drogami, wyprowadził się z domu tak wcześnie, jak to było możliwe, choć jeszcze zanim to się stało, jako uczeń szkoły średniej konsekwentnie rozluźniał swoje więzy z rodzinnym domem. Bolało ją to, ale czuła się bezradna. Samej siebie oszukiwać nie musiała i nie mogła – jedyne, co jej w owej sytuacji pozostało, to bez protestu przyjmować do wiadomości smutną prawdę, że jej mąż i syn najprawdopodobniej nigdy już nie będą sobie bliscy. Czasami dopadało ją pragnienie, aby postąpić jak syn. Rozluźnić więzy z tym domem, z życiem, jakie tu prowadziła. Lubiła Jaktorowo, spędziła tu

przecież tyle lat, lecz bywały takie dni, że się dusiła, a wtedy z trudem się powstrzymywała, by nie zacząć krzyczeć wniebogłosy. Piękno otoczenia i życzliwość ludzi mieszkających w tej okolicy nie mogły wypełnić pustki w jej sercu. Nie mogły też temu sprostać dzieci. Mogła próbować sobie wmawiać, że obojętność męża niewiele ją obchodzi (i wmawiała to sobie od lat), mogła też udawać wobec wszystkich dookoła, że czuje się szczęśliwa – ale przecież nie mogła oszukiwać bez końca samej siebie. Prawda była nieubłagalna. W oczach męża znaczyła mniej więcej tyle, co sprzęty w ich domu, czy raczej w jego domu – jak jej kiedyś rzucił w twarz. Tak właśnie ją postrzegał – jak jeszcze jeden sprzęt, w dodatku z gatunku tych, które często zawadzają, ale których z różnych praktycznych powodów się nie wyrzuca. Ileż to razy marzyła, aby skończyć z tą farsą i po prostu odejść! Miała przecież swoją dumę. Jednak nigdy się na to nie zdobyła. Życie rządzi się innymi prawami niż historie opowiedziane w powieściach i filmach. Iza Reczyńska wiedziała, że w jej przypadku to już było niemożliwe. Nie mogła odejść i zaczynać wszystkiego od nowa. Nie była już tamtą odważną dziewczyną sprzed wielu lat, która tak dobrze radziła sobie w życiu sama. Czasem, gdy wspominała swoją młodość, wierzyć jej się nie chciało, że owa samodzielna, zuchwała dziewczyna istniała naprawdę. A przede wszystkim, że to ona nią była. Wszystko to, co nastąpiło później, zmieniło ją niemal nie do poznania. Ale w gruncie rzeczy jedno pozostawało niezmiennie – towarzysząca jej samotność. Niezależnie od ludzi, którzy przewinęli się przez różne etapy jej życia, samotność nigdy jej nie opuszczała. Czasami wprawdzie pozwalała o sobie zapomnieć, potem jednak zawsze wracała czy też wychodziła z ukrycia.

Tak właśnie było, gdy po śmierci rodziców została wzięta na wychowanie przez wujostwo, czyli ciotecznego brata matki i jego żonę. Po latach dowiedziała się, że nie znalazła się w sierocińcu tylko przez wzgląd

na spadek, jaki zapisał jej ojciec. Nie były to jakieś wielkie sumy, niemniej okazały się wystarczającym argumentem, by wujostwo wzięli ją do swojego domu. Gdy jednak już jako pełnoletnia panna postanowiła ich opuścić i spróbować samodzielnego życia, okazało się, że z zapisanych jej pieniędzy nic nie zostało. To znaczy prawie nic. Wuj, typowy pantoflarz, nawet nie próbował wytłumaczyć tego faktu. Zresztą nie musiał, bo wszelkie wyjaśnienia wzięła na siebie jego żona. Uczyniła to zresztą w swoim bardzo specyficznym stylu, czyli podniesionym, gniewnym, nieznoszącym sprzeciwu tonem.

– A co ty sobie myślisz, że wyżywienie cię, ubranie i szkoła nic nas nie kosztowały? – wyliczała. – Miałam od ust własnym dzieciom odbierać? Nie bój się, pieniądze twojego ojca poszły tylko na ciebie, moje dziewczynki nic a nic na nich nie skorzystały! – dodała takim tonem, jakby fakt ten szczególnie ją uraził.

Iza nie miała pojęcia, w jaki sposób mogłaby dochodzić, co faktycznie stało się z jej spadkiem. Może było tak, jak twierdziła ciotka, a może nie. Tak czy inaczej, sprawa nie do udowodnienia, przynajmniej dla niej. Zresztą nie chciała się kłócić, przede wszystkim pragnęła opuścić dom, w którym nie zaznała nawet odrobiny miłości – ani od wujostwa, ani od kuzynek, kubek w kubek podobnych do matki, a z pewnością jeszcze bardziej złośliwych. Oczywiście podejrzewała, że z pieniędzy jej ojca także i one się „pożywiły”, z początkiem każdego sezonu matka sprawiała im nową garderobę, a przecież wuj, jako dość skromny urzędnik, aż tyle nie zarabiał. W gruncie rzeczy jednak Iza wiedziała, co najbardziej ciotkę ubodło. Bynajmniej nie chodziło o jedzenie i konieczność zaspokojenia innych materialnych potrzeb nielubianej wychowanki, bo sprawiając garderobę córkom, nie mogła rzecz jasna pominąć Izy. Ludzkich języków bała się bowiem bardziej niż kary bożej. Najbardziej ubodło ją, że musiała

posłać Izę do dobrej szkoły, nie zaś do pierwszego lepszego powszechniaka, a potem także do gimnazjum i liceum. Ojciec dziewczyny wyraźnie zaznaczył to w specjalnym kodycyłu w testamencie. Chciał, aby córka zdobyła porządne wykształcenie, a jeśli okaże się wystarczająco zdolna, aby poszerzała wiedzę i umiejętności na wyższej uczelni. Ten zapis był obwarowany dodatkowymi zabezpieczeniami – ciotka nie mogła go po prostu zignorować. Co – jak się Iza domyślała – doprowadzało ją do białej gorączki. Nie zmieniało to jednak faktu, że to, co zostało ze spadku, w żadnym wypadku nie mogło pokryć wydatków związanych ze studiami.

– Nic na to nie poradzę – sarkała ciotka. – Widocznie twój ojciec się z tym przeliczył. Co ty sobie myślałaś?! Takie szkoły nie są za darmo. Moje dziewczynki musiały się zadowolić roczną szkołą gospodarstwa domowego, nawet do gimnazjum nie poszły. A tu takie fanaberie z tym twoim liceum. Skaranie boskie. Ciesz się, że w ogóle cokolwiek z tych pieniędzy zostało. Zamiast robić nam teraz pretensje, powinnaś być wdzięczna, żeś w sierocińcu nie skończyła. Tam byś sobie o dobrych szkołach mogła tylko pomarzyć.

Iza darowała sobie tłumaczenie ciotce, że nie robiła jej przecież wyrzutów (choć w gruncie rzeczy miała do tego prawo), a jedynie zapytała o pieniądze, które zostawił jej ojciec. Nie odgryzła się też prostym stwierdzeniem prawdy, że kuzynki nie miały zdolności, by kontynuować naukę w gimnazjum, o szkole średniej nie wspominając, i to cud, że jakoś przebrnęły przez te roczne kursy gospodarstwa domowego, bo również tam nauczycielki narzekały na ich złośliwość, tępotę i lenistwo. Zabrała te resztki, które jej zostały ze spadku, po czym wyprowadziła się najdalej, jak się tylko dało, obiecując sobie, że jej noga nie postanie więcej w domu wujostwa. Przez kolejne lata nawet się o nich nie dowiadywała. Do dziś nie wiedziała, jak przeżyli wojnę i czy w ogóle ją przeżyli. Zaprzeczyć jednak

nie mogła, że to właśnie lata spędzone w tamtej rodzinie (starła się unikać określenia „w mojej rodzinie”) ukształtowały jej charakter na resztę życia. Sprawily, że stała się osobą skrytą, małomówną, introwertyczną, która najlepiej czuła się w swoim własnym towarzystwie i niełatwo nawiązywała nowe kontakty. Pokochała za to zwierzęta; ich przywiązanie było bezinteresowne, a ewentualna wrogość czy nawet agresja – jak najbardziej zrozumiałe i na ogół przewidywalne, przez co łatwiej było ich unikać. W każdym razie łatwiej, niż to miało miejsce w przypadku agresji ze strony ludzi. Tak czy inaczej, żadne zwierzę nie mogło zranić boleśniej niż drugi człowiek – co do tego nie miała wątpliwości. Dlatego krótko się wahała: medycyna czy weterynaria. Z puli tych najważniejszych życiowych wyborów tego nie żałowała nigdy. Z innymi – cóż, bywało różnie.

Od początku wiedziała, że nie cieszy się sympatią rodziny swojego męża, zarówno bliższych, jak i dalszych krewnych. I wcale nie chodziło o to, że była niezamożną panną znikąd, że nie miała krewnych, z którymi utrzymywałyby jakiegokolwiek stosunki, przez co sprawiała wrażenie, jakby w ogóle była pozbawiona korzeni. To z pewnością nie były kwestie bez znaczenia, niemniej nie najważniejsze. Istotą problemu była właśnie jej osobowość, przynajmniej pozornie pozbawiona jakiegokolwiek wdzięku. W ich oczach była po prostu nijaką szarą myszką. Wprawdzie nikt nie dał jej tego do zrozumienia w sposób tak ostentacyjny jak Wanda, niemniej z łatwością sobie wyobrażała, jak ją postrzegali. Jak musieli się dziwić Jankowi, że upodobał sobie taką nieciekawą dziewczynę.

Potrząsnęła głową, jakby w ten sposób chciała odwrócić się od tamtych najdawniejszych wspomnień, i ponownie zasłoniła oczy okularami przeciwsłonecznymi. Kiedyś, raz jeden, była już zdecydowana odejść od Jana. Dawno temu, jeszcze podczas okupacji. Ostatecznie nic z tego nie wyszło, ale ona wciąż, mimo upływu lat, pielęgnowała to wspomnienie

i niegasnące emocje, które ono wywoływało. Choć równocześnie wiedziała, że musi je zachować dla siebie. Nie mogło być mowy o żadnej spowiedzi czy zadośćuczynieniu. Pokutę sama sobie wyznaczyła.

Spostrzegłszy, że mąż znalazł się już w ogrodzie, podniosła się z leżaka.

– Dlaczego wracasz sam? Gdzie Weronika? – spytała, ale choć starała się, by nie usłyszał niepokoju w jej głosie, nie do końca jej się to udało.

– Spaceruje – mruknął. Z pewnością nie był już w tak dobrym humorze jak czterdzieści minut temu, gdy wychodził razem z córką na przechadzkę.

Na ogół, gdy odpowiadał jej takim tonem – a bynajmniej nie zdarzało się to rzadko – kuliła się w sobie i natychmiast wycofywała. Tym razem również, w pierwszym odruchu, tak właśnie chciała postąpić. Niepokój jednak zwyciężył. I to nieokreślone, niedobre przeczucie, które nękało ją od pewnego czasu. Dlatego się przemogła i nie pozwoliła, by odszedł.

– Posprzeczaliście się o coś? – Już taka myśl wydawała się absurdalna, ale przecież wciąż zdarzają się na świecie rzeczy, które wcześniej wydawały się niemożliwe.

Nie odpowiedział, w milczeniu przeszedł przez taras i skierował się do domu. Zatrzymała go, gdy właśnie przekraczał próg oddzielający taras od salonu.

– Poszło o Jarka? Wydaje mi się, że mógłbyś w końcu dać temu spokój. Jak by na to nie patrzeć, Weronika kiedyś go kochała, a dzieci... – Bóg jeden wiedział, ile odwagi i samozaparcia kosztowały ją te słowa, ale Jan i tak nie pozwolił jej dokończyć.

– Nie, do jasnej cholery, nie rozmawialiśmy o tym pięknoduchu. I ty, z łaski swojej, nie zaczynaj lamentów.

Zabolą ją ta niesprawiedliwość. Przecież w sprawie małżeństwa córki stała zawsze lojalnie po stronie męża. Nawet jeśli czasem miewała

wątpliwości. Nawet jeśli nie wyrażała swojego zdania tak dosadnie jak on... Właściwie nigdy go nie wyrażała.

– Nie zaczynam lamentów – odparła z goryczą – ale mam chyba prawo do niepokoju.

– O tak, to na pewno – rzucił z lodowatą ironią. – Zwłaszcza że twoja córka pytała o Wandę.

– O Wandę? – powtórzyła i tym razem naprawdę skuliła się w sobie. Bo te słowa zabrzmiały jak świst bicia nad grzbietem i tak właśnie zaboląły. Niemniej wyjaśniały przyczynę złego przeczucia i niepewności, które nie opuszczały jej od rozmowy z córką w gabinecie weterynaryjnym. Rozmowy, która ją zaskoczyła i wytrąciła z równowagi. Tym razem jednak dodatkowo poczuła gniew. – To wina Oskara. To jego robota. Weronika bardzo łatwo ulega wpływom innych ludzi, a Oskar...

– Krytykujesz swojego kochanego synka? To coś nowego – zakpił.

W jego spojrzeniu były chłód, niechęć, być może także smutek. Tym razem na pewno nie obojętność, do której przecież przyzwyczał ją już dawno.

Ruszyła za nim do wnętrza domu.

– Wandy już nie ma. Nie wróci ani ona, ani... – chciała zawołać, ale z przerażeniem usłyszała, że zamiast krzyku wydała z siebie żalony skrzek.

Otworzył barek, sięgnął po jedną z butelek. Na słowa żony wzruszył ramionami.

– Od dawna wiedziałem, że pewnego dnia Weronika i Oskar zaczną pytać – odparł.

Rezygnacja, pogodzenie się z nieuniknionym, które usłyszała w jego głosie, bardziej ją przeraziło niż największa furia i gniew.

Wycofała się na taras, ale nie usiadła już na leżaku. Przeciwnie, zeszła po schodkach i zatrzymała się na ogrodowej alejce, w pełnym słońcu, choć przecież nie znosiła upału i na ogół chroniła się przed nim. Tym razem nie zważała na palące słońce ani na gorące, przesycone ciężką wilgocią powietrze. Osłoniła oczy i wyteżyła wzrok, wypatrując córki. W pewnym momencie odniosła nawet wrażenie, że ją widzi. Daleko, na horyzoncie. I w tym samym momencie niemal zlodowaciała... Mimo aury i temperatury. Postacią, którą wypatrzyła, nie była Weronika. Ale wcale się nie przybliżała, wręcz przeciwnie, a mimo to, wbrew wszelkiej logice, była coraz bardziej wyraźna. I jak najbardziej rozpoznawalna.

– Wanda – wyrwało się Reczyńskiej i ponownie zadrżała, bo zaraz nawiedziło ją kolejne irracjonalne wrażenie – że czas cofnął się o kilka dziesięcioleci.

Który to był rok? Czterdziesty drugi, może trzeci? Druga połowa czterdziestego drugiego. Była wtedy w ciąży, za kilka miesięcy miała się urodzić Weronika. Przypomniała sobie, jak podczas tamtej rozmowy obejmowała niemal obronnym gestem swój wypukły już brzuch. Powiedziała Wandzie, że chłopak, z którym tamta się spotykała, zachowuje się w bardzo podejrzany sposób. W każdym razie coś jest z nim nie tak – dosłownie tak to zabrzmiało. Pewnie nie powinna była tego mówić i na ogół unikała jakichkolwiek spięć z ukochaną siostrą Jana, ale tym razem nie posłuchała głosu rozsądku. Tym razem to emocje wzięły górę, co niestety miało przynieść bardzo smutne konsekwencje.

W odpowiedzi Wanda rzuciła jej niechętne spojrzenie – co akurat nie było niczym nowym – i zareagowała tak, jak zresztą należało się tego spodziewać.

– To nie twoja sprawa, trzymaj się ode mnie z daleka – burknęła. I zanim Iza wymamrotała jakiegokolwiek wytłumaczenie, cokolwiek, by załagodzić sytuację, tamta zaraz dorzuciła kolejny kamień do ogródka: – Ty też mi się nie spodobałaś, i to od pierwszej chwili, gdy cię poznałam. Nie zmieniałam zdania, ale to przecież bez znaczenia. Musiałam przyjąć do wiadomości, że mój brat wybrał właśnie ciebie, więc i ty się nie wtrącaj w moje sprawy.

– Nie zamierzam. Wybacz, nie chciałam cię urazić – pokajała się natychmiast Iza. Była bliska płaczu, nie chciała tej kłótni. I bez tego problemów nie brakowało. – Tak mi tylko przyszło do głowy, ale... Nie musisz się tym aż tak przejmować.

– Nie zamierzam – odparła oschle Wanda i przez kilka następnych tygodni nie odezwała się do bratowej ani słowem.

Następnym razem raczej odgryzę sobie język, niż udzielę jakiegokolwiek rady tej smarkuli – poprzysięgła sobie Iza. W każdym razie, wierna temu postanowieniu, milczała, gdy kilka lat po wojnie szwagierka oznajmiła im, że wychodzi za Paola Bellodiego. Milczała, choć podzielała wszystkie obiekcje i głęboką niechęć męża wobec pomysłu jego siostry. Żałowała za to z całej duszy, że w przeszłości dała się ponieść emocjom.

Teraz, gdy wpatrywała się w pustą łąkę i falujące w oddali zboże, ponownie pozwoliła sobie na spostrzeżenie, że pod pewnymi względami Weronika przypominała swoją ciotkę. Prezentowały ten sam typ urody: obie wysokie, smukłe brunetki o ciemnych, wyrazistych oczach. Obie niewątpliwie atrakcyjne i zwracające na siebie uwagę chłopców, a potem mężczyzn. Miały jednak zupełnie inne typy osobowości. Obdarzona bujnym temperamentem, zuchwała i krnąbrna Wanda stanowiła zupełne przeciwieństwo nieśmiałej, bojaźliwej, często bardzo niezdecydowanej Weroniki. Choć z drugiej strony Weronika także potrafiła pokazać pazur.

Na przykład wtedy, gdy sprzeciwiła się ich obiekcjom co do Jarka i sprawiła, że musieli zgodzić się na to małżeństwo. I niezależnie od tego, czym się to później skończyło, dopięła przecież swego. Jaka była wówczas podobna do Wandy! Izę przechodziły dreszcze na całym ciele, ile razy przypomniawszy sobie tamte przepychanki z córką. I choć nigdy nawet słowem nie podzieliła się tymi myślami z mężem, była więcej niż pewna, że i on to spostrzegł. Tu pewnie tkwiła przyczyna jego wielkiego przywiązania do córki. Nie jedyna, może nie najważniejsza, ale jednak bardzo istotna.

Dowiodła, że potrafi być nie mniej uparta niż Wanda, dumiała posępnie Iza, a teraz zainteresowała się sprawami, o których nie powinna wiedzieć. Które przecież po śmierci Wandy miały, tak jak ona, zostać raz na zawsze pogrzebane.

Choć na błękitnym niebie aż po horyzont nie było widać najmniejszej chmurki, Reczyńska odniosła wrażenie, jakby wokół zapanował mrok.

Rozdział 12

Reczyński odetchnął z ulgą, gdy wreszcie znalazł się w swoim gabinecie. Dzięki Bogu, że miał tu swój azyl, do którego żona nigdy nie wchodziła. Już dawno dał jej do zrozumienia, że sobie tego nie życzy, a ona bez gadania przyjęła to do wiadomości. Nie dyskutowała, nie lamentowała, przynajmniej tyle.

Czasami naprawdę mu się wydawało, że nie zniesie ani dnia dłużej, ba, ani jednej dodatkowej godziny pod jednym dachem z tą kobietą. A przecież, do cholery, powinien już do niej przywyknąć. Przyzwyczać się do myśli, że dopiero śmierć ich rozdzieli, innego wyjścia przecież oboje nie mieli. Reczyński żywił jeszcze tylko nadzieję, że nie złamie go przedwcześnie jakaś choroba, bo nie zniósłby, aby to właśnie Izabella pielęgnowała go na łóżu boleści. Tak samo nie uśmiechała mu się myśl, że jeśli oboje dożyją sędziwego wieku, tym bardziej będą na siebie skazani – siłą rzeczy jedno będzie musiało polegać na wsparciu i pomocy drugiego. W zdrowiu i chorobie, w dobrej i złej doli, aż do końca życia. Jakby i bez tego nie miał w życiu pod górkę, i to niemal od samego początku.

Kiedy szesnastoletnia jeszcze Wandzia wyraziła swoją dezaprobatę wobec Izy, zareagował szczerym oburzeniem. Oczywiście nie podniósł głosu na siostrę, w tamtych czasach nigdy tego nie robił i nawet sobie nie wyobrażał, by kiedykolwiek miało się to zmienić, ale i bez tego dał odczuć

dziewczynie, jak bardzo go uraziła. I chyba rzeczywiście miała tę świadomość, bo nie podjęła z nim żadnej dyskusji, do czego przecież była zawsze skora, zresztą na ogół go to bawiło i dlatego czasem ją prowokował. Jednak nie tym razem. Tym razem głosem nieznoszącym sprzeciwu po prostu oświadczył, że Izabella mu się podoba. Nie dlatego, że wyróżniała się urodą na tle innych, znanych mu dziewcząt – bo z pewnością tak nie było – lecz dlatego, że pod wieloma względami bardzo mu imponowała. Wtedy, w tamtych szczęśliwych czasach, była jedyną dziewczyną, przy której się nie nudził. Była samodzielna, czytana, miała sprecyzowane zainteresowania i wiedziała, czego chce od życia. Śmiało wypowiadała swoje zdanie i wyrażała poglądy, z którymi niekoniecznie się zgadzał, ale dzięki którym intrygowała go coraz bardziej.

– To fascynacja, nic więcej – powiedział mu wtedy ojciec, jak najbardziej podzielający sceptycyzm Wandy. I jeszcze dodał, że wie, co mówi, bo niejedno w życiu widział.

Słowa te uraziły jego syna do żywego.

– Na twoim miejscu nie powoływałbym się na własne doświadczenie – rzucił ojcu w twarz. – Choć oczywiście wiem, że jesteś w tym prawdziwym ekspertem.

Usłyszawszy to, doktor poczerwieniał i wyszedł. Macochy szczęśliwie przy tej rozmowie nie było, ona jedna zresztą nie wypowiadała swojego zdania. Wiedziała, że miała najmarniejszą kartę przetargową.

Wracając do tamtego wspomnienia, Reczyński westchnął głucho. Teraz, z perspektywy lat, był skłonny przyznać staremu rację. I miał nadzieję, że jeśli po tamtej stronie naprawdę istnieje życie wieczne, ojciec słyszy jego myśli. Choć oczywiście niezbyt go to pocieszało.

Usiadł w bujanym fotelu, jednym z niewielu sprzętów, które zdołał ocalić po stracie Bożanowa; jego matka także lubiła w nim siadać, gdy

czytała lub wyszywała. Gdy nie miał akurat innego zajęcia albo odpoczywał po zabawie, siadał obok, na podłodze, kładł głowę na jej kolanach, a kiedy głaskała go po włosach, czuł się szczęśliwy i bezpieczny jak rzadko. Nawet teraz, po wielu latach, gdy tylko przytulał głowę do oparcia fotela i przymykał oczy, niemal fizycznie odczuwał obecność matki, zapach jej perfum.

Otworzył oczy i sięgnął po album ze zdjęciami – ten sam, który kilka tygodni temu pokazał córce – a następnie raz jeszcze popatrzył na fotografię Konstancji Reczyńskiej. Uśmiechnął się do matki, po czym przerzucił kilka stron. A oto i Wanda. Ile miała wtedy lat? Fotografie były z tyłu podpisane przez ojca, ale próbował najpierw zgadnąć. Jedenaście, może dwanaście... Na pewno nie więcej. Potem za nic w świecie nie chciała nosić takich płaszczków i beretów, jak na tym zdjęciu. Dąsała się, że nie jest już małym brzdącem, a jej dąsy na ogół przynosiły skutek. Podobna była do ojca, zresztą on także. Nikt, kto na nich patrzył, nie miał cienia wątpliwości, że byli rodzeństwem. O, a tutaj są razem. On w czapce gimnazjalisty, ona znowu w tym znienawidzonym berecie. Zdjęcie nie było upozowane, ktoś (zapewne ojciec, a może macocha) uchwycił ich, gdy oboje tańczyli w jakichś dzikich podskokach na parkowej alejce. Kolejna fotografia została wykonana w sierpniu trzydziestego dziewiątego – odgadł to bez trudu. Ostatnie przed wojną wakacje nad Bałtykiem. Ojciec, macocha i Wandzia w strojach plażowych. Jego tam nie było; nie chciał z nimi wyjechać, obrażony, że z takim dystansem potraktowali Izę. Nie powiedział im tego wprost, wyłgał się wyprawą w góry z grupą przyjaciół, a ojciec najwyraźniej machnął na to ręką, nie chciał eskalować konfliktu. Zresztą niewykluczone, że ktoś (żona?) wytłumaczył mu, aby dał spokój takiej błahostce. Wielkie rzeczy: ta czy inna panna! Nie pierwsza i zapewne nie ostatnia. Normalne, jak to u młodych. Wtrącanie się w takie sprawy

może tylko spotęgować upór chłopaka. Choć niewykluczone, że ojciec w końcu sam doszedł do takiego wniosku. I w rezultacie wszyscy się przeliczyli.

Skrzywił się na widok ślubnej fotografii. Czerwiec czterdziestego pierwszego, kilka dni po ataku Niemiec na Sowiety – także nie musiał sprawdzać daty, czym prędzej zresztą przewrócił stronę. I natychmiast poczuł ciarki na całym ciele. Jak zawsze, ilekroć patrzył na to jedno jedyne, wklejone tam zdjęcie. Między innymi dlatego tak rzadko tu zaglądał.

Z czarno-białej, lecz bardzo wyraźnej fotografii patrzył na niego młody chłopak. Po raz kolejny Reczyński doznawał niemal namacalnego wrażenia, jakby widział przed sobą człowieka z krwi i kości, który zaraz zagada, a przynajmniej zawoła to swoje: „Cześć, stary, to gdzie dziś poszalejemy?”. Jak ten tutaj... I to zuchowate spojrzenie, łobuzerski uśmiech, który roztopiał serca kobiet. Wszystkich, bez wyjątku... A przynajmniej tych, które obaj znali.

Zdjęcie miało ślady zagnieień, potem najwyraźniej starannie naprawianych i wygładzanych. Reczyński doskonale pamiętał, jaka była tego przyczyna. Przed laty próbował zniszczyć tę fotografię, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Potem miało to jeszcze miejsce kilka razy, ostatecznie zawsze rezygnował z tego zamiaru. I także wiedział dlaczego.

Nie mógł wyrzucić tego zdjęcia, po prostu nie potrafił go porwać na strzępy i umieścić w koszu albo w piecu. Niemniej trzymanie go w albumie było trochę ryzykowne. Ale... gdzie miałyby je schować? Wetknąć w jedną z tych starych książek, do których z pewnością już nie zajrzy ani on, ani nikt inny, lecz się ich nie pozbywał, bo to ocalałe z wojny pamiątki rodzinne? A może z tyłu, za obrazem, jak podobno czyniła, wedle opowieści ojca, jedna z prababek?

Gdy tylko uświadomił sobie groteskowość swoich zamierzeń, niemal roześmiał się na całe gardło. Dlaczego miałyby chować to zdjęcie? Dowiódłby tym samym, że odziedziczył mentalność owej prababki lub, co gorsza, niewiele się różnił od pierwszej lepszej smarkuli, która w ten sposób ukrywa swoje wątpliwe sekrety przed rodziną. Nie będzie niczego chował. Dopiero odkrycie takiego schowka mogłoby zaintrygować ewentualnego znalazcę. Zresztą prawdopodobieństwo, by ktokolwiek oprócz niego miał grzebać w szafie w poszukiwaniu starego albumu, było praktycznie równe zeru. Gdyby jednak jakimś nadzwyczajnym przypadkiem tak się stało i ktoś zainteresował się tym akurat zdjęciem, można przecież odpowiedzieć cokolwiek, bez wdawania się w rozwlekłe opowieści. Tego akurat nikt już nie sprawdzi.

Jedynie Izabella знаła prawdę. Lecz ona nie wchodziła do tego pokoju, a o grzebaniu w szafie nie mogło być z jej strony nawet mowy. A zresztą, gdyby nawet jakimś sposobem Izabella dotarła do tej fotografii, to co? Co mogłaby zrobić? Zacisnąć zęby... i milczeć. Tak jak do tej pory. I to pewnie było najbardziej logiczne wytłumaczenie zagadki, dlaczego przed laty nie zdecydował się pozbyć tej pamiątki.

Tak jak nie pozbył się pamięci o zmarłym tragicznie koledze.

Rozdział 13

Słyszając gwar za zamkniętymi drzwiami, Oskar mimowolnie uśmiechnął się do siebie. Przez moment tylko nadśłuchiwał, ale ostrożne skrzypnięcie podłogi w sąsiednim mieszkaniu uzmysłowiło mu, że nie może tak stać bez końca. Ani chybi starsza pani z lokalu naprzeciwko znowu skradała się, aby podejrzeć, co się dzieje na korytarzu. Podobno bała się złoczyńców, a osiedlowe plotki i ponure komunikaty radiowo-telewizyjne, tudzież popularne seriale kryminalne, skutecznie ją w tym strachu utwierdzały. Poza tym co miała biedna robić całymi dniami? Zdaniem Oskara staruszka szczególnie jednak interesowała się prywatnym życiem swego rozwiedzionego sąsiada, zwłaszcza wtedy, gdy odwiedzały go jego dzieci. A także – rzecz jasna – kobiety. Mężczyźni zresztą także – obaj z Jarkiem żartowali, że i w tej kwestii snuła różne domysły – przy czym z sobie znanych powodów najbardziej intrygowały ją wizyty Oskara. Brata byłej żony sąsiada! I nawet nie kryła się z tym szpiegowaniem. Także teraz, zanim Oskar sięgnął wreszcie ręką do dzwonka, drzwi za jego plecami się otworzyły i stanęła w nich starsza pani. Ubrana do wyjścia – mimo wszystko dbała o zachowanie pozorów.

– Pan Piontkowski jest w domu, może nie usłyszał dzwonka – zasugerowała uprzejmie, gdy tylko się z nią przywitał. – Dzieci są u niego,

a wiadomo, chłopcy to chłopcy. Robią dużo hałasu, a on nie ma serca ich dyscyplinować. W jego sytuacji to nawet zrozumiałe...

– Dziękuję pani. – Oskar stłumił głośne parsknięcie i nacisnął dzwonek.

Staruszka nie spieszyła się z zamknięciem drzwi, ewidentnie udając, że szuka klucza. Na widok Jarka, któremu na plecach siedział Piotruś, uśmiechnęła się półgębkiem, ale z godnością odpowiedziała na powitanie.

– Taka sąsiadka to prawdziwy dar. I bat na złodziei – zagaił Oskar, wchodząc do środka.

Natychmiast na szyi zawisnął mu Michałek.

– Na pewno cenne źródło informacji dla każdego – zakpił Jarek. – Zjesz z nami? Akurat zrobiłem obiad.

– Nie pogardzę.

– Siadaj. Chłopaki, jeszcze nie nakryliście do stołu? Co z wami? – Z ostatnimi pytaniami Jarek zwrócił się do dzieci, które natychmiast podchwyciły komendę i pobiegły do kuchni po talerze i sztućce.

Wchodząc do małego mieszkania szwagra, Oskar wciąż mimowolnie rozglądał się za siostrą. Nic nie mógł na to poradzić, ale w jego przekonaniu Weronika pasowała do tego miejsca bardziej niż do znacznie większego i wygodniejszego mieszkania na Bielanach, do którego wprowadziła się po rozwodzie. Wprawdzie tu i tam wydawała się tak samo niepewna siebie, nieorganizowana, chaotyczna czy też zwyczajnie zagubiona, niemniej tutaj, w tej ciasnej klitce na Saskiej Kępie, nie było to, przynajmniej w jego przekonaniu, tak irytujące, a nawet niekiedy sprawiało zabawne wrażenie. Oczywiście pamiętał ten nieustanny bałagan, nad którym siostra kompletnie nie panowała, te niepozmywane gary i talerze dodatkowo zagracające i tak niefunkcjonalną, mikroskopijną, a do tego ciemną kuchnię. Dziecięce ciuszki walające się po łózkach i stołach w dwóch pokojach, z których jeden niewiele był większy od drugiego. Pranie wyjęte z frani i czekające

w wannie, aż ktoś je wreszcie wykręci i rozwiesi, bo Weronika nigdy nie nauczyła się zrobić tego przy zastosowaniu korby w pralce. Pamiętał też Weronikę wiecznie potarganą, nierzadko ubraną w poplamione różnymi zupkami ciuchy, i pamiętał swój podziw dla szwagra, który znosił to wszystko z niesłabnącym humorem. W każdym razie on, Oskar miał pełną świadomość, że jego nie byłoby stać na tyle tolerancji. Wiedział też, jak reagowali na takie sytuacje jego kumple z pracy. Nieraz słyszał ich opowieści o domowym horrorze, spowodowanym przez wiecznie jęczącą, zrzedzającą, a już na pewno rozmemłaną małżonkę i ustawicznie wrzeszczące dzieciaki. Nie spieszyli się po pracy do swoich rodzin – to także bez trudu dawało się zauważyć. Chętnie zostawali po godzinach w biurze, tudzież udzielali sobie nawzajem, w ramach męskiej solidarności, alibi, gdy chcieli zabawić się potem na mieście.

Podobne zachowania nigdy nie dotyczyły Jarka. Swoje zajęcia na uczelni organizował w taki sposób, by nie przeciągały się każdego dnia od rana do ciemnej nocy. Okienka wykorzystywał nie na kawę i z pewnością pasjonujące dyskusje z innymi pracownikami naukowymi, lecz na przygotowanie się do ćwiczeń, wykładów i seminariów. Warunków do pracy naukowej w domu nie miał żadnych, ale nawet słowem się na to nie poskarżył.

– To przecież normalne – powiedział kiedyś. – Przy małych dzieciach nie da się tego uniknąć.

Chłopakami zajmował się od początku z nieskrywaną radością i zaangażowaniem, nawet wiecznie krytykujący go teść nie mógł temu zaprzeczyć. Panujący w domu bałagan albo faktycznie mu nie przeszkadzał, albo Jarek tak dobrze udawał, że go ignoruje. I choć musiałyby być ślepy, by nie dostrzec, że jego ukochana niemal w niczym już nie przypomina tamtej romantycznej dziewczyny, o którą niegdyś tak wytrwale zabiegał, to jednak

zachowywał się tak, jakby zmiany w jej wyglądzie i zachowaniu nie miały dla niego znaczenia. Traktował je jako coś, co nie będzie przecież trwać wiecznie. „Jest zmęczona, to wszystko” – mówił, patrząc z czułością na żonę. Choć potem musiało go pewnie boleć, gdy dostrzegł, że zaczęła się od niego oddalać, a nawet odtrącać, gdy próbował ją przytulić, pocałować, wziąć za rękę. Oskar kiedyś nie wytrzymał i w poufnej rozmowie dał siostrze do zrozumienia, co myśli o jej zachowaniu, ale w odpowiedzi popatrzyła tylko spoде łba i wzruszyła ramionami. Miało to oznaczać, aby dał jej spokój i się nie wtrącał, do czego zresztą się zastosował, mając nadzieję, że Weronika w końcu się opamięta i ogarnie, a Jarek do tego czasu nie straci cierpliwości. Mimo wszystko nie przypuszczał jednak, aby małżeństwo siostry miało się skończyć katastrofą. Codzienne problemy, z jakimi przyszło jej się zmierzyć, nie odbiegały przecież od codzienności innych matek, a większość młodych rodzin mimo wszystko potrafiła stawić im czoła. Weronika miała przy tym więcej szczęścia niż niejedna kobieta; trafiła przecież na faceta, który kochał ją jak wariat, w dodatku zupełnie bezwarunkowo. I którego ona kochała – cokolwiek później wmawiała Oskarowi, on i tak wiedział, jaka była prawda. Ten związek w żadnym wypadku nie powinien był ulec zniszczeniu. A uległ.

I Oskar bardzo dobrze wiedział, dlaczego tak się stało. Wszyscy wiedzieli, nawet jeśli nie wszyscy przyznawali się do tej wiedzy. Jarek mógł znieść wiele, nieraz gryzł się w język. Nie chciał jednak przejść do porządku dziennego w kwestii notorycznych, a już na pewno coraz częstszych i dłuższych wyjazdów żony do Jaktorowa. Ucieczek – jak kiedyś w desperacji powiedział, a Oskar przyznał mu rację. Weronika uciekała przed trudami codzienności pod skrzydła rodziców. Tym samym uciekała przed wzięciem odpowiedzialności za siebie, za rodzinę, czyli de facto przed dorosłością, do której nie była przygotowana i której panicznie się

bała, a starzy chętnie ją w tym utwierdzali. Skądinąd zrozumiało pragnienie odpoczynku w domu rodzinnym, na łonie natury, w pewnym momencie stało się pretekstem do niemal stałej nieobecności w mieszkaniu na Saskiej Kępie. „Przecież dzięki temu i ty będziesz mógł spokojnie popracować” – tłumaczyła mężowi. Pewnego dnia Jarek nie wytrzymał i po raz pierwszy podniósł na nią głos. „Kiedy wreszcie zrozumiesz, że twoje miejsce jest tutaj?” – krzyknął. Oskar dowiedział się o tym z niezależnych od siebie relacji siostry i szwagra – obie były zgodne co do treści, choć oczywiście odmienne w interpretacji.

Teraz, gdy na Saskiej Kępie mieszkał już tylko Jarek, jego lokum wyglądało zdecydowanie schludniej niż w przeszłości. I nawet podczas odwiedzin chłopców panował tu większy porządek niż w zdecydowanie bardziej przestronnym mieszkaniu jego byłej żony.

Przecież mógł sobie znaleźć kogoś nowego, od rozwodu minęło już trochę czasu, a jednak tego nie zrobił, pomyślał Oskar, obserwując kręcącego się między kuchnią a pokojem szwagra. Nie były to pierwsze tego typu refleksje i oczywiście nie wydawały się Oskarowi zbyt mądre, niemniej uparcie wracały. Nic nie mógł na to poradzić. W dodatku tak go pochłonęły, że w pierwszej chwili nie dotarł do niego sens słów szwagra, gdy po skończonym obiedzie postawił na stole dwie filiżanki z kawą.

– Dostałem wreszcie to stypendium w Louvain – powtórzył wobec tego Jarek. – Mam zgodę na wyjazd. Mogę wyruszyć pod koniec października.

– No to gratulacje, stary. – Oskar wyciągnął dłoń do przyjaciela. – Kto by się spodziewał? Przyznaj się, z kim pokombinowałeś? – roześmiał się.

Jarek też się uśmiechnął, poza tym nie wyrażał radości w bardziej spektakularny sposób. To ostatnie spostrzeżenie sprawiło, że Oskar mimowolnie nabrał podejrzeń.

– Co jest? Musiałeś przystać na jakieś... warunki? – Tym razem nie żartował. Przeciwnie, ostrożnie ważył słowa.

– Nie, nic z tych rzeczy. – Jarek wzruszył ramionami. – Naprawdę, serio to mówię. Tylko że widzisz... To wyjazd na pół roku.

– No to co? Nie powiesz mi chyba, że będziesz płakał za ludową ojczyznę – zakpił Oskar, ale zaraz się zreflektował, bo przyjaciel nie podchwycił żartu.

– Myślę o chłopakach. To jednak cholerny szmat czasu dla takich dzieciaków.

Obaj, jak na komendę, spojrzeli na Michałka i Piotrusia, którzy bawili się właśnie w wyścigi samochodowe i jeździli małymi samochodzikami po zabawkowym torze, wydając przy tym odgłosy imitujące rozpędzone silniki. Byli tak zaabsorbowani zabawą, że w ogóle nie zwracali uwagi na ojca i wuja.

– Przecież wiedziałeś o tym, gdy składałeś papiery o stypendium – zauważył Oskar. – I potem, gdy całymi miesiącami biegałeś od Annasza do Kajfasza, aby uzyskać na to zgodę wielce wpływowych instytucji.

– Tak, jasne... – Jarek pokiwał głową. – Ale w maju dałem już sobie spokój. Uznałem, że i tak nic z tego nie będzie i odpuściłem. W dodatku przekonałem się, że nie czuję wielkiego żalu, a nawet pewną ulgę. Włożenie w tyłek temu czy innemu patałachowi to jednak nie dla mnie. – Głośne krzyki chłopców były niczym odpowiedź na jego słowa. Popatrzył na synów i ponownie się uśmiechnął, tym razem z dumą. – Moja wyprawa z dziećmi w lipcu, w góry, była więcej warta niż jakieś tam zagraniczne stypendium.

– No, nie byłbym tego pewien.

– Byłbyś, gdybyś miał dzieci...

– Nie mam dzieci, to fakt. A przynajmniej nic nie wiem, aby było inaczej. Ale pomyśl o przyszłości. To dla ciebie szansa, która może się już nie powtórzyć. Chłopaki kiedyś dorosną i pójdą swoją drogą. Sam tak kiedyś mówiłeś Weronice – przypomniawszy, choć wcale nie był pewien, czy to dobry argument. Co nie zmieniało faktu, że Jarek nie powinien się teraz wycofywać. Ale tego chyba nie zamierzał zrobić? Na wszelki wypadek Oskar wolał o to zapytać.

Ku jego niewysłowionej uldze, przyjaciel zaprzeczył ruchem głowy.

– I dobrze. Zrozumiałbym, gdyby takie skrupuły miała kobieta, matka dzieciom, ale nie facet.

– Wiesz, jak to zabrzmiało? – skrzywił się Jarek.

Oskar, rzecz jasna, dobrze wiedział, ale nie zamierzał niczego teraz prostować i ugładszać. Miał pełną świadomość, że różne postępowe organizacje kobiece nie zostawiłyby na nim suchej nitki za to, co przed chwilą powiedział, ale to w żaden sposób nie wpływało na jego poglądy. Jego zdaniem praw natury nie dało się oszukać, i tyle.

– W pewnym sensie zrobisz to także dla nich. – Wskazał na chłopców. – Będą tęsknić, ale będą z ciebie dumni. A poza tym i oni mogą na tym zyskać...

– Niby co mogą zyskać? – Jarek ponownie się skrzywił. – Przecież nie przyjadą tam do mnie w odwiedziny. Będę szczery... – Zawahał się, ale dokończył. – Mam też inne obawy...

– Chodzi o Weronikę? – domyślił się Oskar. – Że niby, korzystając z twojej nieobecności, zaczną urabiać dzieciaki przeciwko tobie? Uspokoję cię, nie ma o tym mowy. Znam moją siostrę, ma tysiąc wad, ale czegoś takiego na pewno by nie zrobiła.

W istocie wcale nie dałby sobie za to ręki uciąć, ale Jarek, jak się okazało, nie potrzebował jego zapewnień.

– Nie chodzi o nią... – zawiesił głos i odwrócił głowę.

– O mojego starego, tak? – zapytał Oskar. – No to nie bój nic. Pewnych granic nawet on nie przekroczy.

Tak naprawdę jednak miał co do tego jeszcze mniej pewności niż w kwestii siostry. Tym bardziej że w tym konkretnym przypadku na jedno wychodziło. Stary miał na Weronikę wpływ niemal nieograniczony. A właściwie, odkąd się rozwiodła, można było spokojnie pominąć owo „niemal”. Oskar podejrzewał, że odkąd Weronika rozstała się z mężem, ojciec przejął już nad nią pełną kontrolę, lecz ta myśl była zbyt upiorna, by wyrazić ją na głos.

– A co z twoim wyjazdem? Połowa września? Tak jak to było ustalone? – Jarek na szczęście postanowił zmienić temat.

– Raczej druga połowa. Ale jadę tylko na dwa tygodnie, więc zdążę jeszcze do ciebie wpaść po powrocie.

– Rzeczywiście, niezbyt długa ta delegacja...

– Dobre i tyle.

– Mam nadzieję, że nie będą cię tam trzymali całymi dniami w firmie i zdołasz zobaczyć to i owo. A może i zaszaleć? – Mrugnął znacząco.

– No jasne... – Oskar zerknął na bawiących się głośno chłopców. Wciąż byli zajęci zabawą, to dobrze. – Ale oprócz tego mam do załatwienia pewną sprawę rodzinną.

– Rodzinną? – Jarek poruszył brwiami. – Macie rodzinę za granicą? I dopiero teraz się o tym dowiaduję? – ponownie łagodnie zakpił, ale umilkł, gdy Oskar poprosił go o to gestem, równocześnie wskazując na Michała i Piotrusia.

– Mieliśmy, formalnie. – Oskar ściszył głos. – Na pewno słyszałeś o siostrze mojego ojca. Tej, która wyszła za Włocha i wyjechała z nim z Polski.

– Nie przypominam sobie – zastanowił się Jarek. – Chyba nie, ale może coś mi umknęło.

– Mogło umknąć, bo moi starzy nie utrzymywali z nią kontaktów. Zero listów, zero telefonów, nic. O zaproszeniach nawet nie wspominając. Tyle że oboje twierdzą, że to ciotka tak zdecydowała.

– Ale ty im nie wierzysz?

– Ja po prostu wiem, że z jakichś powodów nie mówią prawdy. A przynajmniej całej prawdy.

– Dlatego postanowiłeś pojechać i osobiście zapytać ciotkę, w czym rzecz? Napisałeś do niej czy zamierzasz pojawić się pod jej drzwiami bez żadnego uprzedzenia? Z nagła i niespodziewanie?

Oskar odniósł wrażenie, że w głosie szwagra usłyszał lekki sceptycyzm. Nie dziwiło go to.

– Ciotka zmarła półtora roku temu. Odwiedzę miejsce jej wiecznego spoczynku. Przynajmniej tyle mogę zrobić. W imieniu reszty rodziny. – Uśmiechnął się z sarkazmem.

Przez chwilę zastanawiał się, czy powiedzieć szwagrowi o Lucii Bellodi, ostatecznie jednak porzucił ten zamiar, tym bardziej że zaraz podeszli do nich znudzeni już dotychczasową zabawą chłopcy.

Rozdział 14

Kiedy oznajmił, że żeni się z Izą, nie byłam tym zdziwiona. Wszystkie znaki na niebie i ziemi od dawna to zapowiadały. Wprawdzie inaczej sobie wyobrażałam zakochaną parę, ale przyjęłam do wiadomości, że mogłam się mylić. Wojna i okupacja sprawiły, że moje dawne wyobrażenia o wielu sprawach się zmieniły. Bezpieczny świat naszej młodości przestał istnieć. Priorytetem stały się zupełnie inne kwestie. Podobnie zresztą podeszli do sprawy moi rodzice, a dalsi krewni i znajomi albo nie zabierali głosu, albo komentowali całą sytuację w swoim gronie, pod naszą nieobecność.

Janek i Iza pobrali się w czerwcu czterdziestego pierwszego roku, kilka dni po zaatakowaniu przez Niemców Związku Sowieckiego. Sam wybuch wojny między szwabami a kacapami powitaliśmy wszyscy z ulgą, a niektórzy wręcz z nieskrywaną radością. To początek końca, mówiono. W powszechnym przekonaniu koniec sojuszu Hitlera i Stalina musiał zwiastować przełom, i to przełom w najlepszym tego słowa rozumieniu. Wojna między dotychczasowymi kamratami oznaczała pełne zaangażowanie tak jednego, jak i drugiego, to zaś mogło dać choćby niewielki oddech reszcie Europy. Przecież na Rosję poszły miliony Niemców, a Rosja to, jak wiadomo, worek bez dna. Bezkresne niziny, które zdają się nie mieć końca. A zarazem nieprzeliczone rzesze ludzkich istnień gotowych do działania na jedno skinienie dyktatora.

Nie ma cudów, wojna osłabi tak jednego, jak i drugiego, mawiano.

Mój ojciec należał do grona tych, którzy nie podzielali tego optymizmu.

– Jeden z nich ją wygra – oznajmił. – I obojętnie, który z nich zwycięży, dla nas będzie to oznaczać piekło.

– A nie przyszło ci do głowy, że obaj mogą przegrać? – Mój brat postanowił rzucić wyzwanie. – Nawzajem się zmordują, a wówczas reszta świata, przede wszystkim my, Polacy, będziemy wreszcie od nich wolni.

Ojciec pokręcił głową.

– Zawsze jeden wygrywa, a drugi przegrywa – odparł. – Wspomnicie jeszcze moje słowa.

– Pan ma rację – odezwała się niespodziewanie Iza. Nawet jako synowa nie przestała zwracać się w oficjalnej formie do mojego ojca. I nigdy nie zmieniła tego zwyczaju. Moją matkę natomiast ignorowała, kiedy tylko mogła. Popatrzyliśmy na nią zdumieni, na ogół bowiem w czasie rodzinnych spotkań prawie nie zabierała głosu. Tym razem nie tylko postąpiła inaczej, ale zrobiła to bardzo pewnym, zdecydowanym tonem. Takim, jakiego do tej pory w naszym gronie nie użyła ani razu. – Pan ma rację – powtórzyła. – Jedno z tych państw odniesie zwycięstwo, o jakim do tej pory nikomu się nie śniło. I będzie to Rosja. Tak, Stalin wygra tę wojnę, zobaczycie.

Jeden z wujów skomentował to krótko: „Bzdura”. Drugi dodał, że tak to jest, jak się kobiety biorą za politykowanie. Ojciec tylko wzruszył ramionami, ja zaś popatrzyłam wyniośle na moją świeżo upieczoną bratową, po raz kolejny dając jej do zrozumienia, co myślę zarówno o niej, jak i jej opiniach. A najbliższe tygodnie i miesiące zdawały się potwierdzać, jak bardzo – delikatnie mówiąc – się myliła. Rosjanie cofali się w tempie, jakiego najwięksi optymiści czy też pesymiści (zależy, jak na to patrzeć) nie byli w stanie wcześniej przewidzieć. Błyskawiczne postępy Wehrmachtu na równinach Rosji zostały jednak w końcu powstrzymane, choć nastąpiło to

dopiero późną jesienią, gdy intensywne opady deszczu, a potem także śniegu, zamieniły tamtejsze drogi w błotną breję, w której grzęzły niemieckie armie. My, w Polsce, we wrześniu trzydziestego dziewiątego nie mieliśmy tego szczęścia. Lato tamtego roku było piękne, słoneczne, suche, taki też był wrzesień. Ciężki niemiecki sprzęt nie utknął na naszych drogach, gdy tymczasem osławiona rosyjska zima, która zaczęła się już na przełomie października i listopada, miała stać się początkiem końca niemieckiej armii na wschodzie – zresztą dokładnie tak, jak w przeszłości stało się to udziałem armii napoleońskiej. W grudniu, gdy Niemcy byli zmuszeni odstąpić od Moskwy, nikt już nie miał wątpliwości, że działania na froncie wschodnim nie zakończą się tak szybko, jak jeszcze kilka miesięcy temu sądzono. Tym samym Niemcy stanęli przed gigantycznym wyzwaniem mobilizacyjnym, co siłą rzeczy musiało oznaczać pewne przetasowania w ich polityce okupacyjnej, także na terenie Polski. Przejawiało się to z jednej strony w dopuszczeniu polskich kadr na niektóre stanowiska urzędnicze, do tej pory zarezerwowane tylko dla szkopów. Z drugiej jednak – częstsze łapanki i wywożenie na roboty do Niemiec. W lutym czterdziestego trzeciego roku, gdy na znak żałoby po pogrzebanej w Stalingradzie III Armii von Paulusa szkopy powiesiły czarne flagi w każdym okupowanym przez siebie kraju – moja bratowa urodziła córkę, a mała, słodka Weronika od razu skradła nasze serca. Zarazem sprawiła, że zaakceptowaliśmy także jej matkę. Nawet ja zdobyłam się na cieplejsze słowa i gesty. Jednak – nadaremno. Być może wszyscy zdobyliśmy się na to zbyt późno, a poczucie dumy i urazy nie pozwalało jej tak łatwo przejść do porządku dziennego nad naszą wcześniejszą niechęcią, zwłaszcza że teraz miała wreszcie możliwość spróbować się na nas odegrać, ukarać.

Niewykluczone jednak, że tak naprawdę nigdy nie zależało jej na naszej akceptacji. Liczył się tylko Janek, a potem Weronika i Oskar. Cała reszta

naszej rodziny nie była jej potrzebna do szczęścia. Pozostały tylko przypuszczenia, pytania, których nigdy nie odważyłam się zadać ani jej, ani mojemu bratu. Sama zaś nie potrafiłam znaleźć na nie jednoznacznej odpowiedzi. Do dziś zresztą nie potrafię.

Słońce chyliło się ku zachodowi, po deszczowej ostatniej dekadzie sierpnia wrzesień przyniósł słoneczną, niemal letnią pogodę. Mimo to coraz krótsze dni, a także chłodne poranki i wieczory przypominały o nadchodzącej jesieni. Nie mówiąc już o końcu wakacyjnej laby i konieczności przestawienia się na tryb szkolnych obowiązków. A właśnie początek roku był w przekonaniu Weroniki najtrudniejszy. Już po upływie pierwszego tygodnia czuła nieznośny ból gardła, bo rozbrykani po wakacjach uczniowie nie poddawali się jeszcze szkolnej dyscyplinie, a przepiękna pogoda z pewnością nie zachęcała ani do ślęczenia nad podręcznikami, ani nawet do spokojnego siedzenia w szkolnych ławach. Nic zatem dziwnego, że po skończonych zajęciach ledwo żywa ze zmęczenia Weronika z ulgą wychodziła z pracy, lecz zamiast wreszcie spokojnie nacieszyć się urodą odchodzącego lata, przeważnie spieszyła się po czekających na nią w szkolnej świetlicy chłopców. Tego dnia jednak spieszyć się nie musiała. Dochodziła dopiero dwunasta – według nowego, dopiero co zmodyfikowanego planu lekcji w poniedziałki miała mało zajęć – a zatem otwierała się przed nią perspektywa długiego dnia. I wolnego czasu, który tym razem – wyjątkowo – mogła poświęcić tylko sobie. Dzieci kończyły swoje zajęcia dwie godziny później, a odebrać miał je ze szkoły Jarek. Tak ustalili wczoraj wieczorem. Nie było zatem przeszkód, by zrealizowała swój wcześniejszy zamiar, a mimo to nie mogła pozbyć się uczucia niepokoju. Rozterki te nie opuszczały jej od ponad tygodnia, a dokładnie od

dnia, gdy Oskar wcisnął jej do ręki karteczkę z zapisanym adresem ciotki Rozalii Ostrowskiej, stryjecznej siostry ich ojca. Przez dłuższą chwilę patrzyła osłupiała na mały bilecik; nie była w stanie zrozumieć ani jednego słowa.

– Przecież to był twój pomysł – przypomniał. – Ty mnie natchnęłaś, aby odszukać naszą krewną. Kolejną, która z niewiadomych powodów została przez naszego starego wyeliminowana z życia rodziny.

– W takim razie czemu sam jej nie odwiedzisz?

– Nie zdążę tego zrobić przed wyjazdem. A poza tym, o ile mnie pamięć nie zawodzi, jeszcze kilka tygodni temu także przejawiałaś zainteresowanie ciotką Ostrowską. Myślałem, że masz ochotę pogadać z nią o starych, choć być może nie tak dobrych czasach. Ale nie ma sprawy, jeśli masz co do tego jakieś obawy, poczekaj, aż wrócę z Francji i odwiedzimy ją oboje.

– Jak w ogóle zdobyłeś ten adres? – spytała po dłuższej chwili milczenia.

Wzruszył ramionami, po czym wrócił do pakowania walizki.

– To wcale nie było takie trudne. Tym bardziej że ciotka Rozalia nie tylko nie zapadła się pod ziemię, ale nawet nie wyprowadziła się na drugi koniec Polski. I nic nie wskazuje na to, aby się przed nami ukrywała.

Dał jej znak, aby odsunęła się od szafy, z której wyjął kilka koszul. Przypatrując się tym przygotowaniom, westchnęła w duchu.

– A zatem kiedy mam się spodziewać twojego powrotu? – spytała, starając się zapanować nad niepokojem w głosie.

– Już ci to mówiłem. Od tamtej pory nic się nie zmieniło.

– Trzydziestego?

– Trzydziestego, późnym wieczorem.

– Pójdę już, nie będę ci przeszkadzać. – Cofnęła się do przedpokoju i sięgnęła po żakiet.

– Nie przeszkadzasz mi. – Przerwał pakowanie i popatrzył na nią przyjaźnie. – Możesz zostać. Zaraz kończę, zrobię herbaty, pogadamy...

– Śpieszę się po dzieci. – Usłyszała w swoim głosie taką gorycz i sarkazm, że aż sama się wystraszyła. I zaraz potem poczuła się niezręcznie. Oskar gotów pomyśleć, że miała mu za złe ten wyjazd. Tak jakby winiła go za to, że ona sama mogła co najwyżej pomarzyć o jakichkolwiek podróżach, a jej udziałem stały się wyłącznie nudne i uciążliwe obowiązki rodzinne oraz niedająca żadnej satysfakcji praca zawodowa. Prawda była jednak bardziej skomplikowana. Żal i zazdrość, które niegdyś odczuwała na wieść o jego planach, zastąpił narastający niepokój. Czy nawet jakieś nieokreślone przecucie... W każdym razie z gatunku tych nie najlepszych.

Oskar delikatnie dotknął jej ramienia, a ten braterski gest sprawił, że ponownie na niego spojrzała.

– Mówię serio – rzekł życzliwie. – Jeśli z jakiegoś powodu wolisz poczekać na mnie z tą wizytą, to udamy się do niej oboje, ale dopiero na początku października. Przypuszczałem jednak, że może zechcesz ją najpierw odwiedzić sama... – Zawahał się. – Z tego, co pamiętam, ciotka Rozalia szczególnie cię lubiła.

Zaskoczyły ją ostatnie słowa Oskara, nie znajdowały bowiem żadnego potwierdzenia w jej własnych wspomnieniach, ale postanowiła zostawić je bez komentarza. Przyszło jej do głowy, że brat po prostu szukał sposobu, aby zachęcić ją do złożenia wizyty niemal zapomnianej ciotce, ale nie miała już ochoty (ani czasu) się z nim droczyć. Poklepała go po dłoni i skierowała się do drzwi wyjściowych. Tam jednak jeszcze raz się zatrzymała. Musiała o coś spytać.

– Czy podczas tej delegacji... – zająknęła się, ale szybko wzięła się w garść. – To znaczy... Czy nie zmieniłeś zdania? Nadal chcesz odwiedzić

tę kobietę... Tę Bellodi? Będziesz miał taką możliwość? I czas?

– Tak. – Oskar wytrzymał jej spojrzenie. – Mam taki zamiar.

Skinęła głową, nacisnęła klamkę i wyszła. Nic już nie było do dodania.

Wyjechał następnego dnia, a ona przez kolejnych kilkanaście zastanawiała się i analizowała, czy jest sens odwiedzać dawno niewidzianą krewną. Gwoli ścisłości dość daleką krewną, z którą rodzice nigdy nie utrzymywali bliskich kontaktów, a od dłuższego czasu bodaj żadnych. A przynajmniej Weronika nie zauważyła, by było inaczej. Nie mogła też mieć żadnej pewności, czy owa daleka krewna utrzymywała kiedykolwiek w przeszłości kontakty z Wandą, niemniej na sto procent nie można było takiej ewentualności odrzucić. A poza tym... Nie dawało jej spokoju owo zaskakujące stwierdzenie Oskara, jakoby ciotka Rozalia szczególnie ją lubiła. Choć ona niczego podobnego sobie nie przypominała. Inna sprawa, że nigdy nie zwracała na tamtą dużej uwagi, tym bardziej że kuzynka ojca zawsze była gdzieś z boku, w cieniu. Niepozorna, rzadko zabierająca głos, łatwo ją było przeoczyć, łatwo zapomnieć. Zwłaszcza jeśli się było mało spostrzegawczym.

Tak jak ja, przyznawała w duchu Weronika i wciąż odkładała decyzję o wizycie. Bez większego zresztą trudu znajdowała na to usprawiedliwienie. Rozpoczynający się rok szkolny, konieczność przystosowania się do codziennych obowiązków, jak i zorganizowania zajęć pozalekcyjnych synom, szkolne zebrania, rady pedagogiczne, słowem zwykły kierat, do którego po kilku tygodniach na nowo przywyknie, ale który, zwłaszcza we wrześniu, jest szczególnie dokuczliwy i trudny do ogarnięcia.

Oskar zadzwonił do niej dopiero w drugim tygodniu swojego pobytu w Paryżu. W momencie gdy jedną ręką prasowała koszulki chłopców, a drugą wyciągała z szafy ich spodnie. Z pokoju dzieci dochodził gwar

podniesionych głosów, a w mieszkaniu piętro wyżej kłócili się sąsiedzi, którzy w ostatnim czasie po raz kolejny przechodzili tak zwane trudne dni.

Telefon od brata przyjęła więc z ambiwalentnymi uczuciami. Z jednej strony czekała na wiadomości od niego, z drugiej złość ją brała, że on ogląda Paryż, podczas gdy ona użera się z codziennością. A po prawdzie – trochę też bała się tego, co mogłaby od niego usłyszeć. I nie chodziło tylko o jego pytanie, czy odwiedziła już ciotkę Rozalię. Choć oczywiście je zadał.

– Nie miałam czasu – odparła bez owijania w bawełnę. – Nie mam nawet czasu podrapać się po nosie.

– Rozumiem – usłyszała w odpowiedzi. Była niemal pewna, że uśmiechnął się półgębkiem, jak to on, tyle że nie mogła tego zobaczyć. – Tak tylko spytałem. Nie musisz się napinać.

– Nie napinam się...

– Mówiłem, że jeśli masz jakieś wątpliwości, poczekaj, aż wrócę i pojedziemy do niej razem.

– Dobrze, zobaczę jeszcze – zachnęła się. – Powiedz lepiej, co tam u ciebie. Jak spędzasz czas?

– Jestem zajęty, to fakt. Nie nudzę się.

– Jasne, że się nie nudzisz. – Teraz ona uśmiechnęła się półgębkiem. Odniosła wrażenie, że trochę kręcił i postanowiła wytknąć mu to z pełną premedytacją. – Słyszałam, jak wyglądają te delegacje... – Mówiąc to, poczuła znajome ukłucie w sercu, które przypominało o sobie, gdy tylko pomyślała o zagranicznych wojażach, niestety zawsze będących udziałem innych. Nigdy jej. Bo jakby mało było, że Oskar wyjechał w delegację, to jeszcze – jak się niedawno dowiedziała – jej były mąż także w niedługim czasie miał wyruszyć za granicę, i to aż na kilka miesięcy. Delegacje, seminaria, stypendia – ona była wykluczona z takich atrakcji.

– Opowiem ci o wszystkim, gdy wrócę – usłyszała.

– Dobrze... – Zawahała się. Na końcu języka miała pytanie, czy znalazł już czas na odwiedzenie grobu ciotki i ewentualne spotkanie z Lucią Bellodi, ale się powstrzymała. Nie była pewna, czy chce usłyszeć o tym przez telefon. Po drugiej stronie linii także zapanowało milczenie, jakby Oskar czekał na jej pytanie. Nie mógł jednak czekać w nieskończoność. I bez tego połączenie z pewnością kosztowało go niemało.

– U rodziców wszystko dobrze? – przerwał wreszcie milczenie.

– Tak. Nie zadzwonisz do nich? – Domyślała się, że brat tego nie zrobi, ale nie mogła sobie odmówić ani tego pytania, ani sarkastycznego tonu.

– Nie ma potrzeby, niedługo wracam.

– Dobrze, powiem im, że wszystko u ciebie w porządku i że ich pozdrawiasz. – Wiedziała, jak to zabrzmiało, ale i tego nie potrafiła sobie odmówić. Tym razem jednak natychmiast doczekała się riposty. I to w dodatku takiej, jakiej zupełnie się nie spodziewała.

– À propos pozdrowień. Lucia prosiła, aby ci je przekazać.

Świat zatańczył jej przed oczami. Ostrożnie odstawiła żelazko i usiadła na wersalce. Wiedziała, że powinna coś odpowiedzieć, ale nie była w stanie tego zrobić. Setki pytań cisnęły jej się na usta, ale i na to się nie zdobyła. Na szczęście Oskar nie przedłużał rozmowy, a kiedy wreszcie się rozłączył, patrzyła tępo na aparat, zastanawiając się, czy w ogóle odpowiedziała na jego pożegnanie.

Za to następnego dnia podjęła postanowienie. Odwiedzi ciotkę Ostrowską. A przynajmniej spróbuje to zrobić – nie miała przecież żadnej pewności, czy zastanie ją w domu, a w książce telefonicznej nie znalazła jej numeru telefonu. Oczywiście ryzykowała, że może stracić wiele cennego czasu. Ciotka Rozalia mieszkała w podwarszawskim Komorowie, podróż kolejką WKD zajmowała około trzydziestu minut, potem trzeba było

znaleźć właściwą ulicę i tak dalej. W dodatku wyprawa mogła się skończyć niepowodzeniem i to nie tylko dlatego, że Ostrowskiej nie będzie akurat w domu. Nawet jeśli będzie, nie można mieć żadnej pewności, czy zechce cokolwiek powiedzieć. Ba, na dobrą sprawę nie można też wykluczyć, że może wcale się nie ucieszy z tak niespodziewanej wizyty. W końcu musiał istnieć jakiś powód, że ojciec przestał się kontaktować także z nią, choć, z wyjątkiem żony, dzieci i wnuków była jego ostatnią żyjącą krewną.

Trudno, najwyżej wizyta skończy się porażką, pomyślała Weronika, przemierzając energicznym krokiem Aleje Jerozolimskie w kierunku Dworca Centralnego. Przynajmniej będę wiedziała, że zrobiłam, co mogłam, i przestanę się tym dłużej dręczyć. Bo gdybym nie pojechała, w kółko bym sobie wyrzucała, że może jednak należało to zrobić.

Dotarła do kasy biletowej na pięć minut przed odjazdem kolejki. Ale gdy siedziała już w pociągu, przestała żałować swojej decyzji. O tej porze wagony nie były jeszcze zatłoczone, mogła więc wybrać sobie miejsce przy oknie i kontemplować widok mijanych po drodze łąk i pól. Pomyślała o Jaktorowie – w najbliższą sobotę jak zwykle zamierzała tam pojechać – i od razu zrobiło jej się cieplej na sercu. Tym bardziej że przez uchylone okno do wnętrza wagonu wpadał łagodny wietrzyk i gorące jeszcze promienie słońca. Na stacji w Komorowie zapytała wracające ze szkoły dzieci o ulicę Spacerową i choć nie była pewna, czy zrozumiała ich dość chaotyczne objaśnienia, ruszyła we wskazanym kierunku. Przez jakiś czas istotnie gubiła się w płątaninie uliczek, zanim jakiś ksiądz z pobliskiego kościoła nie pokierował jej dalszymi krokami. W pierwszej chwili chciała go nawet zapytać o ciotkę, ostatecznie jednak tego zaniechała. Nie miała przecież żadnej pewności, czy Ostrowska należy do praktykujących parafianek, na dobrą sprawę prawie nic o niej nie wiedziała. Idąc pod wskazany adres, rozglądała się wokół z zadowoleniem. Pogodna wczesna

jesień była na wsi tak samo urokliwa jak wiosna i lato. Ogródki tonęły w powodzi drzew i krzewów, strojnych w paletę wrześniowych barw.

Nie spiesząc się, Weronika dotarła niemal do końca ulicy i zatrzymała się przy posesji, która wedle Oskara była celem jej wyprawy. Przez chwilę patrzyła w milczeniu na porośnięty gęstymi krzewami ogród. Od furtki do częściowo ukrytego za starymi dębami piętrowego domu biegła wąska alejka, bardziej zresztą przypominająca leśną dróżkę. Całe otoczenie tchnęło spokojem, wokół panowała cisza tak głęboka, że gdy Weronika wreszcie nacieszyła wzrok widokiem, zaczęła się zastanawiać, czy to miejsce jest w ogóle zamieszkane. Choć z drugiej strony posesja wyglądała na zadbaną. Za to odgłos, jaki wydał zamontowany przy furtce dzwonek, przypominał terkotanie starego budzika – w każdym razie Weronika miała spore wątpliwości, aby ten, kto ewentualnie przebywał w tym domu, mógł cokolwiek usłyszeć. Rozejrzała się po ulicy, zastanawiając się, czy nie zasięgnąć jakiejś informacji od sąsiadów, ale w tym samym momencie dostrzegła w ogrodzie kobietę, która wychyliła się zza jodeł.

– Słucham panią – zagadnęła kobieta, zbliżając się do ogrodzenia.

Była ubrana w spodnie ogrodniczki, na głowie miała zawiązaną kolorową chustkę, przyciemnione okulary na nosie, w rękach trzymała ogrodowe nożyce.

Patrząc na nią, Weronika nie miała wątpliwości, że to ciotka Rozalia. Dokładnie taka, jaką zapamiętała. Zaskoczyło ją to spostrzeżenie, głównie dlatego, że nie spodziewała się rozpoznać ciotki, na którą kiedyś prawie nie zwracała uwagi. Była także zdumiona, że tamta wciąż wyglądała jak przed laty – jak gdyby czas się dla niej zatrzymał.

– Słucham panią – powtórzyła Rozalia Ostrowska. Zbliżyła się już do furtki i patrzyła pytająco na zdjętą nagłym wzruszeniem Weronikę. Wyglądało na to, że nie poznała stryjecznej bratanicy.

– Nazywam się Weronika Piontkowska – odezwała się trochę stłumionym głosem młoda kobieta. Zaraz zresztą przyszło jej do głowy, że ciotka najprawdopodobniej nie kojarzy, a przynajmniej nie pamięta tego nazwiska. – Ciociu, to ja, Weronika – dodała wobec tego nieśmiało i przez to niepewnie.

Ostrowska znieruchomiała. Patrzyła oszołomiona na przybyłą, poruszyła ustami, ale początkowo nie wydobyła z siebie ani słowa. Cisza wokół stawała się coraz bardziej krępująca.

– Ciociu Rozalio – przemówiła wreszcie Weronika, doszedłszy do wniosku, że to do niej należy inicjatywa. Ona tu przecież przyjechała, tak zupełnie niespodziewanie, po tylu latach milczenia. – Przepraszam, że cię nachodzę i tak zaskakuję, ale...

Ale właściwie co? – zastanawiała się w panice. – Przyjechałam do ciebie, abyśmy sobie pogwarzyły o starych czasach? Abyś opowiedziała mi o Wandzie Bellodi? O sobie? O moim ojcu? O różnych rodzinnych sekretach?

Przeklinała własną głupotę, przez którą nie przygotowała się do tego spotkania. Przynajmniej w tej kolejce WKD, zamiast gapić się bezmyślnie przez okno, powinna była przemyśleć, co powie, gdy stanie oko w oko z krewną, którą ignorowała przez niemal całe swoje dotychczasowe życie. I pewnie nadal by ignorowała, gdyby nie przypuszczenie, a przynajmniej cień nadziei, że ta kobieta wyjaśni jej, co się wydarzyło w przeszłości w ich rodzinie. Może jednak powinna była poczekać na powrót Oskara, zamiast stać teraz jak słup soli i bełkotać coś bez sensu?

– Przepraszam – wyjąkała bezradnie. – Przepraszam za to najście. Nie powinnam była...

– Weronika... Nie wierzę własnym oczom – wyszeptwała wreszcie Ostrowska. Ręce jej drżały, gdy otwierała furtkę. Potem chwyciła dłonie

bratanicy i przyciągnęła ją do siebie mocnym uściskiem. – To naprawdę ty, drogie dziecko?

Chwilę potem rzewnie się rozpłakała.

Rozdział 15

W drodze powrotnej także nie było tłoku. O tej porze mieszkańcy mijanych miejscowości raczej wracali z pracy w Warszawie, niż się do niej wybierali.

– Gdybyś właśnie teraz zdecydowała się do mnie przyjechać, przekonałabyś się na własnej skórze, że podróże kolejką i mieszkanie w podwarszawskiej miejscowości to jednak nie tylko przyjemności, ale także nie lada wyzwanie. Czasami wręcz prawdziwe skaranie boskie – skomentowała ciotka Rozalia, gdy bratanica rozplęwała się nad urokami Komorowa i wygodą podmiejskiego połączenia. – W tak zwanych godzinach szczytu skład jest wypchany po brzegi. Niemal czujesz, jak z minuty na minutę stajesz się kiszonką. Wiem, co mówię, bo zanim przeszłam na emeryturę, codziennie to przeżywałam. W drodze do pracy wysiadałam na stacji w Rakowie, a po ośmiu, dziewięciu godzinach na tej samej stacji toczyłam boje, by z kolei wsiąść do pociągu i wrócić do domu. Masz szczęście, bo o tej godzinie z pewnością jeszcze nie trafisz na taki tłok.

– Pracowała ciocia w Rakowie? – spytała Weronika. Nie dlatego, że ta akurat kwestia szczególnie ją zainteresowała, lecz uznała, że najlepiej zacząć rozmowę od tak zwanych neutralnych tematów. Nie mogła przecież od razu przejść do tych bardziej osobistych, związanych z najważniejszą przyczyną, dla której w ogóle zdecydowała się tu przyjechać. Może gdyby

utrzymywała z ciotką Ostrowską stałe lub w miarę regularne kontakty... Ale przecież tak nie było. I dlatego teraz rozmawiało jej się trudniej. Choć ciotka nawet jednym słowem, gestem czy wyrazem twarzy nie dała do zrozumienia, że przez całe lata miała żal z powodu odtrącenia i wręcz zapomnienia, jakiego doświadczyła od Reczyńskich i ich dzieci. Co nie znaczyło, że ten żal nie istniał. Musiała go odczuwać – co do tego Weronika nie miała wątpliwości.

W każdym razie Ostrowska wyjaśniła jej, że pracowała w jednej z przychodni lekarskich jako recepcjonistka. Nic nadzwyczajnego, ale lubiła swoją pracę. Zarówno miejsce, jak i ludzi, z którymi stykała się na co dzień. Lekarzy, pielęgniarki, pacjentów. Dzięki temu nie czuła się samotna, zwłaszcza gdy zmarł jej mąż. Dlatego też chętnie podejmowała pracę w nadgodzinach, nie robiła również problemów, gdy musiała zastępować koleżankę z drugiej zmiany, która dość często korzystała ze zwolnień lekarskich na chore dzieci.

Wspominając w powrotnej drodze każdy szczegół rozmowy z ciotką, Weronika ponownie poczuła rumieniec na twarzy. Dokładnie tak, jak trzy godziny temu, gdy ciotka wspomniała o swoim zmarłym mężu. Nie tylko bowiem nie miała pojęcia o śmierci wuja, ale w ogóle nie potrafiła go sobie przypomnieć. Czy to możliwe, aby była aż tak mało spostrzegawcza? Raczej nie, przecież jak by na to nie patrzeć, chodziło tu o krewnych i powinowatych, nawet jeśli nie utrzymywało się z nimi bliskich kontaktów. Czym innym jest jednak obojętność, nawet wzajemna niechęć – to może się przecież zdarzyć w każdej rodzinie – a czym innym zupełna niewiedza dotycząca członków rodziny. A jednak Weronika nie znajdowała na to wytłumaczenia. Uznała zatem, że nie pozostaje jej nic innego, jak nie dać niczego po sobie poznać. Jak się okazało, niepotrzebnie. Ciotka czytała w niej jak w otwartej księdze.

– Nie miałaś okazji poznać mojego męża, bo nie odwiedzał twoich rodziców – wyjaśniła spokojnie, tak jakby oznajmiała najzwyklejszą rzecz na świecie. Po czym, jak gdyby nigdy nic, zaproponowała Weronice wspólne zjedzenie obiadu. – Na pewno jesteś głodna, mówiłaś, że przyjechałaś tu prosto po pracy, a mnie będzie miło mieć towarzystwo przy obiedzie – kontynuowała pogodnie. – Dobrze trafiłaś, bo akurat dzisiaj ugotowałam kapuśniak na wywarze wołowym. Na ogół nie chce mi się gotować tylko dla siebie, ale dziś zmobilizowałam się do roboty. Jakbym czuła, że powinnam to zrobić. I jak tu nie wierzyć w przeczucia?

Rozmawiamy ze sobą jak dwie dawne znajome, które niespodziewanie spotkały się po latach, i chociaż wiedzą, że mają sobie dużo do powiedzenia, to jednocześnie nie mają pojęcia, od czego zacząć, pomyślała Weronika, obserwując krzątającą się przy kuchni ciotkę. Była niemal pewna, że Rozalia Ostrowska podziela jej spostrzeżenia i odczucia. Odwiedziny dawno niewidzianej krewnej z pewnością ją uradowały. Co nie zmieniało faktu, że miała prawo czuć się zaskoczona, a zapewne i trochę zaniepokojona. Taka niespodziewana wizyta może mieć przecież różne przyczyny, także te nie najlepsze.

– Czy u rodziców... wszystko w porządku? – spytała wreszcie z wahaniem, stawiając na stole talerze i wazę z zupą.

– Tak, bez obaw. – Weronika skinęła głową i próbowała się uśmiechnąć. – Gdyby było inaczej, od razu bym ci powiedziała.

– Różnie to bywa. – Ostrowska kroїła teraz chleb. Widać jednak było, że odpowiedź Weroniki ją uspokoiła. – Ale cieszę się, że wszystko u nich dobrze.

To jednak za dużo powiedziane, stwierdziła w duchu Weronika, ale spostrzegłszy, że ciotka uważnie jej się przygląda, ponownie wykrzywiła twarz w uśmiechu. Po raz kolejny stwierdziła, że Rozalia wygląda

zaskakująco młodo, ale zaraz przyszło jej do głowy, że nie powinna się dziwić. Ciotka była mniej więcej w wieku jej rodziców – tyle akurat wiedziała – a przecież matka i ojciec w żadnym razie nie byli starymi ludźmi. Wręcz przeciwnie – oboje uosabiali te wszystkie cechy, dzięki którym wciąż byli dla niej oparciem. Teraz, przypatrując się Rozalii, dostrzegła w jej twarzy, spojrzeniu, gestach niewielkie podobieństwo do ojca. I to spostrzeżenie sprawiło, że wreszcie zdecydowała się podjąć temat, który skłonił ją do przyjazdu. Choć oczywiście liczyła się z tym, że wchodzi na grząski grunt. Trudno.

– Dlaczego wuj nie odwiedzał moich rodziców? – spytała cicho.

Rozalia drgnęła, ale nie odłożyła łyżki. Przez chwilę milczała, jakby się zastanawiała. Ważyła słowa.

– No cóż... Nie lubił opuszczać swojego domu. Był znacznie starszy ode mnie i miał problemy ze zdrowiem – rzekła wreszcie. Na moment w jej oczach zapaliło się jakieś światełko, ale zaraz zgasło.

– A ty, ciociu? Dlaczego i ty w pewnym momencie przestałaś nas odwiedzać? – spytała jeszcze ciszej Weronika.

Ostrowska rzuciła jej krótkie spojrzenie i sięgnęła po chleb.

– Nawzajem przestaliśmy się odwiedzać – odparła spokojnie, ale tym razem w jej oczach nie zapaliło się już żadne światło. Pojawił się w nich smutek. I jeszcze coś...

Weronika nie potrafiła jednak tego nazwać.

– Właśnie o to pytam. – Wciąż mówiła cicho, łagodnie. – Dlaczego tak się stało?

Była przygotowana na to, że ciotka odbije piłeczkę i zapyta, dlaczego ani Weronika, ani jej brat, już jako dorośli ludzie, także jej nie odwiedzali. I co sprawiło, że dopiero teraz zdecydowała się to jednak zrobić. Miała prawo do wyrażenia takiej uwagi, ale tego nie zrobiła. Co ją powstrzymało?

Nie chciała zepsuć chwili, gdy wreszcie usiadły razem przy stole? Bardzo możliwe, choć oczywiście nie można było wykluczyć innych przyczyn, dla których ciotka zachowała pełną dyplomatycznej uprzejmości rezerwę.

– Takie jest życie – odparła spokojnie. – Twoi rodzice mieli swoje sprawy, ja swoje. Tak przecież często bywa między kuzynami; jako dorośli ludzie utrzymują sporadyczne kontakty, a nierzadko nawet je tracą. Zresztą co w tym dziwnego?

Nie mając stryjecznego ani ciotecznego rodzeństwa, Weronika nie podjęła się obalania tego argumentu. Nie zamierzała jednak tak łatwo zrezygnować. Przyjechała tu przecież w konkretnym celu.

– Czy ma to coś wspólnego z ciotką Wandą? – wyrzuciła z siebie jednym tchem. Gdyby się zawahała, nie dałaby rady dokończyć pytania.

Pochłonięta bez reszty rozpamiętywaniem przebiegu rozmowy z ciotką, nie zauważyła konduktora domagającego się okazania biletu. Zareagowała dopiero wówczas, gdy podniósł nieco głos. Ze spojrzeń innych pasażerów od razu wywnioskowała, że musiał stać nad nią już od pewnego czasu, toteż niewiele brakowało, by wpadła w panikę. Szczęśliwie nie musiała nerwowo przekopywać kieszeni i torby w poszukiwaniu tego nieszczęsnego biletu, bo cały czas, zupełnie machinalnie, trzymała go w dłoni. Wprawdzie przy tej okazji niemilośnie go pogmiotła, niemniej konduktor łaskawie tego nie skomentował. Być może uznał, że nie ma najmniejszego sensu wdawać się w jakiegokolwiek dyskusje z osobą wodzącą wokół tak nieprzytomnym spojrzeniem.

Tymczasem mijali kolejną już stację. Reguły – jak Weronika zorientowała się z napisu na peronie. W oddali, niemal po horyzont, ciągnęły się pola, wygrzewające się w jesiennym słońcu.

A ja podróżuję tą drogą po raz pierwszy w życiu, pomyślała, choć ciotka mieszka w tych okolicach od prawie dwudziestu lat, to znaczy odkąd

wyszła za mąż za człowieka, który od urodzenia miał swój dom w Komorowie. W dodatku nie miałam okazji poznać mojego wuja, skonstatowała ze smutkiem.

I ponownie wróciła myślami do ciotki Rozalii, a konkretnie do chwili, gdy zadała jej wreszcie pytanie odnoszące się do Wandy Bellodi.

– Nigdy nie byłyśmy ze sobą jakoś mocno związane – odparła Rozalia. Nie odpowiedziała zresztą od razu, najwyraźniej potrzebowała czasu, aby jej głos znowu brzmiał spokojnie, tak przynajmniej podejrzewała Weronika. – Ona miała swoje sprawy, ja swoje. Ale lubiliśmy się nawzajem – dodała. – Gdy się czasem spotkałyśmy, nigdy nie zapadało między nami krępujące milczenie.

– A po jej wyjeździe utrzymywałaś z nią jakiś kontakt? – Weronika dotknęła dłoni ciotki.

Tamta w odpowiedzi smutno się uśmiechnęła.

– Czasem pisywałyśmy do siebie. Niezbyt często, ale... Tak, powiedzmy, że utrzymywałyśmy jakiś kontakt.

– Ale, jak rozumiem, ani razu nie zaprosiła cię do siebie?

Rozalia popatrzyła na nią w taki sposób, jakby uznała to pytanie za kompletnie niedorzeczne.

– Oczywiście, że nie. Dlaczego miałyby to zrobić? Nigdy mi to nawet do głowy nie przyszło.

Faktycznie, sama przecież przed chwilą przyznała, że nie były ze sobą zaprzyjaźnione, uprzytomniła sobie Weronika. Po prostu się lubiły, to wszystko.

– Ona także ani razu nie pokazała się już w Polsce – zauważyła głośno. – Nawet z krótką wizytą. Zachodzę w głowę: dlaczego?

– Zjedz, bo w końcu wystygnie – odparła Rozalia, dolewając bratanicy dokładkę zupy, choć talerz wcale nie był jeszcze pusty. Weronika nie zdążyła zaprotestować.

– Nie opowiesz mi o tym?

– Nie mam tu wiele do powiedzenia. – Ostrowska wzruszyła ramionami. – Na pewno słyszałaś, że twojemu ojcu nie podobało się, że zainteresowała się tym Włochem. Próbował jej to wyperswadować, ale ona pokazała mu akt ślubu. Zaraz potem wyjechała ze swoim mężem do Francji.

– Dlaczego tata tak go nie lubił? Miał mu coś konkretnego do zarzucenia?

– To jego powinnaś o to zapytać – odparła ciotka, podnosząc się od stołu. – Napij się herbaty z różą? Mojej roboty.

Problem polega na tym, że ojciec nie chce niczego zdradzić, chciała zawołać Weronika, ale ugryzła się w język. Odniosła bowiem wrażenie, że i ciotka Rozalia pragnęła już zakończyć ten temat. Nie byłoby dobrze, gdyby doszła (do prawdziwego skądinąd) wniosku, że jedynym powodem, dla którego niewidziana od wielu lat krewna ją odwiedziła, była chęć wyciągnięcia z niej informacji na temat Wandy Bellodi i przyczyny rodzinnego konfliktu. To nie tylko sprawiłoby jej przykrość, ale najpewniej także wzbudziło Bóg wie jakie podejrzenia. I bez tego gołym okiem było widać, jak niechętnie, z oporami wracała do tamtych spraw.

Muszę być ostrożna, uznała wobec tego Weronika, nie mogę jej do siebie zrazić. Zgodnie z tym postanowieniem nie tylko przystała na propozycję skosztowania herbaty z różą, którą potem wychwalała pod niebiosa, ale przez następną godzinę gawędziła na różne, zdecydowanie bardziej neutralne tematy.

Rozpamiętując rozmowę z Ostrowską, nie od razu spostrzegła, że widok za oknem kolejki zaczął się zmieniać, pola i łąki ustąpiły miejsca zwartej zabudowie. Oznaczało to, że najpóźniej za kilkanaście minut dojadą do centrum Warszawy. Tymczasem kolejka zatrzymała się na stacji. Warszawa Raków – przeczytała Weronika. To tutaj ciotka Rozalia całymi latami przyjeżdżała do pracy w przychodni lekarskiej, którą tak dobrze wspominała. Nie tylko dlatego, że lubiła przebywać wśród ludzi, a gwar i tłok, nieodłącznie związane z placówką medyczną, nigdy jej nie stresowały i nie przerażały.

Właśnie w tej przychodni poznała Jerzego Ostrowskiego, swojego późniejszego męża. A to wspomnienie sprawiło, że wreszcie jakby się przemogła i zaczęła mówić więcej nie tylko o sobie, ale i o reszcie rodziny. Więcej, to znaczy tyle, ile uznała za wskazane, czy raczej możliwe, do odkrycia.

– Przekroczyłam już trzydzistkę, w tamtych czasach wiek niemal staropanieński – wyjaśniła z uśmiechem, nawiązując do okoliczności swojego zamążpójścia. – Moja mama załamywała nade mną ręce. Byłam jedynaczką, a ona, wiadomo, marzyła o dobrej partii dla mnie i o wnukach. Drażniło mnie to, bo w przeciwieństwie do niej twardo stąpałam po ziemi. Mama do końca życia nie wyzbyła się sposobu bycia i myślenia wyuczonego jeszcze przed wojną, czyli w czasach, gdy była żoną wysoko postawionego urzędnika bankowego, co w tamtych warunkach oznaczało wygodny dom i służbę. Tak właśnie było – z obu braci Reczyńskich to mój ojciec uważany był za bardziej przedsiębiorczego i zaradnego od twojego dziadka, który skądinąd przecież także osiągnął sukces jako znakomity lekarz. Stryj nie mógł narzekać na brak pacjentów i z pewnością dobrze

sobie radził pod względem finansowym, ale już jego sprawy prywatne wywoływały w towarzystwie całą lawinę komentarzy. Chodziło o jego małżeństwo. Rozstał się z żoną i zamieszkał z młodą dziewczyną, którą poślubił dopiero po śmierci Konstancji. Słyszałaś o tym? – Zerknęła na Weronikę, jakby się zastanawiała, ile może jej zdradzić.

W odpowiedzi Weronika przytaknęła na znak, że zna tę historię, zapoznał ją z nią nie kto inny, jak ojciec, potem jednak żałowała, że nie zaprzeczyła. Kto wie, może ciotka przedstawiłaby jej nieco inną wersję zdarzeń, może by dopowiedziała coś, o czym Jan Reczyński zapomniał lub nie zamierzał wspominać? Tak czy owak, było już za późno na podobne rozważania, szybko też nabrała nadziei, że być może Ostrowska zacznie wreszcie mówić o tym, co ją, Weronikę, od początku najbardziej intrygowało. Ciotkę jednak najwyraźniej pochłonęły inne wspomnienia i nie pozostawało nic innego, jak cierpliwie jej wysłuchać.

– To właśnie przez ten skandal z romansem mojego stryja matka przestała go odwiedzać – kontynuowała pogodnie, a na jej twarzy ukazał się lekki, trochę pobłażliwy uśmiech. – Oznajmiła, że nie przestąpi progu tej jaskini rozpusty, jaką stało się mieszkanie szwagra, odkąd wyniosła się stamtąd jego prawowita małżonka, a jej miejsce zastąpiła kochanka. Matka nie chciała też z nikim rozmawiać o Wandzi, która była owocem tego związku, a gdy ktoś zagadał na ten temat, natychmiast lodowato odpowiadała, że z tego, co ona wie, jedynym dzieckiem jej szwagra jest Jaś, czyli twój ojciec. Dopiero gdy stryj poślubił swoją kochankę, milcząco uznała, że jego druga żona i córka są częścią rodziny, choć nigdy nie przestała traktować ich z lodowatym dystansem. Dlatego i ja nie zaprzyjaźniłam się z kuzynką, po prostu przez całe lata musiałam być posłuszna matce, która sobie nie życzyła bliższych kontaktów między nami

dwiema. A potem, gdy obie dorosłyśmy, już chyba było za późno, by spróbować to naprawić. Zwłaszcza że w końcu i tak opuściła kraj.

– Twój ojciec także nie utrzymywał wcześniej kontaktów ze swoim bratem? – spytała Weronika.

Wbrew wcześniejszym obawom, wspomnienia ciotki zaczęły ją jednak wciągać. A poza tym zorientowała się, że miała szanse uzupełnić luki, które pozostawiła po sobie niedokończona opowieść ojca. Na szczęście miała dziś na to czas. Po raz kolejny tego dnia poczuła zadowolenie, że zgodziła się, aby to Jarek zaopiekował się dzisiaj chłopcami. Na ogół sprzeciwiała się, aby takie sytuacje miały miejsce w dni powszednie. Dzieci po spotkaniu z ojcem, co także nierzadko oznaczało wizytę u dziadków Piontkowskich, były potem rozkojarzone i z trudem mogła zapędzić je do łóżek. A bywało, że nie miały jeszcze odrobionych lekcji, bo oczywiście Jarek wolał spędzić z nimi czas na innych rozrywkach. Dziś jednak była skłonna przejść nad tym do porządku dziennego. Nawet jeśli chłopcy znowu skutecznie wmówią ojcu, że nie mają zadanej pracy domowej, wyjątkowo nie miała zamiaru kruszyć o to kopii. Grunt, że zyskała cały dzień dla siebie i czuła, że robi z tego dobry użytek.

– Mój ojciec nigdy zupełnie nie zerwał kontaktów z bratem, choć z tego, co mi wiadomo, niezbyt często się widywali – odparła Rozalia, odnosząc się do wcześniejszego pytania bratanicy. – Ale rzadko zabierał mnie ze sobą na te spotkania. Zaczął to zresztą robić dopiero wtedy, gdy stryj wreszcie zalegalizował swój związek z matką Wandy. Wcześniej moja matka stanowczo się temu sprzeciwiała, a ojciec prawie we wszystkim jej ustępował. W pracy, w prowadzeniu interesów zadziwiał wszystkich energią, pomysłowością i stanowczością. W domu oddał całą władzę żonie. – Nagle Rozalia się uśmiechnęła, jakby z satysfakcją. – A jednak los okazał się złośliwy dla mojej biednej mamy. Choć pewnie niejednen

nazwałby to sprawiedliwością. Bo Wanda wyrosła na piękną dziewczynę i chyba nie było chłopaka, który by się za nią nie odwrócił, gdy tymczasem ja... Szkoda nawet gadać.

– Na pewno przesadzasz – wtrąciła przymilnie Weronika.

– Nie przesadzam. Pokazałabym ci zdjęcia, ale musiałabym ich poszukać, gdzieś leżą, nie pamiętam gdzie. Pewnie na strychu; kilka lat temu tam właśnie wynieśliśmy z Jerzym mnóstwo różnych starych skrzyń i innych szpargałów. Dawno już do nich nie zaglądałam. Ale mogę cię zapewnić, że moja matka nie mogła pogodzić się z faktem, że jej jedynaczka nie grzeszyła urodą. Uważała to za złośliwość losu. Pocieszała się tylko tym, że jako posażna panna i tak miałam większe szanse na zrobienie dobrej partii niż mniej zamożne ślicznotki, na przykład Wandzia. Bo choć, jak już mówiłam, stryj był rozchwytywanym lekarzem, to jednak pod względem zarobków nie mógł się równać z moim ojcem. Lecz złośliwy los znowu pokrzyżował plany mojej mamy. Wybuchła wojna i zmiotła cały nasz świat z powierzchni ziemi. A przynajmniej jej świat. Rodzice stracili wszystko. Wszystkie pieniądze, aktywa, wreszcie eleganckie mieszkanie na Mokotowie, które w czasie powstania wyleciało w powietrze razem z całą kamienicą i sąsiednimi domami. Zostaliśmy z niczym. Ojciec po wojnie jakimś cudem dostał pracę na poczcie, w Radzyminie. Tam też znaleźliśmy dach nad głową. Pokój z kuchnią w starej, czynszowej kamienicy, z kibelkiem i studnią na podwórzu. A matka zachowywała się tak, jakby w ogóle nie przyjęła tego do wiadomości. Albo traktowała nową rzeczywistość jako przejściową niedogodność, jakby wciąż jakimś cudem żyła w świecie, który przeminął. I dopiero śmierć mojego ojca otworzyła jej oczy. Widziałam po niej, jak paskudne to było przebudzenie.

Ojciec Rozalii, Hipolit Reczyński, zmarł w czterdziestym dziewiątym roku. Zdaniem córki niewykluczone, że śmierć okazała się w jego

przypadku czymś w rodzaju wybawienia. Przyszła niemal w ostatnim momencie, to znaczy zanim Urząd Bezpieczeństwa na dobre się do niego dobrał. Stalinizm i terror pokazały wtedy apogeum swoich możliwości i tak miało pozostać przez kolejnych kilka lat. Dawny wysoki urzędnik przedwojennego Banku Kredytowego, któremu początkowo pozwolono żyć we względnym spokoju – oczywiście nie licząc całkowitego społecznego zdegradowania – od czasu wyborczego zwycięstwa komunistów w czterdziestym siódmym roku był już poddawany coraz bardziej dotkliwym szykanom. Po wyborach, nie bez powodu nazywanych „cudem nad urną”, kilkakrotnie wzywano go na „rozmowy” i za każdym razem na wszelki wypadek żegnał się z żoną i córką, jakby w przeczuciu, że może wrócić nieprędko. Jednak wracał, choć coraz bardziej przygnębiony i wystraszony. Trzy miesiące przed śmiercią dostał wypowiedzenie na poczcie, dosłownie z dnia na dzień, i choć początkowo robił, co mógł, aby znaleźć nową posadę, starania te spełzły na niczym. A przecież podczas tych poszukiwań bynajmniej nie wybrzydzał, bo gdy zorientował się, że pomimo wysokich kwalifikacji nie zostanie przyjęty do żadnej pracy w biurze ani w urzędzie, był gotów podjąć się jakiegokolwiek zajęcia. Pytał w magazynach, sklepach, w warsztatach, gdzie się tylko dało, lecz bezskutecznie. O tym, aby także i jego żona zaczęła szukać posady, nikt nawet nie myślał. Nigdy nie pracowała zawodowo, jej wiedza i umiejętności, które względnie dobrze sprawdzały się w ich przedwojennym warszawskim salonie, teraz były do niczego nieprzydatne. A poza tym ona sama w ogóle nie brała pod uwagę, by miała przez długie godziny wypełniać czyjeś polecenia. Jej mąż i córka także sobie tego nie wyobrażali. Nie przestawała za to lamentować, gdy za szukanie pracy wzięła się z kolei Rozalia.

– Zniszczysz ręce i cerę, stracisz wdzięk, staniesz się gruboskórna, jak te wszystkie straszne kobiety wokół nas – biadoliła. – Kto cię wówczas weźmie za żonę?

Rozalia była niemal pewna, że matka była zadowolona, gdy i ona przez długi czas nie mogła znaleźć żadnej posady. Ojca te jej nieudane próby wcale nie dziwiły.

– Ubecja ma długie ręce, moje dziecko – kiwał ze smutkiem głową. – Chcą zniszczyć nas wszystkich.

Niedoczekanie, pomyślała wtedy ze złością. Serce jej pękało, gdy widziała, jak ojciec niemal niął w oczach. W niczym nie przypominał nie tylko dawnego, wpływowego bankowca, ale nawet pełnego energii, galanterii, lubianego przez wszystkich, urzędnika podrzędnej poczty. Wychudły, posiwiasty, drżał na odgłos każdego zatrzymującego się przy kamienicy samochodu, energicznych kroków na podwórzu, korytarzu, na odgłos każdego zdecydowanego pukania do drzwi. Stale trzęsły mu się ręce, a coraz skromniejsze posiłki, które przygotowywała córka, oddawał jej niemal nietknięte.

– Nie mogę jeść – tłumaczył łagodnie. – Nic mi nie chce przejść przez gardło.

– Wiem, że nie umiem gotować – żartowała, choć gardło jej się ścisnęło od z trudem powstrzymanego szlochu. – Ale się nauczę. Obiecuję, tatusiu.

Wtedy próbował, zjadał kilka łyżek chudej, bezmięsnej zupy albo ziemniaków, które okoliczni gospodarze pozwalali jej wziąć do domu w zamian za pomoc w wykopkach i innych pracach polowych.

– Tyle mi wystarczy – tłumaczył. – Jestem już stary, nie mam takiego apetytu jak młodzi. Ty za mnie dokończ, córucho.

Nie mogli liczyć na pomoc rodziny, bowiem brat i bratowa ojca zostali zabici podczas powstania w Warszawie. Niemcy rozstrzelali ich wraz z mieszkańcami całej kamienicy, których wyciągnęli z piwnicy. Wandzia nie podzieliła losu rodziców tylko dlatego, że jako sanitariuszka niemal nie opuszczała szpitala, w którym całymi dniami i nocami pracowała. Natomiast Jan od kilku lat mieszkał z rodziną w domu w Bożanowie, który współdziedziczył ze starą ciotką swojej matki. Nie nacieszył się nim zresztą jako samodzielny właściciel – wkrótce po śmierci krewnej stracił wszystko na mocy dekretu o nacjonalizacji majątków ziemskich, wydanego przez komunistyczną władzę. Nie załamał się, wziął się w garść, miał już przecież własną rodzinę. Znalazł pracę, skończył studia, stanął jakoś na nogi. Wanda także kończyła przerwana przed wojną edukację, zresztą mieszkała osobno, nie chciała siedzieć bratu i bratowej na karku.

– W dodatku, podobnie jak ja i moi rodzice, oni także musieli stale mieć się na baczności – podkreśliła Ostrowska. – Mieli tak zwane niewłaściwe pochodzenie, koligacje rodzinne nie takie, jakie wypadało mieć w tamtych koszmarnych czasach. Jeśli chcieli utrzymać się na powierzchni, skończyć studia i do czegoś dojść, musieli być ostrożni, nie rzucać się w oczy. Nie brakowało przecież takich, których za podobne „przewinienia” wyrzucano z uczelni i pozbawiano wszelkich perspektyw. A mogło być jeszcze gorzej.

Rzeczywiście, muszę jednak spytać ojca, jakim cudem nikt się wtedy do niego ani do jego siostry nie przyczepił, pomyślała Weronika. Tyle chyba mi opowie.

I zaraz uprzytomniła sobie, że także jej matka skończyła w tym samym okresie studia. Gwoli ścisłości, prawie w tym samym. Najpierw musiała odchowić dwoje malutkich dzieci. Weronika, która także godziła kiedyś studia z opieką nad dziećmi, doskonale rozumiała, jakim musiało to być dla matki wyzwaniem. Czemu nigdy nie opowiadali z ojcem o tamtych

czasach, o problemach, jakim musieli stawić czoło? Zawsze starannie omijali ten temat, a przecież nie mieli się czego wstydzić.

– W końcu znalazłam pracę – kontynuowała Ostrowska. – W tej przychodni w Rakowie, kawał drogi od domu. Z Radzimina na drugą stronę Warszawy jechałam z kilkoma przesiadkami, toteż w najlepszym razie, jeśli zdążyłam na wszystkie połączenia albo żaden pociąg lub autobus się nie spóźnił, zajmowało mi to dwie i pół godziny. Ale nie narzekałam, grunt, że regularnie dostawałam, wprawdzie nie za duże, ale jednak jakieś, wynagrodzenie. Marzyłam, że jeśli uda mi się coś odłożyć, kupię rodzicom prezenty na najbliższą Gwiazdkę. Ale nie zdążyłam. W listopadzie, dwa miesiące potem, jak zaczęłam pracować, ojciec dostał zawału i zmarł. Zanim do tego doszło, od kilku tygodni miał – jak twierdził – złe przecucia. Prawie przestał wychodzić z domu, za to niemal cały czas spędzał przy oknie. Próbowałam go uspokoić. „Dali ci już spokój, ojcie” – przekonywałam. – „Od czterech tygodni nie wzywali cię na rozmowy. Opuścili, czasami odpuszczają”.

W odpowiedzi pokręcił głową.

– Mnie nie odpuszczają, córucho. Nie wierzę w to.

– Ale przecież... – Nie wiedziała czemu, ale poczuła ciarki na całym ciele. – Skoro od tygodni cię nie wzywają...

Serce niemal w niej zamierało, gdy widziała rezygnację w oczach ojca.

– To oznacza, że sami wkrótce po mnie przyjadą – odparł, wzruszając ramionami. – Może dzisiaj, może za kilka dni. Na pewno niedługo.

– Mówisz tak, jakbyś nie mógł się doczekać – próbowała żartować, choć zdawała sobie sprawę, że powiedziała coś zupełnie bez sensu. Ale czy w takich chwilach, gdy serce podchodzi do gardła, człowiek jest w stanie powiedzieć cokolwiek mądrego? Ona w każdym razie tego nie potrafiła.

– Widzę ich codziennie – szepnął.

Przerażona Rozalia zrozumiała, że nie chciał, aby drzemiąca w drugim końcu pokoju żona usłyszała jego słowa.

– Kręcą się tutaj, koło naszego domu.

– Niemożliwe... – Próbowwała się roześmiać, ale gardło miała zupełnie suche. – Myślisz, że gdyby naprawdę tak było, pozwoliliby, abyś ich rozpoznał?

– O to im właśnie chodzi. – Ponownie wzruszył ramionami, jak człowiek, który zaprzestał walki i czeka na ostateczną klęskę.

Dwa dni później stracił przytomność i już jej nie odzyskał.

Śmierć męża podziałała na matkę Rozalii niczym kubeł lodowatej wody. Przebudzenie okazało się dla niej wstrząsem wyjątkowo bolesnym pod każdym możliwym względem. Wreszcie pojęła, że jej pozycja nie tylko nie różni się od pozycji innych mieszkańców tej odrapanej, brudnej kamienicy, ale nigdy już nie będzie taka jak przedtem. Zrozumiała coś jeszcze – że jej córka nigdy już nie będzie dobrą partią, jaką była przed wojną, a ponieważ, zdaniem matki, nie miała innych atutów, aby zwrócić na siebie uwagę jakiegokolwiek mężczyzny, najprawdopodobniej była skazana na zostanie starą panną, w przyszłości samą jak palec na tym podłym świecie.

– Nic tak skutecznie nie zabija jak utrata nadziei – westchnęła Ostrowska. – Matka się załamała. Straciła wiarę w sens życia. Nie chciała słyszeć moich zapewnień, że dam sobie radę w życiu. Bo to nieprawda, że nieładna, niezamożna kobieta jest z góry skazana na klęskę. Wręcz przeciwnie – także i ona może znaleźć swoje szczęście. Ale nie zdołałam jej tego wytłumaczyć. Zmarła rok po moim ojcu, ja zaś siedem lat później poznałam Jerzego. I tak, zupełnie niespodziewanie, rozpoczęło się dla mnie nowe życie. To kolejny dowód, że nigdy do końca nie wiemy, jaką

niespodziankę szykuje nam los. W moim przypadku okazał się wyjątkowo łaskawy.

Wyszędłszy z kolejki na Dworcu Centralnym, Weronika sięgnęła do torby i wyjęła stamtąd kopertę ze zdjęciem, którą na pożegnanie podarowała jej ciotka. Czarno-biała fotografia przedstawiała dwoje ludzi na tle drzew i kwiatów w ogrodzie. Oboje uśmiechnięci, trzymali się za ręce. Kobieta nie pierwszej młodości, w szarej jesionce i burym berecie na głowie, oraz dwadzieścia lat starszy od niej jowialny mężczyzna. W momencie gdy się poznali, Jerzy od kilku lat był wdowcem. Nie żyła już także jego córka, dlatego, podobnie jak Rozalia, nie oczekiwał już od życia fajerwerków. Ukojenia i zadowolenia szukał w pracy zawodowej – był archiwistą. Tymczasem, jak się miało okazać, po latach jakiejś takiej stabilizacji, pogodzenia się z wyrokami losu, bez żadnych wcześniejszych znaków i zapowiedzi, oboje odkryli, że tak naprawdę wszystko, co najlepsze, jest jeszcze przed nimi.

Nie byli tak zwanym małżeństwem z rozsądku. Tak w każdym razie utrzymywała Ostrowska, a Weronika od razu jej uwierzyła. W tonie głosu ciotki, gdy wspominała męża, można było bez trudu usłyszeć wzruszenie i wychwycić uczucie, które najwyraźniej nie mijało, choć od kilku lat była już wdową. Oczywiście oboje zdawali sobie sprawę, że plotkowano na ich temat. Mało kto wierzył, że pobrali się z miłości. Przeważnie ludzie i tak wierzą w to, w co chcą uwierzyć. Zwłaszcza w Rozalii z początku upatrywali spryrciary, która przybyła znikąd i złapała właściciela pięknej posesji w Komorowie. Oczywiście dziwiono się też Jerzemu, że dał się złapać takiej nijakiej babie. Bo co innego, gdyby omotała go jakaś ślicznotka. Ale potem dano temu spokój, wszyscy wokół jakoś przetrawili

ten fakt, przyzwyczaili się, zajęli własnymi sprawami. A niewykluczone, że w końcu zobaczyli to, co dla Rozalii i Jerzego od początku było jasne jak słońce – że każde z nich znalazło dla siebie drugą, idealnie pasującą połowę.

– Nie każda, nawet najpiękniejsza, kobieta może liczyć w życiu na takie szczęście – podsumowała z nostalgią w głosie Ostrowska. – A mnie się udało.

Ciotka Rozalia wcale nie była brzydką kobietą, stwierdziła po raz kolejny Weronika, gdy po powrocie do domu raz jeszcze przyjrzała się fotografii. Nadal ma w sobie to coś, czego na ogół trudno się doszukać u klasycznych piękności. Jest ciepłą i czarującą osobą, a do tego pod wieloma względami spełnioną kobietą. I to widać na jej twarzy, to dodaje urody, upływ czasu nie ma tu żadnego znaczenia. Może dlatego, że dane jej jednak było zaznać szczęścia, o którym wspomniała.

Patrząc na zdjęcie dwojga niemłodych już, lecz wciąż wpatrzonych w siebie ludzi, Weronika poczuła ukłucie w sercu. Co to było? Zazdrość? Żal? Świadomość własnej przegranej, własnego niezadowolenia z życia czy też, mówiąc wprost, niespełnienia? Pewnie wszystkiego po trochu, może nawet nie tylko po trochu.

I nagle, zanim zdążyła temu zapobiec, przyszło jej do głowy, że przecież ona także, przed laty, zaznała szczęścia, o którym mówiła ciotka. Tak, to było dokładnie to samo, mogłaby użyć tych samych słów. A co stało się potem? Dobrze wiedziała. A dlaczego tak się stało? Bo tamta miłość okazała się pomyłką i nie wytrzymała zderzenia z codziennością, z tak zwanym zwykłym życiem? Tak właśnie do tej pory uważała. A może jednak było inaczej? Może to ona przeoczyła coś ważnego?

Rozdział 16

Rozalia Ostrowska odprowadziła wzrokiem odjeżdżający skład, a gdy ostatni wagon zniknął na horyzoncie, westchnęła i ruszyła w drogę powrotną do domu. Postanowiła, że pójdzie z Weroniką na stację, pomimo jej zapewnień, że z pewnością trafi na miejsce.

Chciała jednak jak najdłużej przebywać w towarzystwie tej dziewczyny. Cały czas tak ją zresztą w myślach nazywała. Dziewczyną. Choć przecież zdawała sobie sprawę, że miała już do czynienia z kobietą po trzydziestce, która dźwigała własny bagaż życiowych doświadczeń. Smutnych, jak się okazało. W oczach Ostrowskiej to jednak wciąż była dziewczyna, którą zapamiętała przed laty i która już jako dziecko wzbudzała jej sympatię. Choć przecież rodzinne kontakty już wtedy, w przeszłości, nie należały do szczególnie zażyłych. I oto nagle, bez żadnej zapowiedzi, gdy Ostrowska już nawet przestała myśleć o kuzynach, zobaczyła przy swojej furtce córkę Janka Reczyńskiego. Jego oczko w głowie, największą miłość jego życia. O ile – w ogóle – nie jedyną miłość.

W pierwszej chwili Rozalia nie rozpoznała kobiety przy furtce. Pomyślała, że to jakaś pomyłka albo ktoś zabłądził i chce zapytać o drogę. Czasem wpadała do niej ta czy inna sąsiadka na babskie pogaduchy, czasem sąsiad, gdy potrzebowała męskiej pomocy przy najrozmaitszych usterkach w domu lub na działce. Nikt inny od dawna jej już nie odwiedzał, a ta

kobieta wyglądała na przyjezdną. Tyle że niemal od razu, jeszcze zanim Ostrowska podeszła bliżej, aby się jej lepiej przyjrzeć, nie mogła oprzeć się jakiemuś irracjonalnemu wewnętrznemu przekonaniu, że nie jest to obca osoba. Gdy wreszcie znalazła się na tyle blisko, aby dokładniej się jej przyjrzeć, w pierwszej chwili niemal osłupiała. Niewiele brakowało, a wyszeptaby: „Wandzia?”, bowiem na pierwszy rzut oka podobieństwo do stryjecznej siostry wydało jej się uderzające. Można było odnieść wrażenie, że czas się cofnął.

Wtedy także Rozalia została zaskoczona odwiedzinami. To było kilkanaście miesięcy po śmierci matki, w pięćdziesiątym pierwszym roku, gdy miała poczucie, że została sama na świecie. Była pewna, że samotnie spędzi kolejną smutną niedzielę, jakże się więc ożywiła, usłyszawszy pukanie do drzwi. A potem osłupiała na widok stryjecznej siostry. Po pierwsze, zdumiewający był sam fakt, że Wanda w ogóle przyjechała do jej domu, do Radzymina, nigdy przecież nie były związane ze sobą na tyle, by wpadać jedna do drugiej bez zapowiedzi, jak robią to przyjaciółki. A po drugie, gdy Wanda oznajmiła przyczynę niespodziewanej wizyty: poinformowała o swoim ślubie, na który nie zaprosiła nikogo z rodziny, a także o rychłym już wyjeździe do Paryża.

– Chcę, abyś wiedziała, że nie chowam do ciebie żadnej urazy – oświadczyła. – Nie zaprosiłam cię na ślub, bo potem Janek robiłby ci o to różne krzywości. I ona także – dodała, a Rozalia bez trudu odgadła, że kuzynka miała na myśli swoją bratową.

– I tak prawie ich nie widuję – zachnęła się w odpowiedzi Rozalia, z trudem powstrzymując się, aby nie dodać: Ciebie zresztą także.

Wanda również zostawiła jej słowa bez komentarza, obie doskonale wiedziały, w czym rzecz i jaka jest tej rzeczy przyczyna. Wanda powiedziała jednak coś, co na resztę życia miało zapaść w serce kuzynki.

Powiedziała, że żałuje, że tak się ułożyły stosunki między nimi dwiema. Wielka szkoda, że ich rodzice inaczej nie pokierowali sprawami rodziny, że nie ułożyli wzajemnych relacji w taki sposób, by one, bliskie przecież kuzynki, miały ze sobą lepszy kontakt.

– To była robota mojej matki, wyłącznie jej wina – odparła wtedy z goryczą Rozalia. – Pozostali mieli dobre intencje.

– I na tych intencjach się skończyło – prychnęła wtedy z rozdrażnieniem Wanda. – Nie mam zamiaru ich usprawiedliwiać i ty także tego nie rób. Byli dorośli, mogli postawić sprawę jasno, mogli się sprzeciwić kaprysom twojej matki, a wtedy musiałyby im ustąpić. Dlatego ja mam zdecydowanie większy żal do twojego i mojego ojca. Byli przecież rodzonymi braćmi, a pozwolili na to wszystko. Potłukło to naszą rodzinę tak, że już nie potrafimy się pozbierać i skleić tych skorup.

Masz rację, pomyślała wtedy ze smutkiem Rozalia. Może to zresztą nie tylko ich wina? Może także nasza: moja, twoja, Jasia? A teraz wbrew niemu wyszłaś za mąż za tego włoskiego pracownika naukowego. Świadkami ceremonii byli obcy ludzie. I wyjeżdżasz. To jeszcze bardziej nas wszystkich podzieli, być może już bezpowrotnie.

Nie mogła się powstrzymać, aby nie powiedzieć tego na głos.

– Na pewno – odparła twardym tonem Wanda. Po czym, jakby przełamując jakiś wewnętrzny opór, opowiedziała, dlaczego zdecydowała się zerwać stosunki z bratem i bratową.

– Lepiej, abyś dowiedziała się o tym ode mnie – dodała, a Rozalia omal nie odpowiedziała pełnym goryczy śmiechem. Że niby od kogo miałyby się dowiedzieć o tej sprawie? Od Janka? Od jego żony? Czasami miała wrażenie, jakby dzielił ją od nich Pacyfik. A potem zrozumiała, że po tym, czego właśnie dowiedziała się od Wandy, to już nie będzie Pacyfik, lecz bez mała cały kosmos. Niemniej poczuła się poruszona faktem, że kuzynka

potraktowała ją jak kogoś bardzo sobie bliskiego. Czy uczyniłaby takie wyznanie przed obcą osobą?

– Marzę już tylko o tym, by zostawić to wszystko za sobą, rzucić ich wszystkich w diabły i wyjechać stąd na zawsze – dodała z goryczą Wanda.

– I dlatego postanowiłaś wyjść za mąż za cudzoziemca? – spytała nieśmiało Rozalia. – Tylko dlatego?

Mimo wszystko uważała to za wyrachowanie. Dlatego odetchnęła z ulgą, gdy Wanda, posławszy jej krótkie spojrzenie z ukosa, odparła, że nie tylko. Że Paolo Bellodi naprawdę jest ważną osobą w jej życiu.

– Wobec tego życzę ci szczęścia, siostrzyczko – rzekła na pożegnanie Rozalia.

Uścisnęły się wtedy po raz pierwszy, a zarazem – jak się miało okazać – po raz ostatni w życiu.

– Myślę, że tak będzie – odpowiedziała Wanda tonem znacznie pogodniejszym niż poprzednio. – Mój mąż jest dobrym człowiekiem. Szkoda, że zabrakło czasu, abyś go poznała.

Potem ani razu, w żadnym z listów, nie poruszyły już tamtej sprawy, w którą przed wyjazdem wtajemniczyła kuzynkę Wanda, nie nawiązały do niej nawet jedną aluzją. Nie ulegało za to wątpliwości, że faktycznie była szczęśliwa z Bellodim, a gdy owdowiała, szczerze opłakiwała swojego włoskiego męża. Podobnie jak szczerze współczuła Rozalii, gdy i ta po śmierci Jerzego została sama.

Wszystkie te wspomnienia, każde usłyszane i napisane przez Wandę słowo, na nowo odezwały się w głowie i sercu Rozalii, gdy tylko zobaczyła u furtki kobietę, tak bardzo podobną do kuzynki. Ale odkrycie, że była ona córką Janka, wstrząsnęło Rozalią do głębi. Nie skłamała, gdy po chwili zaskoczenia objęła Weronikę i oświadczyła, że czekała na nią od lat i ogromnie się cieszy, że wreszcie ją widzi. Zarazem jednak nie miała

wątpliwości, że wizyta młodej kobiety kryje w sobie drugie dno. Weronika nie przyjechała do Komorowa tak zupełnie bez powodu, zresztą nie próbowała jej wmawiać, że nagle tak bardzo zatęskniła za dawno niewidzianą ciotką. Przecież nawet przed laty, gdy jeszcze od wielkiego dzwonu się spotykały, traktowała Rozalię raczej obojętnie. Było zatem oczywiste, że w rodzinie wydarzyło się ostatnio coś ważnego. Rozalia w pierwszej chwili spodziewała się nawet wiadomości o czymś pogrzebie – stąd jej pytanie o Janka i jego żonę. I dopiero po zapewnieniu Weroniki, że z rodzicami wszystko w porządku, Rozalia doznała olśnienia. Musiało zatem chodzić o Wandę, nie było co do tego wątpliwości. Czekala tylko, kiedy bratanica zacznie zadawać pytania o ciotkę. I oczywiście nie pomyliła się w przewidywaniach.

Patrząc na nią, Rozalia z trudem panowała nad wzruszeniem. Nie tylko dlatego, że jej obecność przypominała o czasach, gdy rodzina jako tako jeszcze trzymała się razem. Także dlatego, że dostrzegała w jej wyglądzie coraz więcej cech przypominających Wandę. Lecz nie tylko o to chodziło. Także o pytania dotyczące rodzinnej przeszłości. Kiedy po raz ostatni Ostrowska miała okazję, by porozmawiać z kimś o swoich bliskich, którzy odeszli na wieczne spoczywanie, o których nikt oprócz niej już nie pamiętał? I o latach swojego dzieciństwa, a potem młodości, która upłynęła w trudnych okupacyjnych i powojennych czasach? Już dawno oswoiła się z przygnębiającą myślą, że nie ma nikogo, kto zechciałby jej posłuchać i komu mogłaby powierzyć pamięć o ludziach i ich losach w tamtych ponurych latach. Po jej śmierci nikt już ich nawet nie wspomni. I choć starała się nie dopuszczać do siebie podobnych refleksji, bo przecież nie znajdowała na nie rady, one uparcie co jakiś czas wracały. Dlatego, gdy wreszcie doczekała się kogoś, kto chciał z nią o tym rozmawiać, w dodatku

osoby z nią spokrewnionej i dawno niewidzianej, nie mogła zmarnować takiej okazji.

Dobrze, postanowiła w duchu, opowiem jej o naszej rodzinie. O tych ludziach, o których nikt inny nie opowie. A nawet to i owo o Wandzie, bo wiem, że głównie ona ją interesuje. Z jednym wszakże wyjątkiem – nie wyjawię najważniejszej przyczyny, dla której zerwała kontakty ze wszystkimi krewnymi, a tylko dla mnie zrobiła wyjątek. Przecież dała mi jasno do zrozumienia, że nie chce już bardziej rozgrzebywać tej sprawy. Być może nie chciała jej wszystkim dookoła rozgłaszać właśnie ze względu na swoich bratanków.

Rozalia widziała, że Weroniki nie zadowolily jej oględne odpowiedzi na temat okoliczności wyjazdu Wandy, ale nie zmieniła zdania.

Podziękowałabyś mi, gdybyś wiedziała, co przed tobą zatajam, pomyślała. Miała jednak nadzieję, że dzisiejsza wizyta bratanicy nie okaże się ostatnią.

Gdy już na stacji czekały na przyjazd kolejki, Ostrowska raz jeszcze ponowiła propozycję kolejnych odwiedzin w Komorowie.

– Dziękuję – odparła Weronika, uśmiechając się grzecznie, a był to ten sam uśmiech, co przed laty. – Przyjadę razem z Oskarem, on także chciałby odwiedzić ciocię. I – zawahała się – przywiozę moich synów, jeśli ciocia pozwoli.

– Oczywiście, nie mogę się doczekać – odparła ponownie wzruszona Rozalia i pogłaskała bratanicę po ramieniu.

Patrząc na nią, znowu przypomniała sobie dawny sentyment, jakim darzyła Weronikę, gdy ta była jeszcze dziewczynką, a potem dorastającą panienką. Miłym, grzecznym dzieckiem, które mogło stanowić książkowy przykład dobrego wychowania. Niepytana, nie zabierała głosu, nie pyskowała, nie wyklócała się o swoje. Jednak potem, w miarę jak dorastała,

te uroczę w przypadku dziecka cechy niekiedy budziły zdumienie, czasem rozbawienie. Kilkunastoletni, śliczny podłotek wciąż zachowywał się jak posłuszne dziecko, które nie tylko robiło wszystko, by spełnić oczekiwania rodziców, i nie tylko nigdy się nie buntowało, nie domagało się większej swobody, ale wręcz uważało ojca i matkę za swoje najlepsze towarzystwo, równocześnie nie odczuwając naturalnej przecież dla nastolatków potrzeby kontaktów z rówieśnikami.

Spostrzeżenia te zdumiewały zresztą nie tylko Ostrowską, lecz wszystkich wokół. Tym bardziej że dwa lata młodszy Oskar stanowił pod każdym względem przeciwieństwo siostry. „Ta dziewczyna nigdy nie stanie na własnych nogach” – czasem tu i ówdzie dało się słyszeć takie uwagi. Rozalia w duchu podzielała te opinie. Nie wierzyła, by Weronika za przykładem Oskara zdecydowała się kiedykolwiek opuścić rodzinny dom, choćby po to, aby pójść na studia. Dlatego, gdy przypadkiem, podczas jakiejś uroczystości rodzinnej (wtedy jeszcze niekiedy się na nich pojawiała) usłyszała, że dziewczyna myśli o romanistyce, w pierwszej chwili nie wierzyła własnym uszom. Zwłaszcza że romanistykę studiowała także Wanda. Nawet wspomniała o tym na głos, czego natychmiast pożałowała, spostrzegłszy wyraz niezadowolenia na twarzy brata i bratowej. Weronika jednak postawiła na swoim i ku zdumieniu wszystkich, w tym także Rozalii, wyjechała na studia do Warszawy.

Wtedy też Ostrowska straciła ją na pewien czas z oczu, a zobaczyła dopiero, gdy przyjechała na jej ślub. Nie wzięła jednak udziału w przyjęciu weselnym ze względu na chorego męża, który został w domu, szybko się zresztą zorientowała, że nawet gdyby nie pojawiła się na ceremonii w kościele, nie zrobiłoby to żadnego wrażenia ani na pannie młodej, ani na jej rodzicach. Na dobrą sprawę zaledwie ją tam zauważono. Być może w innych okolicznościach poczułaby się dotknięta, a przynajmniej

sprawiłoby jej to przykrość, ale w tym czasie tak bardzo niepokoił ją pogarszający się stan zdrowia Jurka, że nic innego nie mogło jej zmartwić ani dotknąć. Zapamiętała jednak, że Weronika wyglądała na zakochaną i szczęśliwą, toteż z całego serca życzyła jej, aby tak już miało pozostać na długie lata. Zwłaszcza że pan młody zrobił na Ostrowskiej bardzo dobre wrażenie. Tym lepsze, że znając się na ludziach, od razu odgadła, że pod wieloma względami różnił się od rodziców swojej młodej żony. Dla Weroniki związek z tym człowiekiem mógł być szansą na wydoroslenie, a tym samym na emocjonalne uniezależnienie się od rodzinnego domu. Nawet jeśli zawierała małżeństwo w tak młodym wieku; Rozalia domyślała się, że ślub był przyspieszony z bardzo konkretnego powodu. Toteż, gdy podczas dzisiejszej rozmowy spytała o Jarka, zmartwiła się, usłyszawszy o rozwodzie.

– O... Bardzo mi przykro, kochanie.

– Bywa. – Młoda kobieta w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

Nonszalancja wyrażona tym gestem jeszcze bardziej przygnębiła ciotkę. Ostrowska wprawdzie zdawała sobie sprawę, że czasy pod wieloma względami niestety się zmieniły i młodzi dość fraszobliwie podchodzili do wielu ważnych spraw, w tym do małżeńskiej przysięgi, niemniej akurat Weronika nie pasowała do tego schematu. To znaczy ta Weronika, którą zapamiętała z przeszłości.

– Nie chcesz o tym mówić? – spytała delikatnie i pewnie dlatego zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie oczywistego faktu.

– Nie ma o czym – skrzywiła się Weronika. – Historia, jakich na pęczki. Wszystko rozbiło się o codzienność.

Okropnie to zabrzmiało. Zwłaszcza w zestawieniu z tym skrzywieniem warg i pełnym lekceważenia tonem. Nawet jeśli w tych słowach i gestach

więcej było poży niż prawdziwego uczucia. Ostrowska po prostu nie mogła zostawić tego bez komentarza.

– Prawdziwa miłość nie rozbija się o codzienność.

– Prawdziwa pewnie nie – odparła Weronika tonem, który skutecznie zniechęcał do dalszych pytań.

Rozalia stłumiła westchnienie i zmusiła się do łagodnego uśmiechu.

– Masz dzieci? – zagadnęła pro forma, bo przecież domyślała się jej ciąży już na ślubie. Nie wypadało jej jednak się z tym zdradzić.

Weronika skinęła głową, choć w geście tym było więcej zmęczenia niż entuzjazmu.

Ostrowska to zauważyła. To dlatego jest taka zmęczona, stwierdziła. Nie tylko z powodu utrudzenia codziennością. No i dlatego, że jej życie skręciło nie w tę stronę, którą wcześniej planowała.

– To właśnie Michaś i Piotrek. – Weronika wyjęła z torebki zdjęcie i podała je ciotce.

Rozalia natychmiast rozpoznała, że zostało wykonane w ogrodzie w Jaktorowie, ale spostrzeżenie to zachowała dla siebie.

– Urocze dzieciaki – westchnęła. – Bardzo bym się ucieszyła, gdybyś je tu kiedyś przywiozła – dodała, dając tym samym do zrozumienia, że ma nadzieję na kolejne wizyty.

– Oczywiście, ciotciu – odparła bez wahania Weronika. – To miłe z twojej strony.

Na chwilę zapadła cisza, którą przerwał sygnał zapowiadający, że niewidoczny jeszcze za zakrętem pociąg lada moment pojawi się na horyzoncie.

– Domyślałam się, ciotciu, że czułaś się zaniedbywana przez naszą rodzinę – podjęła z wyraźnym wahaniem Weronika. – Wiem, że powinnam to jakoś wyjaśnić, ale... – Uśmiechnęła się bezradnie. – Nie mam na to

sensownego wytłumaczenia. Rozumiem, że masz prawo czuć żal i snuć teraz najróżniejsze podejrzenia, jednak... – Zawiesiła głos i odwróciła głowę w kierunku zbliżającego się już pociągu.

Podróżni wstawali z ławek i zbliżali się do krawędzi peronu.

– Nie mam żalu – odparła Rozalia, dotykając zaczerwienionego policzka młodej kobiety. – I nie musisz się z niczego tłumaczyć. Na pewno nie ty.

Od lat żyła samotnie i już dawno zaakceptowała fakt, że czeka na nią pusty dom. Przywykła do tego, nawet nauczyła się doceniać zalety takiego życia. Tak przynajmniej myślała do tej pory. Ale tego popołudnia, gdy odprowadzała wzrokiem oddalający się wagon podmiejskiej kolejki, po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że być może przez te ostatnie lata oszukiwała samą siebie.

Powolnym krokiem pokonywała dobrze znaną drogę, a świadomość czekającej ją samotności tym razem napawała ją smutkiem.

Rozdział 17

1950

Janek mi czasem zarzucał, że zawsze byłam pyskata, bo nikt nigdy nawet nie próbował mnie utemperować. A ja robiłam, co chciałam, bimbając na całą resztę. Mówiłam to, co akurat w danej chwili przyszło mi do głowy, bo doskonale wiedziałam, że nie poniosę za to żadnych konsekwencji. W rezultacie wyrosłam na osobę, która była całkowicie przekonana o własnej nieomyślności i nie przyjmowała niczyich argumentów.

– To chyba dobrze – odpowiedziałam kiedyś na kolejną braterską uwagę. – Takie wychowanie uczyniło ze mnie twardzielkę. Myślałam, że lubisz twarde kobiety.

Przecież właśnie taka zawróciła ci w głowie, chciałam dodać, ale w ostatniej chwili dosłownie ugryzłam się w język. Po pierwsze, nie zamierzałam wzbudzać dawnych animozji. A po drugie, Iza po kilku latach małżeństwa wyraźnie spokorniała i choć skończyła wreszcie przerwane z powodu wojny studia, na razie nie robiła z nich użytku. Zajmowała się domem i dziećmi i wyglądało na to, że czynności te pochłonęły ją bez reszty. Pogodziłam się już z jej obecnością w naszej rodzinie, a lata okupacji, powstanie, śmierć rodziców, wszystkie te doświadczenia sprawiły, że moja dawna niechęć do bratowej także i mnie samej jawiła się jako pozbawiona

wszelkiego sensu dziecinada. Iza zachowywała bardzo zdystansowaną postawę, co zresztą starałam się zrozumieć, a przynajmniej tak mi się wówczas wydawało. Tłumaczyłam sobie, że ona pewnie wciąż pamięta, jak traktowałam ją wcześniej, ja zaś byłam zbyt dumna, aby tłumaczyć się przed nią czy przeproszać za tamto. Ostatecznie i ona powinna mnie zrozumieć, zżymałam się w duchu. Przecież wtedy, gdy pojawiła się w życiu mojego brata, byłam kilkunastoletnią smarkulą, być może – a nawet na pewno – nieco zarozumiałą i rozpieszczoną. Chciałam u boku Janka widzieć kogo innego, ale teraz, po latach, należało to już do przeszłości. Chętnie bym jej to okazała, ale jej chłód, wyraźna rezerwa i niechęć skutecznie osłabiały moje dobre chęci. Oczywiście brałam pod uwagę jeszcze jedno wytłumaczenie, a mianowicie, że – być może – niezależnie od urazy, jaką wciąż wobec mnie czuła, trudna codzienność przytłaczała ją na tyle, że nie miała czasu ani ochoty na rozmowy ze mną. Była jedną z wielu kobiet, które musiały każdego dnia godzić pracochłonne zajęcia domowe z opieką nad małymi dziećmi, a do tego wystawać w kilometrowych kolejkach po wszystko i od czasu do czasu znosić złe humory męża – to właśnie wypełniało im dzień od rana do wieczora i z pewnością nie usposabiało przyjaźnie wobec kobiet, które nie miały żadnych rodzinnych obowiązków. Nie miałam wtedy pojęcia, że przyczyny, dla których Iza starała się trzymać ode mnie jak najdalej, zawierały tak zwane drugie dno. Tego wszystkiego dowiedziałam się dopiero później.

W każdym razie Janek chyba zrozumiał moją aluzję pod adresem jego żony, bo wyraźnie spochmurniał, co zepsuło atmosferę naszego spotkania. I choć próbowałam całą sprawę obrócić w żart, nie odzyskał już humoru. Potem stałam w oknie mojego wynajmowanego pokoju i odprowadzałam go wzrokiem, dopóki nie zniknął za rogiem. Było mi smutno – tak rzadko przecież mieliśmy okazję się widzieć. I niestety tak często z byle powodu

dochodziło ostatecznie między nami do słownych utarczek. Niekiedy też zwykła aluzja ni z tego, ni z owego urastała do rangi wielkiego problemu. Zupełnie inaczej niż w czasach, gdy byliśmy jeszcze dziećmi. Wtedy także nie było dnia, byśmy się o coś nie poprztykali (przyznaję, że na ogół to ja zaczynałam), ale praktycznie zaraz składaliśmy broń i znowu było dobrze. Ale to było, zanim przyszła wojna, cierpienie i doświadczenia, które nas potem na zawsze naznaczyły. I w pewnym sensie odebrały nam naszą wcześniejszą niewinność, burząc nasz świat i niszcząc poczucie bezpieczeństwa. Teraz każde z nas było zdane na siebie. Ja w małym pokoiku na Korotyńskiego, który dzieliłam z koleżanką ze studiów. On, wraz z żoną i dziećmi, w małej chałupce w skądinąd urokliwym Jaktorowie, gdzie po stracie Bożanowa zakotwiczył się jako miejscowy weterynarz. Wiedziałam, że nie jest mu łatwo. Dopiero zdobywał doświadczenie, miejscowi chłopcy traktowali go z nieufnością i nie dowierzając umiejętnościom zawodowym młodego, woleli korzystać z usług doświadczonego starego weterynarza z odległej wsi. Do tego uwikłał się w nie najciekawsze (jak to w tamtych powojennych czasach) układy i układziki panujące w środowisku lokalnych kacyków, którzy, wykorzystując jego trudną sytuację (zarówno bytową, jak i fakt, że należał wcześniej do klasy wywłaszczonych właścicieli ziemskich), wywierali na niego coraz większe naciski. Nie mówił o tym wprost, czasami jednak napomykał, lecz ja w czasie okupacji nabrałam cennej umiejętności wylapywania i rozumienia zawołowanych informacji. Obawiałam się, że prędzej czy później Jan ulegnie, niczym doktor Judym z noweli Żeromskiego, ale się nie wtrącałam. Nie miałam serca robić mu na ten temat żadnych uwag. To były ciężkie lata i wielu stało przed koniecznością dokonania trudnego wyboru. Wielu też ulegało i zgięło kark

przed nową władzą; mało kto wierzył, że cokolwiek w naszym kraju może się zmienić.

Ja z kolei w żadne układy nie wchodziłam, ale też moja życiowa sytuacja była inna niż mojego brata. Nie miałam na utrzymaniu dzieci, nie musiałam troszczyć się o byt rodziny, a jedynie o swój własny. Podjęłam pracę maszynistki w jednym z biur zajmujących się odbudową stolicy, studiowałam. Oczywiście miałam „obce klasowo” pochodzenie, ale nie aż na tyle podejrzane, by ktokolwiek robił mi problemy w pracy i na uczelni. Inna sprawa, że specjalnie się nie wychylałam, a gdy już nie było wyjścia, by wymigać się przed jakimś zebraniem, siedziałam cicho jak mysz pod miotłą, nie zabierając głosu. Starłam się nie zwracać na siebie uwagi i spokojnie skończyć studia.

Przydzielono mi pokój w jednym z mieszkań, którego właściciele dostali nakaz dokwaterowania lokatorów. Mieszkanie w porządnej, ocalałej po powstaniu kamienicy składało się z czterech pokoi i w każdym z nich przebywali obcy ludzie, których z właścicielami nie łączyły żadne więzy rodzinne ani przyjacielskie. Dla wszystkich przewidziana była wspólna kuchnia i łazienka, co oczywiście w tych warunkach na okrągło generowało konflikty. Najtrudniej, rzecz jasna, swój los znosiło starsze małżeństwo, do którego mieszkanie formalnie należało, choć ludzie ci praktycznie nie mieli żadnych możliwości, aby pozbyć się narzuconych im odgórnie intruzów. Nic więc dziwnego – ja w każdym razie nie byłam tym zaskoczona – że pani domu na każdym kroku i pod byle pretekstem wywoływała awantury z pozostałymi mieszkańcami, z których jedni znosili je z pokorą, a inni odpowiadali pięknym za nadobne. Ja współczułam nam wszystkim, nigdy też nie pyskowałam właścicielce, co zdarzało się często Aśce, mojej sublokatorce z pokoju.

– Nie pozwolę tej starej, aby nami pomiatała – odgrażała się.

– To ona jest u siebie – próbowałam mitygować koleżankę. – Przecież tak naprawdę to jej mieszkanie.

– Więc niech się cieszy, że jej dom ocalał. Że nie musi się tułać po obcych kątach jak cała reszta. – Aśka była nieprzejednana. – Co ja bym dała, żebym mogła mieć własny dach nad głową! Na pewno nie czepiałabym się biedaków, którzy wszystko stracili i w związku z tym musiałyby ich przyjąć na dokwaterowanie.

Znając Aśkę, bardzo wątpiłam w jej ewentualną wspaniałomyślność, ale wątpliwości te zachowałam dla siebie. Nie miałam też nadziei, by mój los miał się kiedykolwiek zmienić. Dawno zresztą porzuciłam wszelkie inne nadzieje i gdyby nie studia, moje życie przypominałoby dryfowanie rozbitka na niespokojnym oceanie. Z tą różnicą, że rozbitek przynajmniej modliłby się o ocalenie. Ja od Opatrzności niczego już nie oczekiwałam.

I właśnie wtedy, pośrodku tej nicości czy też tego bezkresnego, niespokojnego oceanu, pojawił się stały ląd. A Opatrzność postawiła na mojej drodze Paola Bellodiego.

Zatrzymawszy się na rogu Avenue Montaigne i Rue de Marignan, Oskar rozejrzał się wokół. Wiedział, że znalazł się na miejscu, to był ten adres, ta kamienica. Wystarczyło podejść kilka kroków, a jednak się zawahał. Nie uprzedził Lucii Bellodi o swojej wizycie, nie miała nawet pojęcia, że przyjechał do Paryża. Nie znał jej numeru telefonu, nie wiedział, gdzie dokładnie pracowała. Znał tylko ten adres, kiedyś przecież wymienili między sobą listy. Ale nie miał pewności, czy Bellodi nadal tu mieszka. Przez pewien czas przebywała w Stanach, niewykluczone, że ponownie tam wyjechała, może nawet przeniosła się na stałe. W takim razie musiałby przyjąć do wiadomości, że niczego więcej się nie dowie. Jednak nawet

gdyby zastał ją teraz pod paryskim adresem, z pewnością poczułaby się zaskoczona. Co niekoniecznie oznacza, że zadowolona. W gruncie rzeczy przecież wcale się nie znali, niewykluczone, że od ostatniego listu po prostu przestała o nim myśleć, a może i wyrzuciła go z pamięci. Co nawet zrozumiałe, zważywszy, że prowadziła bardzo aktywne życie, podróżowała i bynajmniej nie narzekała na nudę.

Inny świat, pomyślał z irytacją. Jak zawsze, gdy porównywał codzienną egzystencję znakomitej większości swoich rodaków z życiem mieszkańców Europy Zachodniej. Jak zawsze, gdy przypominał sobie długie, doprowadzające go do białej gorączki procedury związane z wydaniem zgody na paszport. Teraz jednak postarał się wyciszyć emocje towarzyszące podobnym refleksjom. Musiał podjąć decyzję: pójść czy nie do domu, w którym niegdyś mieszkała jego ciotka, a który potem odziedziczyła jej pasierbica.

Zwlekał z tym dziesięć dni, niedługo wróci do kraju. Po prawdzie w ciągu tych ostatnich dziesięciu dni bynajmniej nie próżnował – miał obowiązek uczestniczyć w szkoleniach i spotkaniach, taki był najważniejszy cel jego służbowej podróży do Francji. Poza tym francuscy koledzy zadbali, aby się nie nudził – dzięki nim odbył cały maraton zwiedzania, poczynając od Luwru, poprzez Sainte-Chapelle, katedrę Notre Dame, Muzeum d'Orsay, a na Montmartre skończywszy. Odkładał zatem wizytę u Lucii Bellodi, wciąż jednak o niej myślał. W pewnym momencie doszedł nawet do wniosku, że ten pomysł był po prostu absurdalny. Lucia Bellodi miała prawo dać mu do zrozumienia, że zabiera jej to czas. Lecz w głębi duszy czuł jakiś niepokój. Chciał przecież odwiedzić grób ciotki, uważał, że to jego obowiązek, a zarazem prawo. Nie miał jednak pojęcia, jak do niego trafić. Choćby po to powinien skontaktować się z jej pasierbicą. Nawet jeśli nie będzie zainteresowana dłuższą rozmową.

Ta ostatnia refleksja sprawiła, że przeszedł przez ulicę (na czerwonym świetle, jak reszta osób; przekonał się już, że Francuzi mają do sygnalizacji drogowej zupełnie inny stosunek niż jego rodacy) i stanął przed wskazaną w adresie kamienicą. W pierwszej chwili nie zorientował się, że tak po prostu nie wejdzie do środka. Kamienica była wyposażona w domofon, w Paryżu zdecydowanie częściej spotykany niż nad Wisłą. Ponownie się zawahał, choć znał numer mieszkania. W tym samym jednak momencie drzwi otworzyła wychodząca z budynku para młodych ludzi, którzy najwyraźniej nie mieli nic naprzeciw, aby wszedł.

Wewnątrz zobaczył obszerną, schludną klatkę schodową.

No cóż, proletariat tu raczej nie mieszka, ocenił, sięgając do dzwonka przy lokalu na pierwszym piętrze. Nie był jednak zaskoczony, wiedział, że ciotka wyszła za mąż za przedstawiciela francuskiej klasy średniej.

Drzwi otworzyła mu schludnie ubrana ciemnowłosa, starsza kobieta, co mogło wskazywać, że jednak Lucia Bellodi już tu nie mieszka. Zaraz jednak tajemnica się wyjaśniła.

– Pani doktor dopiero wróciła do domu – oznajmiła, gdy zapytał o Lucię. – Czy był pan umówiony?

Wiedział, że Bellodi była lekarzem, wspomniała mu o tym w swoim liście, nie miał jednak pojęcia, że prowadziła gabinet w swoim mieszkaniu.

– Przyszedłem w prywatnej sprawie. Nie miałem możliwości wcześniej się umówić. – Uśmiechnął się. Wiedział, że jego uśmiech na ogół rozbrajał kobiety.

W tym jednak przypadku odniósł wrażenie, że jego urok nie zadziałał. Starsza pani przyglądała mu się z nieufnością. Nie miał pojęcia, kim była i jakie relacje łączyły ją z pasierbicą Wandy, ale wyglądało na to, że miała tu coś do powiedzenia.

– Przyjechałem z Polski. Chciałem porozmawiać z panią Lucią na temat Wandy Bellodi, mojej ciotki – uściślił na wszelki wypadek.

I natychmiast się zorientował, że był to właściwy ruch z jego strony. Wyraz twarzy kobiety zmienił się w ułamku sekundy. Najpierw pojawiło się na niej zaskoczenie, potem niedowierzanie, wreszcie wzruszenie.

– Znała pani moją ciotkę? – Obserwując ją, nie mógł powstrzymać się przed tym pytaniem.

W odpowiedzi skinęła głową i otworzyła szerzej drzwi.

– Proszę wejść. Zaraz pana zaanonsuję.

Zaanonsuję? Nie dał jednak poznać po sobie, jak ubawiły go te słowa. Kiedy ostatni raz takie słowo miało zastosowanie w Polsce? Pewnie przed wojną.

Wprowadziła go do dużego pokoju, którego umeblowanie świadczyło zarówno o dobrym guście właścicielki, jak i – oczywiście – o zasobności jej portfela. Zapatrzył się właśnie w duży obraz nad kanapą, domyślając się, że to bardzo kosztowna reprodukcja jakiegoś dzieła sztuki. Może to kubizm? Niczego więcej nie potrafił w tej kwestii powiedzieć. Nie znał się na malarstwie, nie czytał za wiele na ten temat, nie za bardzo uważał na lekcjach z historii i języka polskiego, gdy podejmowano podobne zagadnienia. Potem, po latach, nieraz tego żałował, ale pogodził się już z faktem, że te zaległości były nie do nadrobienia.

– Od razu poznałam po akcencie, że jest pan cudzoziemcem – usłyszał i odwrócił głowę. Jak się okazało, ciemnowłosa, starsza dama wciąż tu jeszcze stała i nie spuszczała z niego wzroku. Spostrzegł, że oczy miała pełne łez. – Ale dopiero, gdy pan powiedział, że jest polskim krewnym pani Bellodi, dotarło do mnie, że ona, na początku, gdy tylko tu zamieszkała, tak samo mówiła. To znaczy z takim samym akcentem. Przypomniał mi pan o tym.

– Kim pani jest? – Coraz bardziej go intrygowała.

– Sophie Maroux. Pracuję tutaj. – Wskazała na kanapę. – Proszę usiąść. Zaraz zawołam panią doktor. Na pewno się ucieszy.

– Sophie, ktoś przyszedł czy mi się zdawało? – Z głębi mieszkania rozległ się niski, ciepło brzmiący głos.

Do pokoju, a raczej do salonu, sprostował w myślach Oskar, weszła młoda, na oko trzydziestoletnia kobieta. Zatrzymała się na widok gościa.

– Przepraszam za najście – odezwał się, zanim zdążyła to zrobić Sophie. – Nie miałem możliwości uprzedzić pani o mojej wizycie. Nazywam się...

– Chyba się domyślam – przerwała mu. Patrzyła na niego uważnie, przenikliwie, a w spojrzeniu tym, podobnie jak w przypadku drugiej kobiety, było wzruszenie. – Chyba się nie mylę...

Ostatnie zdanie równie dobrze mogło być stwierdzeniem, jak i pytaniem. Oskar skinął głową.

– Chciałbym odwiedzić grób mojej ciotki... I porozmawiać o niej... Jeśli to jeszcze możliwe.

– Ucieszyłaby się, gdyby mogła teraz pana zobaczyć – odezwała się Lucia.

Oskar oderwał wzrok od nagrobnej tablicy i uśmiechnął się do towarzyszącej mu kobiety. Okazało się, że jednak była starsza, niż przypuszczał, dobiegała czterdziestki. Dziewczęcy wygląd zawdzięczała smukłej sylwetce, długim, zaplecionym w warkocz czarnym włosom i drobnej twarzy, na której nie było widać nawet śladu makijażu. Wyglądała świeżo i naturalnie, nawet niewielkie mimiczne zmarszczki w kącikach czarnych, pełnych blasku oczu nie dodawały jej lat.

Typowa Włoszka – skwitował w myślach Oskar, bo żadna inna, zdecydowanie mniej stereotypowa opinia nie przychodziła mu do głowy. Zresztą nie był przecież literatem, by samemu przed sobą silić się na bardziej oryginalne określenia. Podobał mu się ten typ urody, jak również temperament i bezpośredniość kobiet Południa. W porównaniu z Lucią jego własna siostra (o matce nawet nie mówiąc) przypominała mu bezbarwną mimozę. Słyszając uwagę, która wygłosiła nad grobem macochy, nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

– Może nic straconego? – zagadnął. – Może jednak teraz mnie tu widzi?

– Wierzy pan w to?

– Nauczono mnie w to wierzyć.

– I nie ma pan co do tego żadnych wątpliwości? – W jej tonie były zarówno sceptycyzm, jak i żal.

– Nawet jeśli czasem je miewam, co to zmieni? Wolę wierzyć; tak czy owak, nic na tym nie tracę.

Wzruszyła ramionami.

– To jednak dość naiwny sposób myślenia. Bez urazy.

– Naiwny, bo pani nie podziela tej wiary? – odbił piłeczkę.

Rozejrzała się wokół, zanim odpowiedziała na jego spojrzenie.

– Moja matka była głęboko wierzącą, gorliwie praktykującą katoliczką. Podobnie jak babka. Tak jedna, jak i druga wyłaziły ze skóry, abyśmy oboje z bratem byli pod tym względem tacy jak one. W przypadku brata zdało to egzamin, został księdzem. Ja jednak okazałam się oporna, z biegiem lat coraz bardziej. Być może dlatego, że to one były jednak zbyt gorliwe w swych działaniach.

– A ciotka? – zapytał po chwili milczenia Oskar. – To znaczy... pani macocha? – doprecyzował na wszelki wypadek.

Pokiwała głową i ponownie zapatrzyła się na pomnik. Przez jej wargi przebiegł słaby uśmiech, w oczach zapaliło się światełko.

– Wanda mi odpuściła. Choć także była religijna. Ale zarazem była jednak moją macochą, a macochy na ogół mają szereg innych problemów z pasierbami. W każdym razie Wanda je miała. Na początku dałam jej trochę popalić.

Zrozumiał, że to zaproszenie do dalszej rozmowy na temat ciotki. Na pewno bardziej osobistej niż wówczas, gdy zaskoczył Lucię w jej domu. Wtedy nie powiedziała mu zbyt wiele, choć nie dlatego, że nie chciała. Była po prostu nieprzygotowana do jego wizyty, a przez to zbyt wzruszona, by zdobyć się na coś więcej poza dość ogólnymi informacjami. Teraz wyglądało na to, że opanowała już pierwsze wzburzenie i była gotowa na zwierzenia. Nadal jednak nie mógł być pewien, czy powie mu wszystko, czy też pewne fakty, sprawy, przypuszczenia zachowa dla siebie. I nie mógł mieć o to pretensji. Najważniejsze, że przyprowadziła go na Montparnasse. Sam za nic w świecie nie trafiłby do tego grobu. Coś go jednak zastanowiło.

– A gdzie pochowany jest pani ojciec? – spytał, mimowolnie rzucając wzrokiem na sąsiednie pomniki. Zaskoczyło go trochę, że ciotka spoczywała tu sama.

– Z moją matką – odparła Lucia. Z pewnością odgadła jego myśli. – Już dawno tak postanowił, jeszcze wtedy, gdy był w pełni sił i zdrowia, przed ślubem z Wandą. I nigdy tego postanowienia nie zmienił. Po jego śmierci Wanda nie widziała więc powodu, aby się do tego nie zastosować.

– Czy byli udanym małżeństwem? – Uznał, że to dobry moment na takie pytanie. – Mam na myśli moją ciotkę i pani ojca.

Na twarzy kobiety ponownie pojawiło się wzruszenie, wręcz czułość.

– Moim zdaniem wzorowym – odparła cicho. – Ale prawda jest taka, że mój ojciec znalazł szczęście w obu małżeństwach. Niektórym po prostu los pod tym względem sprzyja, inaczej nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. – W jej głosie pojawiła się jakby nutka żalu, po czym ni z tego, ni z owego zapytała: – A pan jest żonaty? Albo przynajmniej związany z kimś na stałe?

– Nie, do tej pory jakoś nie wyszło – odparł zgodnie z prawdą. – A pani wyszła za męża? – Uznał, że i jemu wolno zadać takie pytanie. Wprawdzie nigdy dotąd nie wspominała o mężu i nie miał okazji spotkać go wczoraj w jej domu, ale kto wie?

W odpowiedzi wykrzywiła wargi.

– Trzy lata temu się rozwiodłam. Mąż został w Stanach, ja wróciłam do Francji.

Ponownie zapadło milczenie i oboje zapatrzili się na pomnik. *Wanda Bellodi, urodzona w 1923 roku, zmarła w 1974.* Była jeszcze młodą kobietą, pomyślał bezwiednie Oskar. A w każdym razie on zachował mgliste wspomnienie młodej dziewczyny.

– Byłem małym dzieckiem, gdy zniknęła z życia naszej rodziny – westchnął.

– Ja byłem zbuntowaną nastolatką, gdy pojawiła się w życiu naszej rodziny – odparła i w jej oczach pojawił się ciepły wyraz.

– Naprawdę na początku było tak źle? – Ponownie się uśmiechnął. – Przed chwilą wspomniała pani, że ...

– Że dałam jej popalić – podchwyciła jego ton. – Tak, przyznaję. Byłam cholernie zazdrosna o ojca. Pójdziemy już? – spytała, robiąc krok w tył.

Bez słowa przystał na jej propozycję. Nie mogli tu przecież stać bez końca. Poza tym, choć był wdzięczny Lucii za towarzystwo, bo bez niej za nic by tu nie trafił, to jednocześnie jej obecność w tym miejscu trochę go rozpraszała. Lucia należała przecież do zupełnie innego etapu życia Wandy,

była poza nawiasem tych doświadczeń, które stały się udziałem jej macochy, zanim ta opuściła Polskę.

Na odchodnym raz jeszcze rzucił okiem na nagrobek, po czym powolnym krokiem ruszyli przed siebie, do wyjścia z cmentarza.

– Bardzo słabo ją pamiętam, na dobrą sprawę są to jakieś niewyraźne przeblyski – podjął po chwili. – Kiedyś ojciec zabrał mnie i siostrę w odwiedzinach do niej. Poszliśmy na spacer, przypominam sobie jakieś ciastka. Ciotka nie miała czasu, aby przyjeżdżać do naszego domu w Jaktorowie. Ojciec na ogół odwiedzał ją sam, ale też niezbyt często. Jaktorowo leży ponad osiemdziesiąt kilometrów od Warszawy, a poza tym ciotka nie miała własnego, osobnego mieszkania. Wynajmowała jakiś nędzny sublokatorski pokój i mowy nie było o tym, by mogła przyjmować tam gości.

– Tak, opowiadała nam o tym pokoiku. – Lucia skinęła głową, a przez jej usta przebiegł lekki uśmiezek.

Zerknął na nią, zaciekawiony.

– A zatem czasami rozmawialiście ze sobą. Czyli nie było aż tak źle między wami – stwierdził żartobliwie.

– Potrzebowałam czasu, aby się do niej przekonać – odparła. – Czekala cierpliwie. Z Ricardem, moim bratem, poszło jej szybciej i łatwiej.

Znaleźli się już na zewnątrz cmentarza. Ciepłe wrześnie słońce wywabiało na ulicę tłumy ludzi, wielu paryżan po wyjściu z pracy zapełniało okoliczne kawiarenki i bistra.

Nie wygląda na to, aby spieszyli się do domu, zauważył Oskar. Nie to, co w Polsce, gdzie każdy gna przed siebie, a to po dzieciaki do przedszkola, a to do sklepowych kolejek. A bywa, że jedno i drugie.

Tymczasem paryżanie właśnie rozpoczynali wieczorne spotkania z przyjaciółmi. Czy kiedykolwiek dane nam będzie cieszyć się takim

luzem? I dobrobytem, który jest warunkiem tego luzu? Co do tego Oskar nie miał zbyt wielkiej nadziei.

– Zapraszam pana na obiad – oświadczyła niespodziewanie Lucia. – Znam świetną knajpkę, gdzie serwują znakomite ryby i inne owoce morza, ale jeśli pan woli dania mięsne, to także mogę polecić.

– Nie, proszę sobie nie robić kłopotu – zaprotestował skonfundowany Oskar. Nie stać go było na żadne tego typu rozrywki, a menu, o którym wspomniała Bellodi, sugerowało, że knajpka może się okazać eleganckim, czyli kosztownym, lokalem. Wspomniała wprawdzie o zaproszeniu, ale niezręcznie mu było pozwalać, aby to kobieta (zwłaszcza nowo poznana) uiszczala, z pewnością niemały, rachunek.

– Niech pan da spokój i nie robi takich ceregieli – odparła niemal wesoło. – W pewnym sensie jest pan moim gościem.

– Niezapowiedzianym.

– Co za różnica? Cieszę się, że pana widzę. Wanda też by się cieszyła – dodała mimochodem. – Pewnie powinnam zaproponować obiad u siebie w domu, ale... Cóż, nie będę ukrywać: nie umiem gotować, a obowiązki Sophie sprowadzają się do utrzymania porządku w moim mieszkaniu i prowadzenia kartotek pacjentów. Nie jest zatrudniona jako kucharka. Poza tym uwielbiam knajpki. I na ogół nie spędzam wolnego czasu w domu. Proszę mi zrobić przyjemność i dać się zaprosić. Jestem głodna jak wilk.

Wobec tego już się nie opierał, tym bardziej że także poczuł głód. Pozwolił, aby to ona złożyła zamówienie, bo terminologia menu z karty dań podanej mu przez kelnera niewiele mu mówiła. Gdy więc na stole pojawiły się ostrygi jako przystawka, a następnie danie główne – szczupak z zieloną cytryną dla Lucii, kotleciki jagnięce z *gratin dauphinois* dla niego – musiał przyznać, że wybór, którego dokonała, był wyśmienity.

Komplement ją ucieszył.

– Niech pan zacznie jeść, zanim to wystygnie – rzekła, wskazując widelcem na jego talerz.

Siedzieli przy jednym ze stolików na zewnątrz, nieopodal trotuaru, którym przemierzali się spacerowicze. Wciąż było ciepło i nic nie zapowiadało, aby w najbliższym czasie pogoda miała się zmienić.

– Wiele razy marzyłem o tym spotkaniu – podjął po chwili Oskar. – Wyobrażałem sobie różne jego scenariusze. Najpierw dotyczyły one spotkania z ciotką, potem, gdy było już jasne, że to niemożliwe – z panią. W głowie miałem tyle pytań, wciąż układałem kolejne i ... – Uśmiechnął się bezradnie. – Sam teraz nie wiem, od czego zacząć. Nie zdążę zapytać o wszystko. Nie chcę też nadwerężyć pani cierpliwości.

– Proszę pytać – odparła. – Co pana najbardziej interesuje?

Interesowało go wiele spraw. Na przykład, jak ułożyło się życie jego ciotki tutaj? W obcym kraju, u boku mężczyzny, który był od niej sporo starszy, miał wysoką pozycję zawodową, a także dzieci z poprzedniego małżeństwa. Jak wyglądała ich codzienność? Oskar uznał jednak, że w zasadzie już się tego dowiedział. Lucia nie wchodziła w szczegóły, ale na podstawie tego, co wyznała, miał już pewien obraz sytuacji. Uznał zatem, że zostawi ten wątek, nie będzie go drążył. Były przecież sprawy ważniejsze, których wciąż nie rozumiał.

– Czy ciotka tęskniła za krajem? Za Polską? – spytał, choć w gruncie rzeczy i ta kwestia była drugorzędna. Stanowiła jednak wstęp do sprawy najważniejszej.

Lucia, która miała właśnie włożyć do ust kolejny kawałek szczupaka, zatrzymała rękę w powietrzu.

– Nie wiem – odparła nieco zdumiona. – Nie mówiła o tym, ale... chyba tak.

– Dlaczego tak pani myśli?

– Tak mi się wydaje. Poza tym jestem córką emigrantów. Rodzice przenieśli się z Palermo do Paryża, bo ojciec znalazł tu dużo lepsze warunki zatrudnienia niż na Sycylii, lecz mimo to czasem wracali do niej wspomnieniami. I mieli wtedy w oczach coś takiego... Zastanawiam się, jak to nazwać... Chyba nostalgię...

– Moja ciotka też miała w oczach nostalgię?

Lucia milczała. Może faktycznie nie wiedziała, co odpowiedzieć na takie pytanie? Czy on na jej miejscu by wiedział? Postanowił zatem spróbować z innej beczki:

– Powiedziała pani wcześniej, że ciotka wspominała ten mały pokój w Warszawie, w którym mieszkała po wojnie. Czy opowiadała coś więcej o kraju, o tamtych czasach? – Starał się mówić w taki sposób, by nie czuła się osaczana, zaniepokojona. Choć on sam odczuwał coraz większe napięcie. – Czy opowiadała o rodzinie, która została w Polsce?

– Niewiele – odparła po chwili Lucia. – Czasem pisała do jakiejś kuzynki, ale nie snuła długich opowieści na jej temat. No i... – Zawahała się. Odłożyła sztućce, zacisnęła dłonie. – Raz jeden wspomniała, że chciałyby porozmawiać ze swoim bratem. A także z panem i z pana siostrą. Zaprosić was do siebie. Wtedy, gdy dowiedziała się o diagnozie.

To była zdumiewająca wiadomość. W każdym razie wstrząsnęła nim do głębi. Tego w żadnym razie nie spodziewał się usłyszeć.

– Czemu więc do nas nie napisała? Przecież gdy zachorowała, oboje z siostrą byliśmy już dorosłymi ludźmi. Nie rozumiem...

– Ależ napisała – odparła zdumiona Lucia. – Ale gdy nie dostała odpowiedzi, nie była zdziwiona. „Trudno, mogłam się tego spodziewać – tak jakoś powiedziała. – Przynajmniej spróbowałam”.

– Nie otrzymałem żadnego listu – rzekł cicho Oskar i nagle zupełnie stracił apetyt. Miał wrażenie, jakby każdy kęs dosłownie rósł mu w ustach,

tak że nie sposób go było przełknąć.

– A pana siostra?

Potrząsnął głową. Weronika pod pewnymi względami bywała niemożliwa i nieprzewidywalna, ale tego by nie zrobiła. Nie zataiłaby przed nim takiego listu. Nawet pod wpływem rodziców. To znaczy... Raczej nie.

Nagle zrozumiał. Czemu wcześniej na to, głupi, nie wpadł?

– Ciotka na pewno napisała na adres naszych rodziców do Jaktorowa. – To nie było pytanie, lecz wypowiedziane na głos stwierdzenie prostego faktu. – Przecież nie znała mojego warszawskiego adresu. Ani adresu mojej siostry.

Lucia Bellodi potrząsnęła głową i bezradnie rozłożyła dłonie.

– Nie mam pojęcia. Nie zwróciłam na to uwagi. Napisała na taki adres, jakim dysponowała, to chyba oczywiste.

Tak, to oczywiste, przyznał w duchu Oskar. A zatem...

Najchętniej porwałby się od stołu, aby poszukać najbliższej poczty i zadzwonić do rodziców. Od razu, niezwłocznie. Skoro i tak stracił już apetyt. Opanował się jednak, nie powinien teraz ulegać emocjom. Nie powinien działać spontanicznie. Rozmowa telefoniczna i tak by nic nie dała, tą drogą nie dowiedziałby się od rodziców niczego ponad to, co wciskali mu do głowy przez całe lata. Za to jest więcej niż pewne, że ojciec znowu by się wkurzył, iż syn wysuwa przeciwko niemu kolejne oskarżenia. Nie, z rodzicami porozmawia o tym później, gdy już wróci do kraju, bezpośrednio, twarzą w twarz. Może uda mu się także namówić na to siostrę, tę grzeczną, niepewną siebie, zagubioną trzydziestoparoletnią dziewczynkę, która wciąż tak kurczowo trzymała się mamy i taty. Może teraz wreszcie i jej spadną łuski z oczu.

Na razie siedział w paryskiej knajpce naprzeciw Lucii Bellodi. Kobiety, która mieszkała z jego ciotką przez wiele lat, przy której dorastała, której

najpierw nie chciała zaakceptować w roli macochy, a potem przywiązała się do niej jak do matki. Tak przecież powiedziała mu wczoraj, gdy niespodziewanie przyszedł do jej domu.

Od lat marzył o tym spotkaniu i o takiej rozmowie. W tym mieście. Po raz kolejny błogosławił w duchu swojego nauczyciela języka francuskiego z radomskiego liceum. W czasach szkoły nienawidził tego starego sadysty, jak go wówczas nazywał w gronie najbardziej zaufanych szkolnych kolegów, dzielących zresztą ten pogląd, ale dzięki drakońskim metodom pana profesora wszyscy uczniowie nabyli solidne podstawy tego języka. W każdym razie mogli bez problemów porozumiewać się w mowie i piśmie w najbardziej potrzebnych życiowych sprawach. A kto chciał, potem bez trudu rozwijał te umiejętności, jak na przykład Oskar. Kontynuował naukę na coraz bardziej zaawansowanych kursach, choć wielu pukało się w głowę, pytając, po jaką cholere to robi, skoro możliwości zagranicznych wojaży były ograniczone. On jednak wiedział swoje i po latach wysiłek się opłacił. Bo pomimo tego, że nie studiował romanistyki jak Weronika, był jednak w stanie zdobyć ciekawą pracę, wyjechać na krótkie firmowe szkolenie do Paryża, spotkać się z Lucią Bellodi i swobodnie z nią rozmawiać o swojej ciotce. To znaczy swobodnie, jeśli chodzi o poziom znajomości języka francuskiego. Bo poza tym wciąż istniała między nimi jakaś blokada, wciąż były kwestie, o których zarówno jemu, jak i – zgadywał to – także jej trudno było otwarcie mówić. Nie dlatego, że się nie polubili lub sobie nie ufali. Wręcz przeciwnie – odgadywał, że gdyby mieli na to czas, mogliby się zaprzyjaźnić. Gdyby dano im ten czas i taką możliwość w przeszłości. Powinni przecież już dawno się poznać, w jakimś sensie byli przecież rodziną. Jednak jego rodzice i ciotka zdecydowali inaczej. I nawet jeśli – jak twierdziła Lucia –

Wanda Bellodi pod koniec życia próbowała coś w tej kwestii naprawić, napotkała przeszkodę, której nie mogła już pokonać.

– Jaka ona właściwie była? – westchnął cicho, bardziej do siebie niż do siedzącej naprzeciwko kobiety. – Ja mam tylko jakieś skrawki, jakieś marne odpryski wspomnień. Wszystko jak za mgłą...

Grupa młodych ludzi przy sąsiednim stoliku właśnie uiszczala rachunek, śmiejąc się przy tym głośno i przekomarzając się wesoło z kelnerką. Zarówno Lucia, jak i Oskar mimowolnie na nich zerknęli, a potem odprowadzili wzrokiem gromadkę opuszczającą kafejkę. Miejsce młodzieży zajęła para starszych ludzi, która natychmiast zaczęła z namaszczeniem studiować kartę dań.

– Nie wie pani, dlaczego moja ciotka i pani ojciec nie doczekali się... własnego potomstwa? – zapytał z wahaniem Oskar. Sprawa ta od dawna go intrygowała, ale do tej pory nie odważył się podjąć tego tematu. Teraz zresztą też nie było mu łatwo. – Przepraszam, zdaję sobie sprawę, że to bardzo osobiste pytanie, dlatego, jeśli pani uzna, że nie powinienem...

Cholera, płacząc się jak uczeń przy tablicy, zżymał się sam na siebie. Jeszcze tego brakowało, aby się zarumienił niczym dziewiętnastowieczna pensjonarka.

Ale twarz towarzyszącej mu kobiety nie wyrażała ani urazy, ani zaskoczenia. Niewykluczone, że spodziewała się tego pytania. Może nawet go oczekiwała. W każdym razie, wbrew jego obawom, wyglądało na to, że uznała je za całkowicie zasadne.

– Wanda nie mogła mieć dzieci – odparła cicho.

– Nie mogła? – powtórzył machinalnie i pewnie dlatego tak głupio to zabrzmiało.

Skinęła głową, odsunęła pusty talerz i sięgnęła po kieliszek białego muscadeta. Nie podniosła go jednak do ust.

– Zadałam jej dokładnie to samo pytanie. – Głos jej lekko zadrżał. – Już wtedy byliśmy sobie bliskie, dlatego się odważyłam... – Zawahała się. Wyglądało na to, że podejmowała decyzję, ile jeszcze może mu powiedzieć. Nie ponaglał, czekał. Wreszcie oparła się mocniej o krzesło i spojrzała mu prosto w oczy. – Wanda straciła dziecko i potem już nie mogła mieć następnego – dodała.

– Ach tak – mruknął. – Przykro mi to słyszeć.

Naprawdę było mu przykro, nie pojmował jednak, dlaczego jego rozmówczyni wahała się, zanim mu to oznajmiła. Przecież takie rzeczy się zdarzają...

– To nie było dziecko mojego ojca – usłyszał i natychmiast poczuł mróz rozchodzący się po kościach. Nie z powodu tego, czego się właśnie dowiedział, choć oczywiście nie było to bez znaczenia. Znacznie bardziej wstrząsnął nim ton głosu Lucii – głuchy, pozbawiony wszelkiej intonacji, a zarazem pełen z trudem skrywanych emocji.

Nie wiedział, co odpowiedzieć, wiadomość do pewnego stopnia go oszołomiła.

– No cóż – mruknął. – Rozumiem.

Co oczywiście zabrzmiało jeszcze bardziej idiotycznie niż jego wcześniejsza uwaga.

– Nie rozumie pan – odparła i tym razem zabrzmiało to ostro, stanowczo. – To się stało, zanim Wanda poznała mojego ojca. Kilka lat wcześniej, jeszcze w czasie wojny.

– Co takiego? – Dłoń, w której ścisnął kieliszek, zadrżała i niestety część zawartości znalazła się na obrusie. Nie zwrócił na to uwagi. – Czy pani wie... Czy ciotka mówiła pani coś więcej... Kto to był? Co się z nim stało? Czy jeszcze żyje?

Wyrzucał te pytania bezładnie, jedno za drugim i dopiero po chwili przyszło mu do głowy, że powinien dać Lucii szansę na odpowiedź.

– On także już nie żyje – szepnęła kobieta. Nie odwzajemniała spojrzenia, bezwiednie bawiła się kieliszkiem. – Został zabity w czasie okupacji. Tak mi powiedziała. Ale nie wymieniła ani jego imienia, ani nazwiska. Ja także nie pytałam. W jakim celu miałabym to robić?

– Czy ciotka mówiła o nim coś więcej? Czy może opowiadała...

– Nie. – Lucia wreszcie podniosła na niego wzrok. Znów była spokojna, skupiona, panowała nad emocjami. – A ja postanowiłam, że nie będę jej ciągnąć za język. Ojciec na pewno wiedział więcej, ale i jego o to nie pytałam. A kiedy oboje odeszli, cała ta sprawa odeszła razem z nimi.

Nie całkiem, pomyślał z głuchą pasją. Bo moi rodzice wciąż żyją, a zatem...

Ponownie pomyślał o listach, które ciotka wysłała do niego i do Weroniki. A także do ich starego, a on nie miał o nich dotąd bladego pojęcia. Choć oczywiście nie musiały dotyczyć sprawy, o której się właśnie dowiedział.

– Przykro mi – podjęła po chwili Lucia. – Cokolwiek się wydarzyło, już tego nie zmienimy. A przeszłość, jakakolwiek by nie była, niech odpoczywa w pokoju. Jak wszyscy moi bliscy... Także Wanda.

Rozdział 18

Wspomniałam już, że Paolo Bellodi pojawił się w moim życiu w momencie, gdy nie miałam praktycznie żadnych planów na przyszłość. Oczywiście studiowałam – rozpoczęłam ostatni rok w Zakładzie Filologii Romańskiej – ale nie potrafiłam odpowiedzieć sobie na pytanie, co będę robić potem. Czy postaram się utrzymać nudną, ale stosunkowo spokojną i bezpieczną posadę maszynistki, która dawała mi niewielkie, lecz stałe dochody? Czy też poszukam czegoś, co będzie zdecydowanie bardziej odpowiadać mojemu wykształceniu? Tak naprawdę w tamtych czasach romanistyka nie otwierała zbyt wielu możliwości zawodowych, była raczej sztuką dla sztuki. Coraz bardziej dokuczała mi też świadomość, że nie miałam własnego kąta, że za każdym razem, gdy wracałam do przepełnionego mieszkania na Korotyńskiego, już w przedpokoju natykałam się na któregoś z lokatorów, bądź, co gorsza, pana lub panią Piotrowskich, właścicieli tego lokum. W spojrzeniach innych lokatorów widziałam zmęczenie i zniechęcenie całą sytuacją, w oczach właścicieli dodatkowo jeszcze irytację, a nawet bezsilną wściekłość, której zresztą nie starali się ukryć. Pani Piotrowskiej przeszkadzali wszyscy i wszystko. Większość z zakwaterowanych u niej osób starała się nie wchodzić jej w drogę – dosłownie i w przenośni. Jaćwięcyy, którzy wraz z dwojgiem małych dzieci zajmowali pokój najbliżej łazienki, stale upominali swoje pociechy, aby zachowywały się jak myszy pod miotłą

i bez absolutnie koniecznej potrzeby nie pokazywały się w innych pomieszczeniach. Dla świętego spokoju z kuchni korzystali jedynie właściciele, a ponieważ nie wszyscy lokatorzy mieli możliwość jadać w zakładowych lub szkolnych stołówkach, niektórzy chyłkiem, w głębokiej konspiracji pichcili coś na elektrycznych maszynkach w swoich pokojach. Łazienki jednak uniknąć się nie dało, każdy z niej musiał skorzystać, i choć o porządnej kąpieli nie mogło być mowy, pomieszczenie to i tak było stale zajęte, co generowało codzienne konflikty, a nawet awantury.

Marzyłam o przydziale własnego, choćby najskromniejszego lokalu. Choćby najskromniejszej izdebki z ubikacją na zewnątrz, byle bez obcych ludzi jako współlokatorów. Nie miałam jednak na to żadnych szans, równie dobrze mogłabym marzyć o gwiazdce z nieba. Z pełną świadomością, że cała reszta podobnych do mnie nieszczęśników także pragnęła tego samego... z tym samym rezultatem. Aśka, moja sublokatorka, widziała jedną tylko możliwość na odmianę tego parszywego losu.

– Trzeba znaleźć dzianego faceta, innej rady nie ma – uznała i prawie natychmiast wzięła się za realizację tego planu.

Ja nie miałam co do tego większych złudzeń.

– Nie ma takich facetów – zawyrokowałam. – Porządni chłopcy klepią taką samą biedę jak my.

Albo walczą w lesie z komunistami, dopowiedziałam sobie w myślach. Na głos lepiej było nie wychylać się z takimi opiniami przy ludziach, co do których nie można było mieć absolutnej pewności, że można im zaufać i być wobec nich zupełnie szczerym. Lubiłam Aśkę, oczywiście do pewnego stopnia, ale nie byłyśmy przyjaciółkami, a jedynie koleżankami mieszkającymi w jednym pokoju. Poza tym wiele nas różniło, obie miałyśmy tego świadomość, choć w rozmowach omijałyśmy kwestie sporne.

W każdym razie Aśka, słysząc moją uwagę, parsknęła niczym koń.

– Ja nie mówię o porządnym chłopcu, tylko o facetach, którzy przypieli się tam, gdzie trzeba. I wokół takich trzeba się zakręcić, dużo dziewczyn tak robi, jeśli chce sobie odmienić życie na lepsze. Inaczej się nie da.

Skrzywiłam się w duchu. Doskonale wiedziałam, jakich facetów miała na myśli, ale nie chciałam rozmawiać o polityce. Tego tematu starałam się przecież unikać. Nie mogłam się jednak powstrzymać, by nie wyrazić jakoś moich wątpliwości.

– Tacy na ogół są już starzy albo mają żony i dzieci.

Powstrzymałam się, by nie dodać, że na ogół należą do partii i mają tam nie byle jaką pozycję. To zaś oznacza, że w niejedno gównie są umoczeni.

Tak czy owak, Aśka wybuchnęła gromkim śmiechem.

– Aleś mnie oświeciła! I co z tego, że są tym, kim są? I co z tego, że mają żony i dzieci? Nie bądź idiotką, Wanda! Do końca życia chcesz siedzieć w tym szambie? Ja na pewno nie.

Ja pomyślałam o gównie, ty mówisz o szambie, skwitowałam w myślach. Patrzymy na sprawę z dwóch punktów widzenia, choć obie rozumiemy, w czym rzecz. Postanowiłam już niczego nie komentować i pozwolić, by działała po swojemu. Ja zaś skupiłam się na studiach i na pisaniu pracy magisterskiej, choć i tu napotkałam na niemały problem natury, nazwijmy to, technicznej.

– Światło w pani pokoju pali się do późnej nocy – zaczęła gderać Piotrowska. – Co pani sobie wyobraża? Że mam za dużo pieniędzy na panine fanaberie? Nie pozwalam, koniec, kropka.

Pozostawała mi zatem czytelnia i biblioteka, siedziałam tam do ostatniej minuty przed zamknięciem. Nawet nie robiłam sobie w międzyczasie przerwy na obiad, by nie tracić cennego czasu. Pisanie pracy było jednak

dla mnie prawdziwym wentylem, pomagało choć na kilka godzin dziennie oderwać się od ogłupiającej rzeczywistości i codzienności. Przez ten czas znajdowałam się w zupełnie innym świecie, cofałam się do mojej ukochanej epoki przełomu XIX i XX wieku. I marzyłam, wciąż marzyłam. Choć nawet w kwestii wyboru tematu pracy musiałam pokonać pewne wątpliwości mojej promotorki – na szczęście jednak nie robiła mi większych trudności.

– Mądrzej by pani zrobiła, decydując się na analizę twórczości Sartre’a – uśmiechnęła się znacząco.

Odpowiedziałam jej tym samym uśmiechem. Doskonale wiedziałam, że tak byłoby mądrzej.

– Sartre jest już wystarczająco znany – odparłam. – Postanowiłam dla odmiany zająć się kimś innym. Mniej popularnym. – Nie mogłam się powstrzymać, by nie dodać: – Być może niesłusznie zapomnianym.

– Niech pani nie przesadza – westchnęła. W oczach miała rozterkę. – Przecież Georges Courteline nie jest zapomnianym twórcą. Tyle że...

– Tyle że znanym bardzo wąskiej grupie. W zasadzie tylko romanistom.

Przez chwilę się zastanawiała. Może szukała argumentów na obalenie mojej tezy? A może nawet rozważała, czy po prostu mi nie zakomunikować, że nie zgadza się z moim wyborem i wobec tego, jeśli się nadal upieram, mogę sobie poszukać innego promotora? Wreszcie wzruszyła ramionami i skrzywiła twarz w bladym uśmiechu.

– Szczerze mówiąc, nie rozumiem, czemu się pani tak upiera – westchnęła. – Francja wydała tylu wspaniałych i zdecydowanie bardziej znanych twórców literatury. I nikt nie podejmuje dyskusji nad ich talentem i dokonaniem. Naprawdę nikt – powtórzyła znacząco.

– Myślę, że twórczość Courteline’a także nie powinna wzbudzić kontrowersji natury... – Zawahałam się, ale dodałam: – Ideologicznej.

Przecież to głównie satyry na temat społeczeństwa francuskiego przełomu wieków.

A więc bezpieczny temat, nikt z wydziałowej organizacji partyjnej nie będzie miał powodu się przyczepić, dopowiedziałam, lecz tylko w myślach. Pani docent jednak jakby usłyszała tę myśl – poznałam to w jej spojrzeniu.

– Wiem, o czym pisał – odparła tonem przywołującym mnie do porządku. – I zapewniam panią, że nie chodzi mi ani o jego twórczość, ani o niego samego. Raczej o fakt, że może pani mieć problem z dotarciem do bibliografii na jego temat. Nie jest u nas znany, ot i wszystko. Pani koledzy i koleżanki nie komplikują tak sobie życia, wybierają to, co jest dostępne.

– A jednak to i owo udało mi się znaleźć – rzekłam pojednawczym, wręcz przymilnym tonem.

– Dobrze, przecież nie zgłosiłam sprzeciwu. – Uniosła obie dłonie. – Proszę bardzo, niech pani próbuje. To nawet mi imponuje. Ale uprzedzam, że czeka panią niełatwe zadanie.

Poczułam ulgę, podziękowałam i pożegnawszy się, ruszyłam do wyjścia. Przy samych drzwiach jeszcze mnie zatrzymała.

– Znam kogoś, kto mógłby pani pomóc. – Mówiła cicho, wskazując gestem, bym ponownie się zbliżyła do biurka i usiadła. Zrozumiałam, że to, co miała mi do oznajmienia, wymagało pewnej dyskrecji. Sięgnęła po kartkę papieru i zaczęła coś na niej pisać. – Paolo Bellodi, mój stary znajomy, jeszcze sprzed wojny. Obecnie przebywa w Warszawie, pracuje w Instytucie Francuskim, jest znawcą tematu, prowadzi tam bibliotekę. Krótko mówiąc, dysponuje zbiorem, o jakim my co najwyżej możemy sobie pomarzyć, i jest kopalnią wiedzy. Proszę, to jego numer telefonu. – Podała mi małą karteczkę. – A to list polecający. – Mówiąc to, schowała do białej koperty drugą, większą kartkę.

W pierwszej chwili dosłownie oniemiałam. Tego kompletnie się nie spodziewałam, dlatego gapiałam się osłupiała na kopertę, zanim zdobyłam się na to, by przenieść spojrzenie na promotorkę. Dostrzegłam w jej oczach zadowolenie, że tak udało jej się zaskoczyć kłopotliwą studentkę. Ale w jej wzroku było coś jeszcze – wyraźne ostrzeżenie, że nie powinnam na prawo i lewo rozpowiadać o całej sprawie. A na pewno nie o jej rekomendacji i osobistej znajomości z kimś, kto wprawdzie przyjechał do Polski oficjalnie i służbowo, niemniej z tamtej strony żelaznej kurtyny. Zwłaszcza że znajomość ta sięgała czasów przedwojennych.

Skinęłam głową na znak, że rozumiem i można mi zaufać. Przy okazji odzyskałam mowę.

– Dziękuję.

– Mam nadzieję, że zrobi pani z tego dobry użytek – odparła już oficjalnym tonem.

– Nie zawiodę pani, pani docent.

Żadna z nas (bo myślę, że jej także to dotyczyło) nawet nie przypuszczała, jak dobry – kolokwialnie rzecz ujmując – zrobię z tego „użytek”. Ani dokąd zaprowadzi mnie znajomość z Paolem Bellodim.

Zanim go zobaczyłam, wyobrażałam sobie dystyngowanego starszego pana, takiego w typie „habillé en bourgeois”, który z pewnością będzie mnie onieśmielał i przy którym będę musiała cały czas się pilnować, by nie popełnić gafy, w tym przede wszystkim błędu językowego. Tymczasem przywitał mnie stosunkowo młody jeszcze – sądząc po wyglądzie zewnętrznym – człowiek, ubrany w niebieską, „roboczą” koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami. Natychmiast rzuciła mi się w oczy jego gęsta, rozczochrana fryzura, przemity, nieśmiały uśmiech i życzliwe spojrzenie, gdy na chwilę zdjął okulary, aby przetrzeć je chusteczką.

W pierwszej chwili pomyślałam, że to jakiś pomocnik, szeregowy pracownik biblioteki; przedstawiłam się i zapytałam o profesora Bellodiego.

– To ja, we własnej osobie – przedstawił się, ściskając moją dłoń. Zrobił przy tym naprawdę komiczny wyraz twarzy. – Wiem, co pani teraz o mnie myśli. Ale to niestety naprawdę ja i nic na to nie poradzę. Czy mam pokazać paszport?

– Ależ wierzę panu! – Nie mogłam się nie roześmiać. A jednocześnie poczułam ulgę wypływającą z silnego wewnętrznego przekonania, że przy tym człowieku nie muszę się specjalnie napinać i udawać bardziej elokwentnej, niż w istocie jestem. Z pewnością ten facet nie spojrzy na mnie karcąco, jeśli przekręcę jakieś słówko lub wyrażenie, albo w zdenerwowaniu pomylę się w składni. Co więcej – w ogóle przestałam się denerwować.

– Porządkuję księgozbiór, karkołomne zajęcie – westchnął. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że wygląda jak typowy książkowy przykład nieco zagubionego w realnym życiu naukowca. – Czym mogę służyć?

Widziałam, jak się rozpromienił, gdy spojrzał na podpis pod wręczonym mu listem rekomendacyjnym. Naprawdę musiał być dobrym znajomym docent Lisieckiej, chyba jednak nie chodziło o żadną romantyczną historię miłosną. Wyglądał co najmniej dziesięć lat młodziej od mojej promotorki, choć oczywiście nie musiało to zaprzeczać moim wcześniejszym podejrzeniom co do charakteru ich znajomości.

Co nie zmieniało faktu, że podobnie jak Lisiecka wyraził lekkie zdumienie przedmiotem moich badań.

– Georges Courteline? – W zabawny sposób popatrzył na mnie zza okularów. – Nigdy bym nie przypuszczał, że ktokolwiek poza granicami Francji wie jeszcze, kto to taki. A i w samej Francji zapewne niewielu dziś potrafi wymienić jego utwory.

– We Francji? Nie wierzę – odparłam z największym przekonaniem, na jakie zdołałam się zdobyć, choć wbrew temu, co oznajmiłam, jednak wierzyłam.

– Ale dlaczego nie Proust, nie Sartre, nie Colette? Już nie mówiąc o klasyce: Balzak, Hugo czy choćby George Sand?

I na tę litanie byłam przygotowana. Odpowiedziałam więc dokładnie tak, jak docent Lisieckiej. Że twórczością tych pisarzy zajmują się wszyscy studenci i nie ma w tym nic oryginalnego. Żadnego wyzwania.

– Ale tak jest łatwiej – odparł. – A większość studentów nie lubi trudnych wyzwań.

Po wyrazie jego twarzy zorientowałam się, że chciał mnie sprowokować do ciętej riposty.

– Ja także nie szukam trudnych wyzwań – odparłam jednak spokojnie. – Nie mam warunków, by ślęczyć w nieskończoność nad magisterką. I z tego samego powodu również nie chcę przeciągać w nieskończoność studiów.

– Więc dlaczego wybrała pani zdecydowanie bardziej wymagający temat?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze to jeszcze nieprzetarty szlak, tak przynajmniej przypuszczam. A zajmowanie się takim świeżym tematem jest znacznie ciekawsze i pod pewnymi względami nawet łatwiejsze niż analizowanie po raz enty czegoś, co już inni wcześniej po wielokroć uczynili, przy czym trzeba jeszcze uważać, by na poparcie tych samych tez i argumentów użyć przynajmniej innych zwrotów i sformułowań niż moi poprzednicy. Tak to przecież wygląda przy analizie twórczości tych najbardziej znanych pisarzy. Tych, których pan przed chwilą wymienił. To bardzo nudne i męczące. Pisanie o kimś mniej znanym daje wbrew pozorom więcej swobody.

– Brzmi sensownie. – Pokiwał głową. Nie spuszczał ze mnie oka, a po wargach wciąż snuł mu się ten sam uśmiech. – A ten drugi powód...?

– Odkrywanie twórczości Courteline'a to możliwość przeniesienia się do tej epoki, która zawsze była mi bliska. Mam szansę oderwać się od tego, co jest wokół nas, choćby na kilka godzin...

Lisieckiej nie podałam takich argumentów. W rozmowie z nią nawet nie brałam pod uwagę podobnej szczerości. Z pewnością popatrzyłaby na mnie jak na niedojrzałą, egzaltowaną panienkę, która z sobie znanych powodów wymyśla nocniki piętrowe. Pani docent była w moich (i nie tylko w moich) oczach przykładem wzorowego poukładania i sztywnej obowiązkowości. Ale ten jeden raz wychyliła się ze swojej skorupy, zdecydowała się zaryzykować i skontaktować skądinąd obcą osobę, jaką dla niej byłam, z pracownikiem Instytutu Francuskiego, przyznając się przy tym, że to jej dawny, przedwojenny znajomy.

Tak czy owak, Paolo mi pomógł. Dzięki niemu uzupełniłam bibliografię i dotarłam do pozycji, których nigdzie indziej bym nie znalazła. A przy okazji okazał się znakomitym rozmówcą. Pożyczył mi „La clef de champs” Eugène'a Labiche'a, której to pozycji nigdzie indziej bym nie zdobyła. Zapytał też, niby od niechcienia, dlaczego, jeśli już chciałam pokusić się o oryginalność, nie wybrałam do analizy twórczości Paula Claudela.

Pytanie było podstępne, mimo to potraktowałam je poważnie. Nie żartowałam.

– Claudel? Pisarz, który przeżył nagłe nawrócenie w katedrze Notre Dame, a motyw wiary był odtąd stale obecny w jego twórczości? To by nie przeszło, nie znalazłabym tutaj promotora. Żaden pracownik naukowy nie zdobyłby się na taki akt odwagi. Nie mówiąc już o studenckim aktywie, tak zwanych „pryszczatych”, którzy wymusiliby na mnie samokrytykę. Aż tak bezkompromisowa nie jestem, aby się oprzeć podobnym naciskom. Nie

mogę sobie na to pozwolić, choć najchętniej posłałabym to całe czerwone towarzystwo do wszystkich diabłów.

W odpowiedzi pokiwał tylko głową, nie potrzebował dalszych wyjaśnień. A ja czułam, że mogę mu zaufać. Właśnie od rozmów o literaturze zaczęła się nasza przyjaźń, która potem przekształciła się w stały związek. Choć pierwsze lata nie były łatwe, bo prawie nikt nie akceptował naszej przyjaźni, miłości, wreszcie małżeństwa. A dotyczyło to niestety bliskich nam ludzi, zarówno jego, jak i mojej rodziny.

Rozdział 19

Po raz pierwszy Lucia i Ricardo Bellodi usłyszeli o swojej macosze z ust babci Gabrielli Sandrini, która dwa lata wcześniej przyjechała z Sycylii, aby po śmierci córki pomóc zięciowi w prowadzeniu domu w Paryżu i zaopiekować się dwojgiem wnucząt. Gdy zaproponowano mu roczny kontrakt w Instytucie Francuskim w Warszawie, Paolo początkowo się wahał. Nie chciał zostawiać syna i córki, ale z przyczyn formalnych zabrać ich ze sobą także nie mógł. Wprawdzie najtrudniejszy, najwcześniejszy okres żałoby już minął, niemniej dla stosunkowo niedawno osieroconych przez matkę dzieci rozstanie z ojcem mogło okazać się traumatycznym przeżyciem. I na nowo otworzyć dopiero co z trudem zagojoną ranę. Teściowa jednak rozwiązała te obiekcje.

– Jedź, dobrze ci to zrobi – oznajmiła. – Dojdiesz w końcu do siebie. Rok to nie tak długo. Poradzę sobie z dziećmi i z domem.

Co do tego ostatniego był więcej niż pewny. Gabriella była wulkanem energii, typową włoską mamą, bardziej stanowczą, konsekwentną i nawet lepiej zorganizowaną od Laury, jego pierwszej żony. Czasem – a nawet bardzo często – on sam bywał zupełnie bezradny wobec kaprysów swojej ukochanej córki, Lucii, jednak teściowej to się nigdy nie zdarzało. Dom funkcjonował jak w zegarku, dzieci także i – paradoksalnie – to właśnie go niepokoiło. Nie był pewien, czy naprawdę chce, aby jego syn i córka

odebrali podobne wychowanie. Przenosząc się po wojnie razem z rodziną nad Sekwanę, zrobił to nie tylko ze względu na wymarzoną posadę wykładowcy literatury francuskiej. Nie mniej ważny był fakt, że przy tej okazji jego pociechy także zyskały możliwość, by poszerzyć swoje horyzonty. Przekonali się, że poza piękną Sycylią także istnieje świat, który oferuje im spore możliwości. Tymczasem przyjazd teściowej, jej metody wychowawcze i poglądy wprowadzały w tej kwestii pewien dysonans. Ale nie miał wyjścia, potrzebował pomocy. A poza tym kusila go okazja, by na własne oczy poznać rzeczywistość kraju za żelazną kurtyną. Tyle że ani on, ani teściowa, ani jego dzieci i przełożeni, dosłownie nikt nie przypuszczał, czym poskutkuje jego wyjazd, kto tak naprawdę wyrwie go ze szponów żałoby.

W każdym razie, gdy signora Sandrini oświadczyła swoim wnukom, że ich ojciec ożenił się z Polką i wkrótce przywiezie im macochę, zarówno Ricardo, jak i dwa lata starsza Lucia niemal osłupieli. Nawet nie tyle z powodu samej wiadomości – w pierwszej chwili jej sens w ogóle do nich nie dotarł – ile tonu, jakim została im zakomunikowana. Babka Gabriella bynajmniej nie bawiła się w żadne ceregiele. Postępek zięcia oburzył ją w najwyższym stopniu, uznała go za sprzeniewierzenie się pamięci jej zmarłej córki, jak i obrazę reszty rodziny – zarówno tej w Paryżu, jak i na Sycylii. Paolo ożenił się z pierwszą lepszą polską dziewczyną! Tak po prostu, jak gdyby nigdy nic! A wydawało się, że zupełnie zobojętniał na wdzięki innych kobiet! Że biedna Laura zabrała ze sobą do grobu całe jego serce i wszelkie cielesne pragnienia! Nawet tu, w tym zepsutym do szpiku kości kraju, za jaki pani Sandrini uważała Francję, żadna z wyfiokowanych bab nie wzbudziła jego zainteresowania, za co pani Gabriella wdzięczna była wszystkim świętym w niebie. Nie wątpiła bowiem, że francuska macocha miałaby fatalny wpływ na dzieci, zwłaszcza zaś na Lucię, która,

w przeciwieństwie do grzecznego i uступliwego brata, potrafiła być krnąbrna i uparta, i jedynie babcia jeszcze potrafiła wziąć ją w karby. Żadna inna kobieta tego nie zrobi – co do tego pani Sadrini nie miała żadnych wątpliwości. Za to każda z pewnością zaniedba dom i dzieci. Położy łąpę (obie łapy) na poborach Paola, które może nie stanowiły fortuny, ale były to bez wątpienia lepsze pieniądze niż te, które zarabiał w liceum w Palermo. W każdym razie dla Polki, która zawróciła mu w głowie, z pewnością oznaczają prawdziwe bogactwo. Dlatego przecież za niego wyszła – aby wyrwać się z nędzy panującej za żelazną kurtyną!

Prawdę mówiąc, o swoim zięciu pani Sandrini nigdy nie miała najlepszego zdania. Aż dziw, że wychował się na Sycylii, w Palermo. Tak bardzo różnił się od innych sycylijskich chłopców. Wiecznie nieprzytomny, wiecznie z głową w chmurach! Podczas gdy inni dokazywali, kombinowali, nawet nabijali sobie od czasu do czasu guzy (chłopcy, wiadomo, muszą się wyszumieć), ten siedział i czytał książki. Owszem, zrobił w domu, co mu matka z ojcem przykazali, ale potem znowu siadał do książek. Nie miał łatwo z innymi chłopakami, był czas, gdy koledzy w szkole nieźle mu się dawali we znaki, ale dziewczęta go lubiły. Greczny był, nieśmiały i po swojemu szarmancki. I nie ciągnął ich, jak reszta chłopaków, w krzaki. Wiedziały, że je szanował. Lubily z nim rozmawiać, bo traktował je po prostu jak człowieka, bez żadnych podtekstów. Co nie znaczy, że nie snuły im się po głowie różne romantyczne marzenia. Paolo jednak nie odpowiadał na tego rodzaju awanse, co z kolei naraziło go na innego typu podejrzenia. Te ustały dopiero wtedy, gdy zakochał się w Laurze Sandrini. Widać wiedziała, jak się za niego zabrać, uznano, lecz matka Laury potrzebowała czasu, by zaakceptować go w roli zięcia. Nawet go potem polubiła, dumna była, gdy zaproponowano mu pracę w Paryżu, choć z drugiej strony samo miasto uważała za niemal współczesny Babilon. Ale cóż, skoro praca tam

oznaczała większe pobory... Czasem nawet pani Sandrini dopuszczała konieczność kompromisu. Kompromis miał jednak pewne granice. W każdym razie w kwestii zaskakującego, powtórnego małżeństwa zięcia pani Gabriella nie miała zamiaru iść na żadne ustępstwa. W dodatku, zanim Paolo wraz z małżonką wrócili do Paryża, zdołała swoją niechęcią do „tej Polki” zarazić wnuki.

– Oczywiście nie wierzyłam w babcine bajdy o złej macosze, co dręczy biednych małych pasierbów – stwierdziła pobłaźliwie Lucia, gdy opowiadała o tym Oskarowi. – Mój brat także puścił te rewelacje mimo uszu. Wyrośliśmy już z bajek o Królowie Śnieżce, która cudem uniknęła śmierci z rąk złej królowej. Ale to nie znaczy, że przeszliśmy do porządku dziennego nad wyskokiem naszego drogiego papy. Oczywiście napisał i do nas, starał się co nieco wytłumaczyć, ale i tak byliśmy na niego obrażeni. Zwłaszcza ja. Postanowiłam, że nigdy ojcu tego nie wybaczę, a „tej Polce” urządzę takie piekło, że ucieknie od nas gdzie pieprz rośnie.

Paolo Bellodi próbował tłumaczyć urażonej rodzinie, dlaczego zawarł małżeństwo jeszcze podczas pobytu w Warszawie – był to warunek, aby Wanda w ogóle mogła dostać paszport i opuścić Polskę. Nie mogło być zatem mowy o planowaniu ceremonii w Paryżu. Jednak ten argument nie tylko nie przekonał jego urażonej teściowej i dzieci, ale wręcz w ogóle ich nie interesował. Miejsce zawarcia ślubu nie miało dla nich znaczenia. Liczył się sam fakt, że w ogóle do tego ślubu doszło.

– Zobaczycie, ta Polka porzuci go od razu, gdy znajdzie się na Zachodzie – prorokowała pani Sandrini. – Tylko o to jej chodzi: by drapnąć z komunistycznego kraju.

Lucia miała nadzieję, że tak właśnie będzie. Że tamta zniknie z ich życia tak prędko, jak to tylko możliwe. Dość szybko miała się jednak przekonać, że to marzenie ściętej głowy. Ojciec przywiózł do domu swoją

młodą żonę i od razu było widać, jak odmieniło go to małżeństwo. Stał się zdecydowanie bardziej pewny siebie niż dawniej, nie zachowywał się już tak, jakby przeproszał cały świat za swoje decyzje, byle tylko inni je zaakceptowali. Ani w połowie nie był też tak roztargniony jak wcześniej, a jeśli czasem sprawiał jeszcze wrażenie nieprzytomnego, to tym razem – z miłości.

– Był bardzo szczęśliwy – wspominała Lucia. – Wszyscy to widzieli. Nie ulegało wątpliwości, że żałoba po pierwszej żonie należała już do przeszłości. I właśnie z tym nie mogłam się pogodzić. Nawet nie ze względu na matkę, bo wbrew obiegowym opiniom wcale tak bardzo za nią nie tęskniłam, nieraz mnie bowiem irytowała. Raczej z żalu, że tata nie należy już wyłącznie do mnie. Że nasze wcześniejsze relacje się zmieniły, bo teraz kto inny jest dla niego ważniejszy. Ta ślicznotka z dalekiego kraju. W moim wyobrażeniu, czy raczej wedle mojego ówczesnego poziomu wiedzy, Polska była nie mniej egzotyczna niż jakikolwiek kraj afrykański, tyle że, w przeciwieństwie do Afryki, było tam zawsze bardzo zimno i ponuro.

Wanda Bellodi nie sprawiała jednak wrażenia zimnej kobiety. Wręcz przeciwnie – iskrzyła temperamentem, tryskała humorem, dziarsko też wzięła się za prowadzenie domu, z szacunkiem odnosząc się do doświadczenia pani Sandrini, a zarazem udając, że nie dostrzega jej niechęci. Metoda okazała się skuteczna, bowiem starsza pani zaczęła wreszcie tajać, a kiedy przekonała się, że nowa żona jej zięcia bynajmniej nie dąży do wyrugowania swojej poprzedniczki ze wspomnień męża i jego dzieci, do tego zaś jest praktykująca katoliczką – zdecydowała się ją w końcu zaakceptować. Zaprzyjaźnionym sąsiadkom wyznała nawet, że skoro jej zięć postanowił na nowo ułożyć sobie życie, to dobrze zrobił, że zdecydował się związać z tą właśnie młodą kobietą. W każdym razie

Gabriela Sandrini czuła się już spokojna o los wnuków, a gdy z kolei owdowiała jej młodsza, mieszkająca na Sycylii córka, a do tego zachorowała siostra, zdecydowała się wrócić do swojej ojczyzny i pomóc pozostawionym tam bliskim krewnym. „Przynajmniej teraz mogę to uczynić z czystym sumieniem – oświadczyła. – Bowiem rodziną biednej Laury opiekuje się zaradna kobieta. Bóg wie, co czyni, skoro Paolo spotkał taką na swojej drodze”.

Dość szybko do macochy przekonał się też dwunastoletni wówczas Ricardo, pewnie dlatego, że bardziej niż starsza siostra odczuwał pustkę po matce i przez pewien czas podświadomie, a potem już jak najbardziej świadomie czekał, aby ktoś tę pustkę wypełnił. Początkowo, pod wpływem ponurych proroctw babci, udzieliła mu się niechęć wobec wybranki ojca. Potem jednak młoda, pełna życia dziewczyna zjednała sobie jego sympatię, a kiedy ostatecznie babcia ją zaakceptowała, mały Ricardo poczuł się już zupełnie usprawiedliwiony, gdy pokochał Wandę.

Najtwardszym orzechem do zgryzienia okazała się wchodząca w tak zwany trudny wiek Lucia, która nie zamierzała godzić się z kolejną zmianą w swoim młodym życiu. Na chorobę i śmierć matki nie miała wpływu, przez pewien czas żywiła jednak nadzieję, że zdoła wpłynąć na ojca, aby rozstał się z drugą żoną, albo na Wandę, aby ta opuściła ich dom. Kiedy tak się nie stało, dziewczynka „umilała” swojej macosze życie na wszystkie możliwe sposoby i przez długi czas nikt nie był w stanie jej utemperować: ani babcia, która uważała ją za krnąbrną niewdzięcznicę, ani brat, ani ojciec. Nawet sąsiedzi, którzy także polubili Wandę.

– Udawała, że nic sobie z tego nie robi – wspominała Lucia – ale po latach wyznała mi, że nieraz płakała do poduszki.

– Co sprawiło, że jednak dała jej pani szansę? – spytał Oskar.

– Nic szczególnego. – Kobieta wzruszyła ramionami. – A zarazem wszystko po trochu. Najważniejszy okazał się czas. On na ogół pomaga nam pogodzić się ze zmianami w życiu. W każdym razie ze mną tak właśnie było. Przyzwyczaiałam się do obecności Wandy w naszym domu. I nawet nie wiem, w którym momencie w pełni to do mnie dotarło. Przyzwyczajamy się do zmian, gdy stwierdzamy, że wbrew wcześniejszym obawom nie tylko nie zrujnowały nam życia, ale wprowadziły weń pewien ład i porządek. A dzieci, także nastolatki, wbrew pozorom bardzo tego potrzebują. Potrzebują takiego dobrego ducha, który strzeże ogniska domowego. I nie chodziło tu tylko o regularne posiłki, czyste ubrania do szkoły, obecność na wywiadówkach, choć na początku to najbardziej się dla mnie liczyło. Na szczere rozmowy między nami byłam gotowa dopiero wtedy, gdy dorosłam i zaczęłam studiować. Wreszcie przyjął do wiadomości bezsporny fakt: że mój ojciec był z nią bardzo szczęśliwy. A także mój brat. Dzięki Wandzie byliśmy po prostu jedną z wielu szczęśliwych rodzin. Wciąż jestem za nią wdzięczna ojcu. A moja babcia do samej śmierci uważała, że Wandę zesłał nam sam Bóg. I niewykluczone, że to właśnie moja matka wyprosiła ją nam u Jego tronu.

Rozdział 20

– Lucia Bellodi dobrze wspomina twoją siostrę. Nie tylko zresztą ona. Zdaje się, że ciotka Wanda zyskała sobie nad Sekwaną wielu przyjaciół i miała udane małżeństwo.

Przez twarz Jana Reczyńskiego przebiegło lekkie drgnienie. Sięgnął po papierosa, ale potrzebował kilkunastu sekund, by go zapalić. Cofnął jednak dłoń, gdy Oskar chciał usłużyć mu swoją zapalniczką. Zmierzył go niechętnym spojrzeniem. Obecna przy rozmowie Weronika wstrzymała oddech i popatrzyła ze smutkiem na brata. Zawsze był taki bezpośredni, nigdy nie owijał w bawełnę, nigdy nie bawił się w żadne wstępy. Kiedyś jej powiedział, że nie ma na to czasu. Być może, ale z ojcem nie można było tak rozmawiać, zwłaszcza o trudnych rodzinnych sprawach. Jan Reczyński podejmował te tematy niechętnie, z oporami, kiedy już naprawdę musiał. I na dobrą sprawę tylko Oskar tego nie respektował. W drodze do Jaktorowa Weronika niemal cały czas usiłowała go przekonać, aby jednak tym razem zachował ostrożność. Sprawa jest wyjątkowo delikatna, perswadowała. Jeśli ojciec poczuje się zaatakowany, z pewnością nic nie powie. Trzeba go podejść sposobem. Oskar odparł jej, że wie, co ma robić, to zaś oczywiście oznaczało, że nie pójdzie za jej radą. Mimo to wołała być przy tej rozmowie; wiedziała, że jej obecność będzie temperować ich

zapędy i być może zapobiegnie awanturze. Obecność samej tylko matki na pewno nie wystarczy.

Oskar, rzecz jasna, liczył się z tym, że jego informacja o rozmowie z Lucią Bellodi, a także o odwiedzinach na cmentarzu Montparnasse, poruszy ojca. Niewykluczone, że stary poczuje się zaatakowany i sprowokowany. Coś jednak powie, coś zdradzi. Weronika wiedziała jednak, że to na nic. Ojciec oczywiście był zaskoczony, ale zapanował nad pierwszym odruchem. Życie nauczyło go trzymać nerwy na wodzy. Uwagę syna zbył milczeniem i zapatrzył się na gałęzie rozłożystego dębu za oknem, co wcale nie oznaczało, że kontemplował barwy październikowego ogrodu.

Weronika zerknęła na brata. Wiedziała, że tak będzie – mówiło jej spojrzenie i to sprawiło, że Oskar ponownie naładował broń. Wściekłość walczyła w nim o lepsze z rozczarowaniem.

– Właśnie ci oznajmiłem, że odwiedziłem pasierbicę twojej siostry. Odwiedziłem grób ciotki. Dobrze rozumiem, że masz to gdzieś?

– Oskar! – nie wytrzymała siostra, ale nawet na nią nie spojrzał.

Siedząca w przeciwnym kącie pokoju matka skuliła się w fotelu, wbijając wzrok w podłogę.

– Co mam ci odpowiedzieć? Że miło mi słyszeć, kogo odwiedziłeś w Paryżu? – odparł flegmatycznie Jan Reczyński.

– Nie zapytasz o szczegóły? Lucia Bellodi opowiadała dużo i chętnie...

– Nie. – Głos ojca brzmiał spokojnie, rzeczowo, kategorycznie. Tak jak głos urzędnika wydającego ostateczną decyzję. – Nie zapytam cię o żadne szczegóły.

Na moment zapadła cisza, którą ponownie przerwał Oskar.

– Nie musiało do tego dojść. Mogliśmy być jedną rodziną. My tu, oni tam. Lucia i jej brat mogli być naszymi kuzynami. Przecież w pewnym

sensie nimi byli.

Ponownie odpowiedziało mu milczenie. Ojciec nie odrywał wzroku od okna, matka od podłogi.

– Dobrze – westchnął z rezygnacją Oskar. Bezsilnie zaciskał dłonie. – Nie mogę cię zmusić, abyś o tym mówił, skoro nie chcesz. Masz swoje powody. A może nie masz, nie wiem. Tak samo, jak nie wiem, czemu nie zrobiłeś nic, aby się z nią pogodzić. Ale powiedzmy, że to twoja sprawa. Twoja cholerna decyzja – podkreślił, bo obojętne, jakby nieobecne spojrzenie ojca utkwione w oknie ponownie wywołało jego gniew. – Jakim jednak prawem zdecydowałeś za nas? Za mnie i za Weronikę? Jakim prawem przejmowałeś listy przeznaczone dla nas? A może wciąż wydaje ci się, że masz nad nami jakąś władzę? Otóż przyjmij wreszcie do wiadomości, że nade mną z pewnością jej nie masz!

Ponownie drgnienie przebiegło przez twarz Jana Reczyńskiego. Jego spojrzenie nabrało wyrazu, oprzytomniało.

– Listy? – powtórzył.

– Tak, przecież mówię. Ciotka napisała do mnie i do Weroniki, gdy dowiedziała się o swojej chorobie. Napisała także do ciebie. Co z tobą? Zniszczyłeś nawet jej listy?!

Zaskoczenie, które pojawiło się na moment w oczach ojca, ustąpiło. Zastąpił je twardy, zdecydowany wyraz.

– Nie wiem, o czym mówisz – mruknął.

– Mówię, do cholery, o listach, które ciotka...

– Nie było żadnych listów. – Ojciec pokręcił głową. – Żadnych, rozumiesz?

Przez chwilę mierzyli się czujnymi, wrogimi spojrzeniami.

– Nie wierzę ci – odezwał się wreszcie Oskar.

– Oczywiście, to dla mnie żadna nowina. Wolisz wierzyć obcej osobie.

– Sugerujesz, że Lucia Bellodi mnie oszukała? – zaperzył się Oskar.

– To ty twierdzisz, że jestem kłamcą – odparł Reczyński i podniósł się z fotela. Sprawiał wrażenie znużonego, jakby ta rozmowa pozbawiła go sił. Powolnym krokiem ruszył ku drzwiom.

Oskar obserwował go w milczeniu, ale najwyraźniej stracił pewność siebie.

– Nie chciałem cię obrazić – mruknął. – Po prostu staram się zrozumieć...

– Nie było żadnych listów od Wandy – odparł Jan Reczyński. Wyglądał teraz tak, jakby przybyło mu dziesięć lat. – Ani jednego. Może jednak zrezygnowała i w ostatniej chwili ich nie wysłała. Nie wiem. I nie będę tego dochodził. A teraz wybaczcie, ale skoro nie jesteśmy w stanie spędzić razem miłego popołudnia, to zajmę się pracą. Przynajmniej zrobię coś sensownego.

– A czy przynajmniej wiedziałeś o tym, że twoja młodsza siostra straciła dziecko? – zapytał nagle Oskar.

Reczyński, który sięgał już za klamkę, znieruchomiał. Ręka mu opadła. Rzucił krótkie spojrzenie na żonę, ale nie odwrócił się do dzieci. Weronika, poruszona jego reakcją, położyła dłoń na ramieniu brata, sugerując mu, by dał już spokój. Po raz pierwszy zapragnęła jak najszybciej opuścić dom rodziców i wracać do Warszawy. Oskar jednak nie odrywał wzroku od ojca.

– Straciła dziecko w czasie okupacji. Na kilka lat przed poznaniem Paola Bellodiego – dodał, ale już znacznie ciszej.

– To stało się dwudziestego piątego maja czterdziestego czwartego roku – odparł cicho Jan Reczyński i ponownie sięgnął do klamki. Tym razem otworzył drzwi, ale w progu jeszcze na moment się zatrzymał. – Jak widzisz, nie jest to dla mnie tajemnicą. I zapewniam cię, że gdybym

wiedział o jakichś jej listach, z pewnością także bym wam o nich powiedział. – Po czym, nie odwracając się, wyszedł na zewnątrz.

– Zostawcie go w spokoju, nie naciskajcie – poprosiła Izabella Reczyńska. W każdym razie w uszach jej dzieci zabrzmiało to jak prośba. – Są sprawy, o których wasz ojciec nie chce mówić, i ma do tego prawo.

– O czym ty mówisz, mamó? – Oskar przyjrzał jej się uważnie.

– O tym, że nie o wszystkim musicie wiedzieć. Nie wszystko należy wywlekać na światło dzienne. Uszanujcie to wreszcie.

– Niepotrzebnie się tak denerwujesz. – Oskar podniósł dłoń w uspokajającym geście. – I bynajmniej nie naciskam, nie zmuszam ojca do zeznań. Pomyliłaś mnie chyba z gestapo albo Urzędem Bezpieczeństwa.

– Oskar! Uważaj, co mówisz!

– Dobrze. – Podniósł się z krzesła. – Zresztą nie potrzebuję już o nic pytać. Wystarczy mi to, co wiem.

– Synku... – Głos kobiety ponownie zabrzmiał niepewnie, jak z trudem skrywane błaganie.

– Musimy jechać, już późno. Zbieramy się. – Tym razem Oskar zwrócił się do siostry.

W ponurym milczeniu wracali do Warszawy, każde zajęte swoimi myślami. Byli już niemal u celu podróży, gdy Weronika zdecydowała się przerwać ciszę.

– Mama ma rację – rzekła. – Dajmy im spokój. Cokolwiek się zdarzyło, cokolwiek oni wszyscy sobie nawzajem kiedyś zrobili, należy to do przeszłości. Do ich przeszłości. Nic nam do tego.

– Jasne. Przecież już to matce zakomunikowałem – odparł obojętnie.

Zerknęła na niego, ale jego spojrzenie było dalekie, trudne do rozszyfrowania. Poczła się jeszcze bardziej niepewnie.

– Obiecujesz? – spytała lękliwie jak nieśmiała mała dziewczynka. Nie znosiła u siebie tego tonu i była pewna, że Oskar także go nie znosi, a jednak od czasu do czasu w taki właśnie sposób mówiła. I tak się zachowywała.

Zgodnie z jej przewidywaniami brat się skrzywił, po czym wzruszył ramionami.

– Ja naprawdę wiem już wszystko, co trzeba – odparł szorstko.

A ja prawie nic, miała na końcu języka, ale gdyby wypowiedziała to na głos, dowiodłaby własnej niekonsekwencji. Dlatego bez żadnych dodatkowych pytań i wyjaśnień pożegnała się i wysiadła z samochodu. Wiedziała, że powinna poczuć ulgę. Oskar dotrzyma słowa, bo zawsze go dotrzymywał. Nie będą dłużej drażyć tej historii. Jednak zamiast ulgi wciąż czuła niepokój. A zarazem trudny do wytłumaczenia smutek.

Rozdział 21

Oskar faktycznie dotrzymał słowa – nie zadawał już ojcu żadnych pytań. Zostawił w spokoju także matkę. Również w rozmowach z siostrą nie poruszał tematu ciotki Wandy i jej pasierbicy. Weronika odniosła przy tym wrażenie, że nie tylko nabrał jeszcze większego niż do tej pory dystansu do Jaktorowa, rodziców, ale także do niej. Wprawdzie nadal był pomocny, nadal się nawzajem odwiedzali, ale sama świadomość faktu, że istnieją takie tematy, których nie podejmują, powodowała, że poczucie bliskości między nimi jednak uległo wyraźnemu osłabieniu. W każdym razie Weronika tak to odczuwała i była niemal przekonana, że Oskar czuje podobnie. Niemal – bo przecież i o tym nie rozmawiali. Czasami przychodziło jej do głowy, że tak już na zawsze pozostanie, i bardzo ją to martwiło, ale nie widziała sposobu na wyjście z tego impasu. Bo nawet gdyby ponownie zaczęli drażnić tamte kwestie, to przecież i tak do niczego by ich to nie doprowadziło. A poza tym naprawdę uważała, że ojciec ma prawo do swoich sekretów. Ciotka przecież także z tego prawa korzystała, bo nawet Lucii nie powiedziała wszystkiego. Zapewne zwierzyła się mężowi, ale i on do końca życia zachował dyskrecję. Matka również milczała, choć to akurat Weroniki nie dziwiło. Izabella Reczyńska zawsze stała lojalnie u boku męża, a swoje życie podporządkowała jego decyzjom. To milczenie mogło oczywiście intrygować i irytować, ale z drugiej strony

wcale nie jest tak, że mówienie o tym, co boli i dręczy, zawsze przynosi ulgę. Otóż nie zawsze – Weronika dobrze o tym wiedziała. Czasami rana jest tak rozległa lub głęboka, i z takim trudem się goi, że dotykание jej, nawet po latach, może doprowadzić do krwawienia. O tym, co stało się z listem (lub listami) ciotki Wandy – czy zaginęły po drodze, czy zostały zniszczone już w Jaktorowie, wreszcie czy w ogóle zostały wysłane do Polski – Weronika postanowiła przestać myśleć. Tak czy owak, najpewniej już nie istniały. A jeśli nawet jakimś cudem się uchowały, ich treść już się zdezaktualizowała.

A jednak cała sprawa nie pozostawała bez wpływu na jeszcze jeden aspekt, z którego bardzo szybko zdała sobie sprawę. Nie tylko Oskar zdystansował się od Jaktorowa i rodziców – zresztą w jego przypadku była to jedynie kwestia zwiększenia dystansu już istniejącego – ale jej także to dotyczyło. Bezwarunkowe zaufanie, jakim do tej pory darzyła rodziców, uległo pewnemu zachwianiu. Choć przecież uznała, że matka i ojciec nie muszą ujawniać wszystkich swoich tajemnic. Mimo to nie mogła oprzeć się jakiemuś upartemu, niepokojącemu przekonaniu, że w przeszłości w ich rodzinie zdarzyło się coś, co mogło mieć wpływ również na jej życie. A także na życie Oskara. Między innymi dlatego zaprzestała tak częstych jak do tej pory wizyt w Jaktorowie. Jesień okazała się chłodna i deszczowa, co pozwalało jej usprawiedliwić się zarówno przed rodzicami, jak i przed sobą.

Ku własnemu zaskoczeniu w pewnym momencie odkryła zresztą, że niedziele i wolne soboty spędzane w Warszawie wcale jej tak nie przygnębiały, jak to miało do niedawna miejsce. Przyszło jej nawet do głowy, że już dawno mogłaby dojść do podobnego wniosku, gdyby kiedyś z góry nie założyła, że nie potrafi być szczęśliwa z dala od łąk, pól i lasów Jaktorowa, od dużego domu rodziców i – sama przed sobą mogła pozwolić

sobie na szczerść – od ich pomocy przy maluchach. W Warszawie opieka nad małymi dziećmi przyprawiała ją o zawrót głowy. Na wsi zajmowali się nimi zakochani dziadkowie, a ona mogła leniuchować do woli. „Wydoroślej wreszcie” – powiedział jej kiedyś Jarek, o co śmiertelnie się na niego obraziła. W związku z tym także do teściów odnosiła się wówczas chłodno i niechętnie, bo choć nigdy nie skomentowali jej bezustannej nieobecności w Warszawie, ona widziała w ich oczach zaniepokojenie i żal, w związku z czym uznała, że są przeciwko niej. Nie pomyślała, że rodzice Jarka mają przez nią znacznie utrudniony kontakt z wnukami. Tak się wściekała, gdy Oskar otwarcie krytykował jej postępowanie.

Teraz, z perspektywy czasu i tego, co się w ostatnich miesiącach wydarzyło, musiała sama przed sobą przyznać, że w przeszłości popełniła jednak poważny błąd. A fakt, że jej własni rodzice nie tylko nie dali jej do zrozumienia, że powinna poluzować nieco więzi z nimi i spróbować stanąć na własnych nogach, by nie zniszczyć swojego małżeństwa, a nawet wręcz przeciwnie – umacniali ją w tych błędach – z pewnością jej nie usprawiedliwiał. Jako dorosła osoba powinna była okazać swoją wolę. Tyle teorii. W praktyce bowiem przez cały ten czas była ich małą dziewczynką, która nie tylko nie protestowała, gdy nie pozwalali jej dorosnąć, ale wręcz była zadowolona z takiego stanu rzeczy. Bo było jej z tym wygodnie.

Dopiero teraz, gdy zaczęła spędzać w Warszawie więcej czasu, zmuszona była przyjąć do wiadomości, że rachunek zysków i strat z tamtych lat nie wypadł dla niej korzystnie. I nie chodziło tylko o zmarnowane małżeństwo – tego zagadnienia wołała już nie analizować – ani o fakt, że zachowała mentalność nieporadnej dziewczynki, która utrzymuje się na powierzchni tylko dzięki mamie i tacie, ale także o szereg innych spraw. Oskar wytknął jej kiedyś, że nie utrzymywała kontaktu z żadną koleżanką, a przecież w przeszłości, w studenckich i licealnych

czasach, nie była zupełną samotnicą. Jakże się wtedy na niego obruszyła! Choć przecież w głębi duszy od razu przyznała mu rację. Tyle że wtedy nie odczuwała potrzeby podtrzymywania czy odnawiania takich kontaktów. Zmęczona Warszawą, pracą i codziennością, marzyła, by przy najbliższej okazji znaleźć się w Jaktorowie, cieszyć się ciszą i samotnym spacerem po łące lub lesie.

Obecnie, gdy więcej czasu spędzała w Warszawie, autentycznie żałowała, że zmarnowała tamte znajomości. Tym bardziej że Michaś i Piotrek nie zaprzęтали już na okrągło jej uwagi i – co także ją zaskoczyło – bynajmniej nie wiercili jej dziury w brzuchu, by w kolejną wolną sobotę i niedzielę pojechać do dziadków. Przeciwnie, odniosła wrażenie, że chętnie spędzali wolny czas w Warszawie. W przeciwieństwie do niej mieli bowiem kolegów i przyjaciół. A podwórkowe zabawy wcale nie okazały się tak niebezpieczne, jak pierwotnie przypuszczała.

Gdy wyglądała przez okno i widziała swoich dwóch wisusów, jak z patykami w rękach, wrzeszcząc ile sił w płucach, wraz z innymi dzieciakami biegają dookoła trzepaków i trawników, bawiąc się w czterech pancernych i psa, w Winnetou lub toczą inne rozgrywki, nie mogła powstrzymać uśmiechu zadowolenia. Naprawdę się cieszyła, że chłopcy okazali się jednak inni niż ona. Że nie byli takimi introwertykami. Że więcej w nich było z Jarka niż z niej. Najwyraźniej nie miała na nich większego wpływu, lecz dziękowała za to Bogu. Nie odbierze im tego: tej radości, tego betonowego osiedlowego podwórka i tych wrzeszczących kolegów. Nie zamknie ich w ciszy Jaktorowa, tak jak siebie tam kiedyś zamknęła. Wyśle ich na kolonie, potem na obóz – jeśli będą tego chcieli. Nie miała zresztą wątpliwości, że będą chcieli.

Do tej pory truchlała ze strachu na samą myśl o straszliwych niebezpieczeństwach, jakie czyhają na dzieci na koloniach – a rodzice ten

strach umiejętnie w niej podtrzymywali. Nie chciała słuchać nieśmiałych sugestii byłego męża i uwag brata, który nie owijał niczego w bawełnę, ale teraz nie mogła już mieć wątpliwości, że to ona się myliła. Boże, w tylu sprawach pobiła! Na przykład nigdy nie starała się nawiązywać cieplejszych relacji z sąsiadami. Nie potrzebowała ich, skoro mieszkanie na Żoliborzu traktowała jedynie jako stancję na czas pracy i szkoły, a nie miejsce, gdzie się także odpoczywa i przyjmuje wizyty przyjaciół oraz znajomych.

Dziś i to się zmieniło, a w tej kwestii dzieci zdecydowały de facto za nią. Po prostu, gdy zrobiło się zdecydowanie za zimno i zbyt mokro na zabawy na podwórzu, chłopcy przyprowadzili kolegów do domu. I dopiero w drzwiach zapytali, a raczej stwierdzili:

– Prawda, mammo, że możemy ich zaprosić?

Postawili ją tym samym przed faktem dokonanym, skinęła więc niechętnie głową, by potem ze zdumieniem stwierdzić, że odgłosy zabawy w drugim pokoju (i w przedpokoju) wcale jej nie przeszkadzają. Podobnie jak obecność całej tej gromady w kuchni, gdy dzieciakom zachciało się słodczy i napojów. Bez żalu pożegnała ciszę, swoją jedyną bliską przyjaciółkę ostatnich lat. Zresztą zabawy te odbywały się także w mieszkaniach kolegów jej synów, dzięki czemu poznała sąsiadów, a z trzema paniami zawarła nawet bliższą znajomość. Ani się obejrzała, jak zaczęły zapraszać się nawzajem na kawki i herbatki, zwierzać się sobie z codziennych problemów, a nawet z osobistych kłopotów, cieszyć się z drobnych sukcesów, pomagać sobie w zakupach (jako że zaopatrzenie w sklepach z dnia na dzień się pogarszało i zdobycie czegokolwiek stanowiło coraz większe wyzwanie). Nie było dnia, by któraś z sąsiadek nie wpadła poradzić się w kwestii pomysłu na obiad czy wprost zajrzeć do

garnków albo pochwalić się nowo zdobytym ciuchem i wspólnie pomyśleć, jak się ubrać na jakąś imprezę.

Wszystko to ośmieliło Weronikę, by zadzwonić do dawnej bliskiej koleżanki z akademika – telefon znalazła w notesie – co również zostało uwieńczone sukcesem, bowiem Zosia nie tylko ją pamiętała, ale ucieszyła się z kontaktu i od razu zaproponowała spotkanie.

Weronika zdawała sobie sprawę, że Oskar zauważył zmianę w jej podejściu do życia. Choć nie skomentował tego ani słowem – być może dlatego, że nie był pewien jej reakcji – to jednak dostrzegła w jego oczach aprobatę.

W zmienionych okolicznościach nie robiła już znaczących min i komentarzy na temat wyjazdu Jarka na kilkumiesięczne stypendium. A nawet przyjaźnie mu pogratulowała. Zgadywała, że miał pewne obawy co do tego, czy podczas jego nieobecności nie będzie utrudniała chłopcom wizyt u dziadków Piontkowskich, ale natychmiast je rozviała. Zwłaszcza, że i w stosunku do teściów zmieniła swoje wcześniejsze nastawienie. W gruncie rzeczy zawsze przecież wiedziała, że byli jej życzliwi, tyle że wcześniej, rozczarowana codziennością i fiaskiem swojego małżeństwa, świadomie lub nie, odgrywała się także na nich. Dlatego w przeszłości krzywiła się znacząco, gdy chłopcy udawali się do nich z wizytą, pozwalała sobie czasami na słabo zawoalowane uwagi, gdy pokazywali jej prezenty od dziadków lub przynosili kawałek ciasta od babci, odburkiwała coś niechętnie, gdy przekazywali pozdrowienia.

A przecież takim postępowaniem najbardziej krzywdziłam właśnie moje dzieci, przyznała w końcu ze wstydem, przypominając sobie ich wystraszone twarzyczki, gdy chłopcy wracali z odwiedzin u dziadków Piontkowskich i od progu czekali na jej złośliwe komentarze. Często zresztą przy takich okazjach powtarzała uwagi własnego ojca.

Dlatego teraz zmieniała taktykę. Po wyjeździe Jarka pierwsza zadzwoniła do jego rodziców, potem oni oddzwonili. Nie robiła najmniejszych problemów, gdy chcieli spotykać się z wnukami. I nawet jeśli początkowo wzajemne stosunki cechowała spora powściągliwość, to jednak zaskakująco szybko doszli do porozumienia. Choć oczywiście nie przypominało to już dawnych serdecznych więzi; po trudnych latach chłodu i milczenia nie było to już takie łatwe. A może wymagało więcej czasu? Tak czy inaczej, zrobiło się przynajmniej poprawnie, a to jednak zawsze jakiś postęp.

Nie zapomniała też o ciotce Rozalii. Wizyta, którą złożyła jej we wrześniu, nie była ostatnią. Zgodnie z obietnicą odwiedziła ją w jedną z październikowych niedziel, tym razem w towarzystwie brata i dzieci, a Ostrowska promieniała z radości. Nie podjęli już tematu ciotki Wandy. Weronika i Oskar wcale tego między sobą nie ustalali, niemniej Weronika nie była pewna, czy w towarzystwie Rozalii brat nie zrobi wyjątku. Czy nie wspomni na przykład o spotkaniu z Lucią w Paryżu. Tak się jednak nie stało. Rozmawiali o wielu sprawach, ciotka Rozalia opowiadała im o zmarłym mężu, nie uciekała też od wspomnień, ale o relacjach z Reczyńskimi także nie zająknęła się nawet słowem. Włączając w to relacje ze zmarłą kuzynką.

Od tej pory odwiedzali Ostrowską przynajmniej raz w miesiącu – skoro Weronika zarzuciła zwyczaj cotygodniowych wyjazdów do rodziców, miała więcej czasu na wyprawy do Komorowa.

Nie od razu Reczyńscy pogodzili się ze zmianą zwyczajów córki. Zwłaszcza Izabella wzdychała, że tak rzadko ostatnio widzi ją i wnuki, zadawała pełne niepokoju pytania, dopominała się częstszych odwiedzin. Początkowo Weronika starała się tłumaczyć – a to brakiem czasu, a to dodatkowymi zajęciami chłopców, ani razu nie podając tych

najważniejszych przyczyn, szybko jednak zorientowała się, że matka nie przyjmowała jej usprawiedliwień do wiadomości.

– Jakie zajęcia dodatkowe? O czym ty mówisz? To mali chłopcy, którzy po szkole powinni wracać do domu. Świat wokół jest bardzo niebezpieczny, twoim obowiązkiem jest ich pilnować, a nie zdawać się na obcych ludzi i jakieś zajęcia dodatkowe – lamentowała. – Przecież powinnaś mieć przede wszystkim czas dla dzieci. Po co ci praca w nadgodzinach, skoro zawsze jesteśmy gotowi pomóc ci finansowo?

Słuchając tych uwag, Weronika czuła narastającą irytację i niesmak.

Jesteś przecież wykształconą kobietą, do tej pory myślałam, że masz szersze horyzonty, myślała, patrząc rozżalona na matkę. I na co ci były te studia? Proste kobiety mają więcej rozsądku niż ty. W każdym razie żadna z tych, które znam, nie gadała na głos podobnych bzdur.

– Chłopcy potrzebują nowych zajęć i przyjaciół – odparła ostrzej, niż zamierzała. – Nie są już maluszkami, których nie mogę spuścić z oczu. Dlatego, jeśli mam możliwość dodatkowego zarobku, nie widzę powodu, żeby z niej nie skorzystać. Nie musicie mnie bez końca utrzymywać.

– To na pewno robota Oskara! On ci nakładł do głowy... – zaczęła z wyrzutem Reczyńska, ale córka przerwała jej z oburzeniem:

– Ty naprawdę uważasz, że jestem pozbawiona własnego rozumu, tak? – Mówiąc to, miała oczywiście świadomość, że sama całymi latami ugruntowywała zarówno matkę, jak i wszystkich innych w tym przekonaniu. Byłaby jeszcze coś dodała, ale w progu pokoju niespodziewanie stanął ojciec, a w jego obecności słowa uwięzły jej w gardle. W wyrazie jego twarzy było bowiem coś takiego, co przejęło ją dziwnym, trudnym do wytłumaczenia lękiem. Nie patrzył jednak na nią, tylko na żonę.

– Daj jej spokój – powiedział. – Ani słowa więcej na ten temat, rozumiesz?

Mówił cicho, spokojnie, ale był to zarazem ton kategoryczny i nakazujący posłuch. Ton od lat przewidziany tylko dla żony, którego w większym towarzystwie używał bardzo rzadko, w naprawdę wyjątkowych sytuacjach. Lecz za każdym razem, gdy to się zdarzało, wszystkich obecnych przechodziły ciarki, a Izabella natychmiast milkła jak skarcona dziewczynka.

Tak było i dziś. Reakcja matki nie zdziwiła zatem Weroniki, zaskoczyła ją za to postawa ojca. Była przecież pewna, że podzielał niepokoje i żal żony w sprawie rzadszych niż wcześniej odwiedzin córki i wnuków, że niechętnie i podejrzliwie potraktuje dążenie Weroniki do większej niezależności. A tymczasem...

Niczego nie wyjaśniał, a Weronika także już się nie tłumaczyła. Jakby zawarli nieme porozumienie, że więcej nie będą pewnych spraw roztrząsać. Ojciec przyjął do wiadomości nowe zasady w ich wzajemnych kontaktach. Ona w zamian nie będzie stawiała trudnych pytań ani podejmowała niewygodnych kwestii.

Tak właśnie miało im upłynąć kolejnych jedenaście lat.

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Karta redakcyjna

Aż po horyzont. Tom I
Wydanie pierwsze
ISBN: 978-83-8219-388-6

© Agnieszka Janiszewska i Wydawnictwo Novae Res 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Cyrulik Wioletta
Korekta: Emilia Kapłan
Okładka: Izabela Surdykowska-Jurek



NOVAE RES

WYDAWNICTWO NOVAE RES
ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia
tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl
<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek